











JEREMI KORNAGA

robotnicy





# ROBOTNICY

**Tegoż autora :**  
**„MOJE TRZY GROSZE“ (tryptyk majowy)**  
**Warszawa 1930 r.**

JEREMI KORNAGA

# ROBOTNICZY

POWIEŚĆ

INSTYTUT  
BADAŃ SOCJOLOGICZNYCH PAN  
Dzielnica  
ul. Nowy Świat 72  
00-149 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WYDAWNICTWO „VERITAS“

W A R S Z A W A — 1 9 3 2

<http://rcin.org.pl>





---

*Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa.*

4529  
<http://rcin.org.pl>

## LIST OTWARTY DO PRZYJACIÓŁ...

Przyjaciele! Oto tylko tyle niestety — udało mi się zebrać przed paru laty na t. zw. „odcinku robotniczym” Od-daję to teraz do Waszego użytku, w przekonaniu, że zawarty tu „materjał” jest dostatecznie charakterystyczny i aktualny. Oczywiście — tylko dla „mojego” odcinka.

Czy przyniesie jednak jakikolwiek pożytek? Oto pytanie, które zmusza mnie do poprzedzenia swej powieści tą— swego rodzaju przedmową.

Ten wyraz pożytek! Jakże trudno stanąć wobec tego prostego pytania i odpowiedzieć sobie — tak lub nie!

Stąd więc konieczność małego omówienia.

Powieść ta skonstruowała się we mnie pod wpływem gorącego pragnienia rozprawięcia się z tymi, którzy na jedynie dostępną dla nich część „terenu robotniczego” (wśród maruderów prawdziwego ruchu robotniczego, wśród odpadków jego ogromnej, prostolinijnej działalności organizacyjnej) — wnoszą swoją „pracę społeczną”. Poza tem chciałem ukazać ogarniętych tą „pracą” robotników — w jak najbardziej krzywym zwierciadle. By sami sobie dobrze się przyjrzeni...

Jakże dalekie jednak jest to wszystko od mocnego, zdecydowanego, pozytywnego ujęcia! Skądże więc przy tem ten wyraz — przybłąda: pożytek!?

Przyjaciele! Wyraz ten łączę ściśle z Waszą pracą, Waszym celem, z Wami samymi, jako tymi, którzy jedynie stanęli na stanowisku interesów mas pracujących, klasy robotniczej, proletariatu.

*W imię tych interesów idziecie przeciwko całemu staremu światu na wielką, zwycięską walkę. Walka ta już oddawna rozgorzała na ogromnym froncie — od Wschodu od Zachodu, od Północy do Południa. A ja tymczasem, na jakichś, niesłychanie głębokich jej tyłach, na własną rękę przedsięwziąłem mały „wypad” i jak sygnalizacyjną raketę — puszczam stamtąd swych „Robotników”...*

*Być może, chwiejny płomyk tej rakiety znikąd nie będzie dostrzeżony? Być może, stanie się iskrą „światowego pożaru”? — Wojna tak wojna — wsie m pogiba! — jak, według anekdoty z czasów wojny światowej, zawołała pewna staruszka na widok swej córki, zapamiętałe gwałconej przez kozaków. I natarczywie wyraziła gotowość poniesienia niezwłocznie tej samej ofiary...*

J. K.

## POWIEŚĆ CZY KOMEDJA?

Gdybyż to można było rozpocząć tak:

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce, pod jednym płaszczem...! Puszkin — Mickiewicz...

O, święta magjo słów, nazwisk, postaci!!

A może tak jak u Żeromskiego: Ogary poszły w las!?

Tymczasem trzeba inaczej...

Wieczór listopadowy w Warszawie. Właściwie — jeszcze nie wieczór, lecz krótka smuga tych paru pozabiurowych godzin, kiedy każdy z „uczciwie pracujących“ ma trochę czasu dla siebie. Poto, aby pójść na swój, codziennie zapewniony obiad. Załatwić jakieś swoje sprawy. Znaleźć się wreszcie w swoim mieszkaniu.

Inaczej bezrobotny oficer rezerwy, Edmund Niekrajewski! Na obiad nie miał. Mieszkania właściwie nie posiadał. A „załatwianie spraw“ sprowadzało się oto dla niego — do deptania po kaszy ze śniegu i błota na niewielkiej przestrzeni: Grób Nieznanego Żołnierza — ogon koński pomnika Poniatowskiego.

Ostatecznie, nie miał tu nic do czynienia. Po prostu — z całej wielkomiejskiej stołeczności Warszawy pozostał mu był tylko ten mały placyk. „Oblatał“ już dziś, wszędzie gdzie mógł, wszystkich

swoich znajomych. Po domach, po biurach, kawiarniach i ulicach. Gdzie się dało, korzystał z bezpłatnych telefonów, porad, poleceń, wskazówek. I nic, — figa. Zgniłe, raz po raz rwące się włókno przysłowiowego powiedzonka — „nici“...

Zbłądził był więc ku końcowi swego „urzędowania“ aż tu, pomiędzy otuchę ze światła grobu i ten fantazyjny chwost. Psiakrew, musi przecież coś dziś zdobyć! Wsio na świetie rubl' i siuczaj!!

Czyhał...

I oto zakolysały się chodnikami postacie „uczciwie pracujących“, mających do dyspozycji w ciągu tego dnia jeszcze parę jaśniejszych godzin. Lecz tylko dla siebie. Poto, by pójść na swój, dziś jak codziennie zapewniony obiad. Załatwić swoje sprawy. Znaleźć się w swoim mieszkaniu...

O, jakże trudno dopaść wówczas kogoś i, pomiędzy przymilnem“ jak się macie“ i pożegnalnem już za chwilę „smacznego“, — ukrywać straszliwą obawę przed podejrzeniem o jakąś prośbę o pomoc!!

Edmund Niekrajewski nikogo z nich nie dopadał. Jakby rozmyślnie stanął tak, że wszyscy go omijali. Tkwił tam, gdzie dreptał przed chwilą, akurat pośrodku małego prostokąta, przez który, jakby umyślnie, nikt nie przechodził.

Wyglądało to tak, jakgdyby pomiędzy nim i „uczciwie pracującymi“, wśród których poznawał wielu znajomych, ba! dawnych kolegów i przyjaciół, — została zawarta pewna umowa. Zdawało się, że umówili się kłaniać, uśmiechać, nawet nawoływać — tylko zdaleka. Tylko pod tym jednym warunkiem, że nie wejdzie im w drogę w tej chwili, kiedy mają jeszcze trochę czasu dla siebie. Poto, by pójść na



swój obiad. Załatwić swoje sprawy. Znaleźć się potem w swoim mieszkaniu...

Lecz najważniejsze, przykuwała Niekrajewskiego na jednym miejscu przedewszystkiem obawa, że gdyby się zbliżył teraz do kogoś z nich, już nie sposób byłoby ukryć myśli o prośbie o pomoc. O byle co! O papierosa, o kilkadziesiąt groszy. O to, by móc z kimś przejść kawałek. O opowiedzenie choćby najgłupszego, najstarszego kawału...

Napływali w coraz większej ilości. Przemijali całą kupą. Przerzedzali się. Znów walili gęściej. I potem, stopniowo, coraz rzadziej, i rzadziej...

Już nie miał komu się kłaniać. Już się do niego nikt nie uśmiechał. Już nikt, nikt nie odezwał się, chociażby zdaleka, ani słowem.

Tak stał samotnie, ze stopniowo odpływającą falą nadziei. I dopiero po dobrej chwili jął zdawać sobie sprawę, że już od dłuższego czasu mijają go, i ten nietykalny placyk, — tylko jacyś obcy ludzie. Wtedy, żywym refleksem zawodu uderzyło w niego zmitygowanie. Jak to się stało, że się „pętał“ tu od godziny!? Między tym, jakże teraz beznadziejnym płomykiem grobu i tym potwornym czarnym soptem ogona. Poco deptał tu tę kaszę, której chłód i mokrość teraz dopiero odczuł w przemoczonych kamaszach? Na co, czy na kogo liczył, tkwiąc w tym jednym punkcie, w którym żadnemu z „uczciwie pracujących“ nie krzyżowała się z nim droga!?

Palnął go nagle w oba policzki wstyd. Nietylk przed tymi, którzy (jakież szczęście, że nieznajomi!) szli jeszcze wokoło. Lecz przedewszystkiem wobec tych, których twarze były już daleko. Ale jemu widziały się wciąż takie same, jak wtedy gdy go wymijali. Uśmiechnięte, zarumienione, zadowolone twarze... Co za cholerny wstyd!!

I „tak jak stał“, odlepił się od urosłych pod stopami podeszew z błota i śniegu, i czując teraz za sobą zimny, zły połysk ognia z nad grobu, a nad sobą wciąż ten groźny, czarny bronz ogona, — jął przecinać dzielący go od chodnika kawałek placyku. Schodząc z pola swej niedoli, sromoty, zimna i głodu. W tym samym, wciąż w tym samym kierunku i celu. Bo cóż go czekało gdzie indziej!?

Lecz jeszcze, brnąc ukośnie, nie osiągnął chodnika, jeszcze się był nie rozgrzał po kilku zaledwie krokach stężących stóp, gdy nagle srobiło mu się ciepło. Ciepło w całym ciele, prócz nóg do kolan, do których wciąż sięgał zwycięski zamróz oddołu.

Tuż przed zbawczemi, zdawało mu się, płytami chodnika, usłyszał:

— Jak się pan miewa, panie kapitanie!?

To, pędząc z miasta, jakby spóźniony ku temu właśnie miejscu, biegł mu na spotkanie młody, wesoly oficer w stopniu porucznika.

Jakgdyby umyślnie przybiegł tu po Niekrajewskiego. Wziął pod rękę. Ogrzał żywemi, czarnemi oczami. Rozpędził swym śmiechem wlokący się ogon upodlenia i płomień wstydu...

Stanęli na chwilę. Dwaj „młodzieńce“ pod płaszczem przypadkowego spotkania. „Dżdzu“ nie było...

Porucznik zapytał:

— Co pan tu robi, panie kapitanie?

Niekrajewski uświadomił sobie, jeśli to nie był r u b l ' to — na pewno s ł u z a j ! Zmyślił więc bez wahania, wiedząc, że to jedyiny sposób przytrzymać przychylnie usposobionego do niego porucznika:

— Czekam na pańskiego wroga, Adamskiego. Obiecał, że się ze mną spotka i da nareszcie posadę. Lecz coś go nie widać! Już oddawna tak mnie zwodzi...

Porucznik zdawał się być tem uszczęśliwiony:

— Ależ on tu nigdy nie przyjdzie! Trzeba go znać! — zawołał. — To przecież drań jakich mało! Wie pan, co on mi zrobił!? Miałem zostać radcą w jednym ministerjum, to mi w ostatniej chwili podstawił nogę!!

— A gdzie pan teraz pracuje? — nie wiedział Niekrajewski.

— Zostałem radcą w innym ministerjum! — pocieszył go porucznik.

Ale wnet coś mu się przypomniało innego. Stali wciąż jeszcze na chodniku obok pomnika, po stronie napisu H o n o r i O j c z y z n a .

— Słyszał pan, panie kapitanie, ostatni kawał!? że z tej strony pomnika powinien być napis — Józef i ojczyzna!! — wdarł się w Niekrajewskiego, w samosedno już uśmierzającego się bólu.

I nagle przerwał:

— Panie kapitanie drogi, czy ma pan teraz trochę czasu, bo mam do pana interes? Czy pan już jest po obiedzie?

— Właściwie — po obiedzie — skłamał Niekrajewski. — Nie jadam teraz obiadów — poprawił się. — Coś mi, do diabła, dolega w żołądku. Ale czas mam.

— No to pójdziemy na pół czarnej. Zastrzegam się, że ja zapraszam — zdecydował porucznik.

— A to dobrze! — przystał Niekrajewski. — Bo ja nie bardzo tego... — usiłował od s ł u c z a j a przesunąć się ku „rublowi“.

Rozmowa miała się odbyć w pobliskiej kawiarni, ale już po drodze porucznik nie wytrzymał:

— Wie pan co, panie kapitanie! Co pan teraz robi? Pan przecież nic nie robi! Będziemy wspólnie pisali powieść. Mam świetny pomysł... Widzi pan, historia tak się przedstawia. Skala wysoce między-

narodowa! Bolszewicy wykombinowali teraz jedną rzecz. Autentyczne. Czytałem to gdzieś w ministerjum... Uważa pan, wpadli na to, żeby spirytus pędzić z ekskrementów. Kapitalna rzecz! I widzi pan, Europa daje się na to nabrać... W płaszczyźnie spirytualji z ekskrementów powstaje plan międzynarodowej kolaboracji na olbrzymią skalę!!

Niekrajewski wnet go sprytnie podniecił:

— A z drugiej strony — duch! Niech pan pomyśli, panie poruczniku, spirytus z tego... z ekskrementów!... Spiritus flat ubi vult!! — zacytował znacząco.

— Co to znaczy? — żywo zapytał porucznik.

— No, to niby, że duch wybucha tam, gdzie zechce! — wstydliwie „tłumaczył“ Niekrajewski.

— Aha! — już brał to w siebie porucznik. — To bycza rzecz! Jak pan to mówi, spirytus...

— ...u b i v u l t ! — usłużnie dokończył Niekrajewski.

Byli już w kawiarni. Siedzieli. Czarna, słodka, gorąca woda z posmakiem kawowym. Papieros za papierosem z papierośnicy porucznika. I rozmowa, rozmowa, rozmowa...

Nie wolno było w niej ustać Niekrajewskiemu. Za to przecież z nim się siedzi, pije kawę, pali papierosy... Trzeba już mieć to cholerne szczęście!!

— Więc, panie kapitanie, mam do pana interes — rzekł w pewnej chwili porucznik. — Ale niechże mi pan opowie, co pan teraz porabia?

— Nic nie mam do roboty — szczerze wyznał Niekrajewski. A smakując temat, jak tę kawę z papierosem, ciągnął rozgrzany i jakże wyższy ponad to, co przeżywał tak niedawno:

— Jak pan wie, panie poruczniku, zostałem przeniesiony do rezerwy — nagle i niespodziewanie.



Nie miałem nawet czasu postarać się o emeryturę!

— Ale przecież teraz może pan to zrobić! Przyśługuje to każdemu oficerowi rezerwy — przerwał porucznik.

Niekrajewski rozbrajająco przedstawił:

— Widzi pan, ja się staram. Jak Boga kocham, złożyłem już podanie! — odsuwał od siebie jak najdalej zarzut niezaradności. — Ale cóż, trzeba naprzód dać się zbadać lekarzowi miejskiemu, a to kosztuje! Potem będzie badał lekarz wojskowy. Wreszcie komisja... A ja, jak na złość, jestem wściekle zdrow, a przytem niema tych kilku złotych na pierwszego lekarza!!

— No i co dalej? — indagował porucznik.

— Cóż dalej! Miałem trochę pieniędzy, które zaoszczędziłem z ostatniej gaży, ale już dawno poszły... Od kilku miesięcy jestem bez grosza. A najgorsze, — bez nadziei na wydobycie go skądkolwiek! W jednym starem ubranku i w tym oto płaszczu... Dobrze przynajmniej, że chociaż to kiedyś sobie sprawiłem. Nie wiem w czembym teraz chodził!? Poza tem sprawa mieszkania... Jak tu mieszkać! Za co mieszkać? Narazie siedzę kątem u pewnego kolegi, również oficera rezerwy. Ale to przecież nie może długo potrwać! On też niema posady...

— No a pańska posada!? — przypomniał sobie porucznik.

— E, to ten Adamski... — jak umiał najwzgardliwiej wycedził Niekrajewski. — Ma mi dać stanowisko korespondenta jakiegoś pisma prowincjonalnego.

— Już on panu coś zrobi, niech go jasna cholera! — folgował sobie tamten. I nagle, przerywając sobie i Niekrajewskiemu, wypalił:

— Albo wie pan co!? Napiszemy komedję! Zamiast powieści — komedję. Na ten sam temat



spirytusu z ekskrementów. Już nawet mam w głowie taki jeden trick dla sceny... Rzecz dzieje się w gabinecie dyrektora generalnego biura pośrednictwa między Rosją i Europą, w sprawie wywozu i przetwarzania ekskrementów. Zanoszą się na wielki szwindel międzynarodowy. Sowiety, główny dostawca surowca, fałszują go. Uważa pan, mimowoli fałszują. Obywatele sowieccy, w ścisłej zależności od jakości konsumowanych artykułów, nie są w stanie dostarczać kału w odpowiednim gatunku. Który według doświadczeń, jedynie może służyć do wytwarzania spirytusu... I nikt nic o tem nie wie! Europa jest poprostu zawalona bolszewickimi ekskrementami, a tu tymczasem nie można z nich wycisnąć ani kropelki spirytusu... Lecz wie o tem jedynie Polak, dyrektor generalnego biura pośrednictwa w Warszawie!... Pan rozumie, co z tego można zrobić!? Sensacyjną sztukę o znaczeniu międzynarodowym! Zobacz pan, jeszcze nam Liga Narodów wyznaczy nagrodę!...

— Ale ja nigdy nie pisałem ani powieści, ani komedji — szepnął na to ze skruchą Niekrajewski.

— Ależ, panie kapitanie, to niema żadnego znaczenia! — obruszył się porucznik. — Napisze pan ze mną po raz pierwszy. Myśli pan, że ja kiedy pisałem!? Djabła tam, ale nic w tem niema trudnego. Zaraz to panu wytłumaczę...

— Przepraszam bardzo, panie poruczniku, — nieśmiało wystękał Niekrajewski — ale boję się, że może pan już zapomniał o tym interesie, o którym pan przedtem wspominał.

— A tak, prawda! — znów przerzucił się porucznik. — Czy pan kiedy pracował z robotnikami?

— Raczej nie — zasmucił się Niekrajewski. — W każdym bądź razie miałem z nimi do czynienia tylko dorywczo. Pamiętam, że na wsi, w dzieciństwie,

przechodziłem takie nieszkodliwe zarodki chłopmaństwa. Wciąż przesiadywałem ze służbą, z dziewczynkami, parobkami, furmanami... Aż mnie wszyscy w domu pomawiali o wrodzony brak ambicji. Poza tem ,raz podczas wojny, musiałem wygłosić krótkie przemówienie do strejkujących robotników pewnej fabryki. Niebardzo, widzi pan, wiedziałem co mam powiedzieć, jako oficer i dowódca, stacjonującego tam bataljonu. Ale przypomniałem sobie z Gorkija: Jeśli ty truboczist, leż sukin syn na kryszu! Powiedziałem im to, przetłumaczyłem. Lecz widocznie nie zrozumieli. Słyszałem potem, jak zapytywali dlaczego ich zwymyślałem. W dodatku po rosyjsku...

— A teoretycznie pan trochę może?

— O, teoretycznie to tak! Jestem dość dobrze ocytany w komunizmie. Nawet raz napisałem artykuł, nigdzie zresztą nie drukowany, pod tytułem: Co wiem i myślę o komunizmie? — bezwiednie ironizował Niekrajewski.

— No to świetnie, panie kapitanie! — zachwycał się porucznik. — To bardzo dobrze!! Zwłaszcza, że rozgryzł pan komunizm! Bo ja, widzi pan, mam dla pana coś odpowiedniego...

Niekrajewski zamarł z wzruszenia.

— Jest tu w Warszawie — ciągnął porucznik — taka organizacja, posiadająca własny oddział robotniczy. Otóż, otwiera się tam pewne stanowisko. Rozchodzi się, mianowicie, o usunięcie obecnego sekretarza, który nie może dać sobie rady. Nie odpowiada swemu zadaniu. I o wpakowanie na jego miejsce kogoś energiczniejszego, silniejszego...

— A cóż to za organizacja? — już z rozczarowaniem zapytał Niekrajewski.

— Widzi pan, — wykladał z pewnym kryty-

cyzmem porucznik — resztki naszych zwarjowanych arystokratów, a właściwie pewien ich odłam, założyli związek. Związek wielkiej Polski mocarstwowej. O mocarstwo im chodzi! Jagiellonami pachnie, jeśli przypomina pan sobie z historii?

— Z historii niebardzo, — przyznał się Niekrajewski — ale z literatury — owszem. Zna pan ten wierszyk, panie poruczniku, o królu Jagielle i panu Krupie? — zapytał z kolei.

Porucznik uśmiechnął się porozumiewawczo:

— Wierszyk znam, ale tu niezupełnie o to idzie. Powiadam panu, w grę wchodzi mocarstwowa Polska... Otóż do tego związku zostałem odkomenderowany z ministerjum, dla współpracy w charakterze nieoficjalnego członka komitetu głównego. Jest to najwyższa władza jagiellonidów. Tak się bowiem w skróceniu nazywają... Poza właściwym związkiem, złożonym przeważnie z ludzi majątnych, którzy go finansują, mamy również grupę młodzieży akademickiej. No i najważniejsze — oddział robotników, około 1.000 ludzi!

— O psiakrew! — zdumiał się Niekrajewski. — Tak dużo!

— To jeszcze niedużo! — zawołał porucznik. — Będzie czasem daleko więcej!... A czem pan dowodził na wojnie, bataljonem? — upewniał się.

— Bataljonem.

— No, to dostanie pan u nas taki bataljon robotników. Weźmie ich pan za mordę i nadewszystko choć trochę zmilitaryzuje!

— Ależ, panie poruczniku, — kręcił się niespokojnie Niekrajewski. — Ja nigdy nie pracowałem społecznie, a tu w dodatku dochodzi wielka polityka!

— A cóż to pana tak wzrusza! — oburzył się na to porucznik. — Za to będę panu płacili! Sekretarz

naszego oddziału robotniczego pobiera miesięcznie 300 zł. Czy to mało, co?! Poza tem będzie pan przecieź pracował tam tylko wieczorami — po kilka godzin! A w ciągu całego dnia może pan robić co innego... Otóż właśnie, będziemy z panem pisali powieść lub komedję. Już ja to zorganizuję! Będę panu dostarczał materiału i pomysłów, a pan będzie pisał.

— Jeśli tak, to dobrze! — zgadzał się na wszystko Niekrajewski. — Ale, widzi pan, jesteśmy obecnie w połowie miesiąca, a ja tymczasem nie mam ani du-du...

— No, to otrzyma pan zgóry do pierwszego, za tę drugą połowę listopada. Zgadza się pan, co!?

— Chyba że tak! — spoczął na laurach Niekrajewski. I teraz z kolei sam zaczął rozwijać:

— Wie pan, panie poruczniku, zawsze marzyłem o tego rodzaju pracy. Nie jestem stworzony do roboty biurowej. Zawsze pragnąłem czegoś takiego... Poza tem chcę bliżej poznać Polskę! Chcę, uważa pan, trochę nauczyć się ojczyzny!! — podkreślił z niemałą dumą.

— O, to tu będzie pan miał moc materiału! — uśmiechnął się porucznik.

— Prócz tego, prócz tego, — bąkał swoje Niekrajewski — jest to już taka sprawa, przyznam się — zawsze ciągnęło mnie do robotników. Zawsze chciałem wiedzieć, co z nimi można zrobić... Tylko że, widzi pan, w danym wypadku, trochę mi jakoś ta cała kombinacja arystokratyczno - robotnicza niezbyt sztymuje...

— A poco pan tem sobie zgóry głowę zawraca!?

— znów oburzył się porucznik. — Nie warto... Robotnicy to swołocz! Arystokraci — półgłówki... Myśli pan, że z tego mało da się zrobić!?

Narazie jedni płacą, a drudzy organizują się... Muszę tylko



uprzedzić pana, że pomiędzy jednymi i drugimi, to jest pomiędzy naszym związkiem a oddziałem robotniczym, tkwi pewien sęk. I sęk ten musimy rozbić. A pan będzie musiał odegrać przytem rolę klina!

— Cóż to u diabła za sęk? — zaniepokoił się Niekrajewski.

— To taki jeden starszy bubek. Konsul honorowy Hondurasu. Blagier, jak jasna cholera. Jest on prezesem naszego oddziału robotniczego, a ten sekretarz, na którego miejsce pan przyjdzie, to jego mąż zaufania. Chociaż przedtem był nasz!... Otóż dotychczas jedynym kierownikiem robotników mocarstwowych był właśnie ten konsul honorowy. On nasz oddział kiedyś z czegoś stworzył. On był z nim i tu, i ówdzie. On go też trzyma w ręku. A grunt, że ma za sobą całą paczkę naszych robotników. Zarząd, który bez swego prezesa o niczem nie chce słyszeć. A my tymczasem ich finansujemy! W tem właśnie cały sęk...

— No i jak ja z tem będę zaczynał? — rozżalił się nad sobą Niekrajewski.

— Niech już pana o to głowa nie boli! Obecnie, co do pana, postanowione i już! Zgadza się pan, co?

— Tak jest, oczywiście... Tylko, widzi pan, z temi pieniędzmi... Możeby to można było już...

— Dobra! Zrobimy tak. Proszę zadzwonić do sekretarjatu komitetu głównego. Tam jest taki młody bubek, sekretarz, książę Giedymin. Ale szczerzy, dobry chłopak. Jak się panowie porozumieją, to się razem zejdziemy. A teraz na mnie już czas...

Wyszli. Wyszli, jak dwa ogary, trąc się wzajemnie bokami, gdy zaczynają swe łowy. Jak ogary szli jakiś czas razem, wchodząc coraz głębiej w ruchomy las wieczornego tłumu.

Na pożegnanie porucznik jeszcze dodał:

<http://rcin.org.pl>



— Więc, panie kapitanie, zrobione! Piszemy powieść lub komedję. To wszystko jedno. Proszę przyjść jutro do mnie na obiad, to odrazu zaczniemy... Musimy się pośpieszyć, bo jeszcze nam kto gwizdnie temat! Ale temat dobry, co!?

— Tak, tak — z roztargnieniem przytakiwał Niekrajewski. — Temat świetny! A już czy to ma być powieść, czy komedja, to rzeczywiście wszystko jedno... Bardzo panu dziękuję, panie poruczniku — napłynęło na niego wspomnienie niedawnego stanu, z przed tego spotkania. — I muszę panu powiedzieć, że gdyby nie pan, gdyby nie pan, niktby z pewnością dziś do mnie nie podszedł. A sam, poprostu, rozumie pan, nie śmiałem — dręczył siebie odrobiną gryzącego liryzmu. Teraz, by stłumić wściekle rozradowanie z tego powodu, że znalazł się i r u b l ' i s ł u c z a j .

— Dowidzenia, panie kapitanie... Proszę zadzwonić do Giedymina. Telefon znajdzie pan w książce. A jutro proszę przyjechać do mnie, to odrazu rozpoczniemy robotę... E, co tam! — zachnął się na dalsze wylewy wdzięczności ze strony Niekrajewskiego. — Jakoś to będzie! Dowidzenia...

Tak rozwiązał się przytulny płaszcz przyjaznego pozostawiania we dwoje. Niekrajewski, jak prowadzony przez innego pies, gdy pozostał sam, stropił się tem wszystkiem niepomału.

Lecz najmocniej ugrzęzło w nim to jedno: Połączenie arystokratów z robotnikami. Jakaś złośliwa kombinacja.

Pomyślał jednak natychmiast, że przecież jedna z jego babek wywodziła się z jakichś „baronów ostzejskich“. I to mu ulżyło. A wkrótce, nawet przypawilo całą sprawę specjalnym posmakim:

— Jakże to, za jednym zamachem taka podwójna zdobycz! Wejść wśród arystokratów i pracować spo-

łecznie z robotnikami!... Wnuk „baronowej ostzejskiej“ — trybun ludowy!!

— A co do tej powieści czy komedji, to się z porucznikiem jakoś ułoży... Był się raz czegoś uchwycić! — w nagłym napływie pewności siebie Niekrajewski już się rozpychał łokciami wśród przechodniów, „uczciwie pracujących“...

Kto wie, czy też tak wszystkich hurtem — uczciwych!?

## JAK W LESIE.

Ogary poszły w las — pokutuje i nad tym rozdziałem. Zmiłuj się, nieśmiertelny twórcu „Popiołów“!

Pozostawiony samemu sobie, Niekrajewski powoli przychodził do siebie, błędząc w lesie domysłów.

Co z tego wszystkiego wyniknie? Jak może angażować się w coś podobnego? On — z jakimiś arystokratami — ma brać się do robotników!?

Czy to wszystko rzeczywiście jest realne, a przynajmniej możliwe? A ta powieść, czy też komedja!?! A te 150 zł. do pierwszego, a potem, potem, — 300 złotych co miesiąc!! I za co? Za to, że zechce w ciągu kilku godzin udzielać się wieczorami tym, którzy go wcale nie potrzebują!

To go wzruszyło najbardziej. Jest im, robotnikom, zupełnie niepotrzebny, a przecież nieobcy! O, jak nieobcy!! I trzebaż nieszczęścia, że zbliży się do nich nadobre — właśnie dzięki arystokratom!

Ale „z drugiej strony“, znów budziła się w sercu „baronowa ostzejska“ i wywracała wszystko do góry nogami. To nie do robotników zbliży się on dzięki arystokratom! Przeciwnie, — wejdzie wśród arysto-

kratów dzięki robotnikom. Dzięki temu powiedzonku z Gorkija, które tak żywo pamiętał. Dzięki temu, że się poświęci, odda całą duszą sprawie arystokratów wśród robotników!!

Biegł coraz prędzej podnieconym truchcikiem, kołując własnym swym śladem. Ledwo przeciskając się przez ruchomy las przechodniów. I nagle, jak pies, który zwąchał coś znajomego, zakreślił się wokół jednej spotkanej osoby. Przyjaciela, rasowego, ułożonego, z dobrym, „górnym“ węchem...

Podniecony gorączkowym błakaniem się, Niekrajewski wyłożył mu napoczekaniu to wszystko, co go spotkało. Pytał tylko, prosił jedynie o jakieś wskazówki. Czy można, czy warto w to się angażować? Pójść na to, czy nie!? Pogodzić się z paradoksalnym zestawieniem arystokratów z robotnikami, panów z proletariatem!?

Przyjaciel gdzieś się śpieszył. Pędził za jakimś swym — wyraźnym, upatrzonym, dobrze wywęchanym tropem. Zatrzymał się więc tylko na chwilę, mocno wciągnął powietrze, jakby dla zakonotowania w pamięci za czem pędził, i szczerknął jednym tchem:

— Warjacie jeden, ależ bierz! Bierz z pocałowaniem ręki!! To dla ciebie jedyna rzecz. Mówię ci, że jeśli się potrafisz czegoś dorobić, trochę wybić, to tylko wśród tych warjatów!!

Szczerknął jeszcze, że pędzi, że goni dalej i pomknął, ginąc niezwłocznie z oczu w czarnym, gęstym tłumie ludzi — drzew...

Tego tylko brakowało Niekrajewskiemu! Bodźca, kopsnięcia ztyłu. Jak młodemu, niewprawnemu psu, który pociąg zatrzyma się zupełnie niepotrzebnie. Coś wywęchuje, wydrapuje z ujadaniem. A tu trzeba w las, w las!!...

To też za chwilę, mocno „powołując się“ na po-

rucznika Sochaczewskiego, Niekrajewski śmiało telefonował do związku.

Usłyszał młody i, zdawało mu się, nieodwołalnie męski alt. Zapytał więc już mniej śmiało:

— Czy mam przyjemność z panem sekretarzem Giedyminem?

— Nie — rozległo się w słuchawce, wraz z słuchanym śmiechem. — Tu sekretarka, Bławatkówna... Pan Giedymin jest dziś na zebraniu w fidze...

— A to-m się zasypał! — zrobiło się głupio Niekrajewskiemu. — I cóż to za jakaś figa!?

Ponownie stropiony i strapiiony, dostał się narazie do swego „pomieszkania“. Do budy, w której „bydłęce ciepło“ tak zawsze prostem czyniło ustosunkowanie do świata.

W pokoju, jak zwykle, leżał w łóżku kolega. Ten sam, u którego Niekrajewski mieszkał „kątem“ już od kilku miesięcy.

— Proszę powitać w mej osobie wysokiego trybuna ludu! — zaczął przybyły przyjętym między nimi sposobem. — Oto-m jest! — rozbierał się majestatycznie ze swej wyrudziałej jesionki.

— Nie może być! Co, jaki trybun!?! — wykrzykiwał tamten.

— Jak to, jaki trybun!?! Sekretarz oddziału robotniczego związku wielkiej Polski mocarstwowej! Mamy w Warszawie centralę, a po całej Polsce swoje oddziały prowincjonalne. Grupa warszawska liczy przeszło 1.000 ludzi! — przesadzał.

— Ale czy płacą? Ile płacą!?! — dopytywał się kolega.

— To jeszcze nie jest ostatecznie ustalone — Niekrajewski unikał konkretnej odpowiedzi. — Ale zgóry płacą! Dziś, jutro otrzymam narazie 150 zł. do pierwszego...



— Więc płacą miesięcznie tylko 300 złotych! — domyślił się tamten.

— Panie! — z przesadą zachnął się na to Niekrajewski. — Nie trzysta, panie! Lecz, zaprawdę, zaprawdę powiadam wam — trzysta razy po trzysta!! Bajeczne warunki... Sami arystokraci i robotnicy... Godziny zajęć — wieczorowe. Już przed chwilą telefonowałem do takiego ich związku. Odezwała się sekretarka. Co za głos! Głęboki, zupełnie męski alt. Też z pewnością jakaś arystokratka lub ziemianka. Nazywa się Bławatkówna...

— Ale czy to wszystko, to już naprawdę jest takie pewne? — nie mógł uspokoić się kolega, mitygując tem zachwyty Niekrajewskiego.

— O Boże! — nie wytrzymał Niekrajewski. — Czegóż pan jeszcze chce!? Wszystko przecież jak na dłoni... Tu arystokraci, a tu ja na czele robotników! — uśmiechał się zwycięsko. — Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że nie wiecie ani dnia, ani godziny, kiedy staniecie się...

— Sprzedawczykami robotników za miskę soczewicy! — zgryźliwie, z innego tonu, dokończył kolega.

Niekrajewski rzucił ku niemu pytające spojrzenie. Ale tamten łągał, jak najoczywiściej łągał.

— Ależ panie, co to kogo obchodzi! — klarował po chwili. — Co to kogo może wzruszać!? Ja sam brałbym, gdyby tylko dali! Ale panu — radzę jak najściślej umówić się, co do pieniędzy i godzin pracy. Ani nic im nie popuszczać... Draniom takim!...

I tu Niekrajewski odczuł, jakby ponowne kopsnięcie, popychające go naprzód, ku celowi łowów w tym lesie, w który wtrąciła go ręka przypadku.

— Wsio na świetie rubl' i słuczaj! — przypomniał sobie.

Położył się na swem łóżku i jął ponownie błąkać



się myślą po niezliczonych możliwościach tego, co go dziś spotkało.

Wątpliwości jednak jeszcze, gorączkowe nadzieje, fantastyczne projekty i niedająca się niczem zapęłnić pustka po już odpędzonej obawie, — nie pozwoliły mu leżeć spokojnie. Zerwał się więc z łóżka, włożył płaszcz i znowu wybiegł z „budy“.

Wybiegł niedaleko. Zatrzymał się w bramie, gdzie, jak zwykle ku wieczorowi, zbierali się na pogawędkę: Dozorca, stary kelner z znajdującej się w tym domu restauracyjki i windziarz. Sami przyjaciele.

Jak przystało na przyjaciół, byli jednocześnie potulnymi wierzycielami Niekrajewskiego. Dozorca — za bramę, i za to, i za owo, co się poprostu nazywa „drobnym dłużkiem“. Kelner — za dostarczaną od czasu do czasu wyzerkę. Windziarz — ten już tylko za windę i za życzliwość.

— Dobry wieczór panom! — powitał ich nie-dbałym uchyleniem kapelusza.

Odpowiedzieli życzliwym warczeniem.

I wtedy, jakby wprowadzając wśród nich kogoś innego, Niekrajewski przedstawił:

— No, mogę się panom pochwalić — mam nareszcie posadę! Od dziś jestem sekretarzem pewnej organizacji robotniczej...

Dotychczas ożywieni życzliwością, otulili się nagle jakąś rezerwą. Dopiero po chwili windziarz zapytał:

— Za dziadkiem, panie kapitanie, czy też nie? Niekrajewski odrzekł pośpiesznie:

— Za dziadkiem, naturalnie, że za Piłsudskim! — nic jeszcze sam na pewno nie wiedział.

Wówczas rozruszał się dozorca:

— Musowo za dziadkiem, panie kapitanie! On

też przecież od tego zaczynał — od robotników.  
A teraz ma dobrze...

Zjadliwie wtrącił się kelner:

— Za dobrze ma w tym swoim Belwederze!

— Taki wielki człowiek, nasz naczelny wódz! —  
łagodził windziarz, były podoficer.

Lecz górował nad innymi głos dozorca:

— E, panie kapitanie, z robotnikami to dobra sprawa. Sam przecież kiedyś byłem robotnikiem! Jak zobaczą, że dla nich ktoś coś robi, to oni za takiego głowę dadzą...

— Ja niechcę narazie głowy — żartował Niekrajewski. — Ale forsę chcę mieć. Jeść, panie, chcę. Mieszkać, panie. Pić, palić i... tego... — rzucił frywolny domyślnik.

Uśmiechnęli się do siebie na to wyliczenie potrzeb.

— To może panu kapitanowi coś naszykować z kuchni? — odrazu zrozumiał go kelner.

— Aj, proszę pana, tyle panu już jestem winien! Ale jeśli jeszcze można, to może się tam coś znajdzie, dobrze? Nie jadłem jeszcze dziś!

I już ośmielony zwrócił się do dozorca.

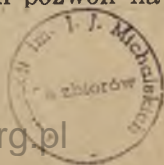
— Proszę pana, a możeby tak i kąpielkę na jutro, za jednym zamachem? — zamarzył o wannie, znajdującej się w wyłącznej dyspozycji dozorca.

Ten skinął głową na znak zgody:

— Wiadomo, panie kapitanie! A już jak pan będzie za takiego, co to z robotnikami, to i o mnie pan nie zapomni. O starym, panie, robotniku.

A windziarz sobie:

— Jak już się tam pan kapitan uplacuje, to i ja może zapiszę się. Dotychczas nie należę do żadnej organizacji... Ale może pan kapitan pozwoli na górę, to ja zawiozę! — zaofiarował się.



Było to dla Niekrajewskiego już ostateczną zachęta do poważnego, rzeczowego potraktowania na winąwszych się mu spraw.

Pojechał windą na górę. Zjadł za dwóch. Wyciągnął się na swem łożu, okrytem półkocem wojskowym, pod którym miękko się słały — wypełniony plewami siennik i czerwona, wymiętoszona poduszeczka, bez poszewki, z białymi kosmykami sypiącego się pierza...

Leżeli z kolegą na swych łózkach, oddaleni o jeden metr i nieskończoną odległość czegoś swego. W ciemności późnego wieczoru i nocy oddając się własnym myślom.

Kołysały one Niekrajewskiego do snu o niezwykłym, jak najniezwykłym dalszym rozwoju wypadków. że niby, jak to odrazu da się poznać. Jak się wyróżni, wybije, wyniesie. On — kierownik tłumy robotników — ponad tłumy. Dzięki przyziemnemu proletarjatowi — na zawrotny szczebel jak najzaszczytniejszych arystokratycznych stosunków... Zażyłości, może czasem — koligacji! — nie zapominał o babce, „baronowej ostzejskiej“.

Lecz jednocześnie przypomniał sobie o tej pracy literackiej do spółki z porucznikiem Sochaczewskim. że to mają pisać razem powieść lub komedję, — a strasznie mu się tego nie chciało! Boże, jak się nie chciało!!

Bo przecież inna to całkiem rzecz — coś robić naprawdę, a inna siedzieć i dulczyć nad pisaniną. Inna — iść w życie, włązić, wsuwać się, jak w jakąś rurkę zsuwaną, kawałek za kawałkiem, w coraz większy, w coraz szerszy... A inna — siedzieć i gwałtem pisać, jakgdyby obrywając z siebie szmatami jakąś zwierzchnią powłokę. I drzeć, drzeć, że z każdą chwilą może wyleźć na wierzch sam goły środek. Nic,

tylko ten obnażony, nagi środek człowieka. Wtedy, gdy już nic więcej nie pozostanie do oberwania...

Nazajutrz obudził go dozorca:

— Panie kapitanie, panie kapitanie, proszę wstać! Kąpiel już czeka. Robotnicy też tylko raz na tydzień porządnie się myją! — dogadywał.

O, słodyczo kredytowanej, ciepłej kąpeli! O, radości czystego kawałka bielizny na ciele, wymytem po raz pierwszy od kilku miesięcy!!

Po powrocie z kąpeli, oszołomiony tem nagłym wkroczeniem w „dobrobyt“, Niekrajewski zapragnął ogolić się. Nagusieńki, w króciutkich połatanych kalesonach, golił się po chwili wypożyczoną, jeszcze raz na stukrotne zakłęcia, brzytwą kolegii...

Wtem zapukano do drzwi. W pokoju zjawił się nieoczekiwanie sam sprawca tych wszystkich przemian — porucznik Sochaczewski.

Niekrajewski zawstydział się. Tyle mu wczoraj był mówił o swej biedzie. A tu dziś na stole — resztki uczyty od kelnera. W lusterku — ogolona gęba. Na nogach i brzuchu te króciutkie, świeżo uprane kalesoniki. Ciało biało-różowe, czyste, aż szorstkie od długiego mycia mydłem...

Ale Sochaczewski patrzył na wszystko narazie z jak najlepszej strony:

— Proszę ubierać się jak najprędzej! — rzekł. — Widziałem się jeszcze wczoraj z Giedyminem i umówiliśmy się, że zejdziemy się dziś o tej porze u pana.

— Książę ma tu przyjść!! — wykrzyknął Niekrajewski. Poczem jął z gwałtownym pośpiechem wkładać na swą nagość dalszą część garderoby. A leżący kolega zmusił go błagającymi gestami do przykrycia siebie jakimś starym płaszczem. Zawsze to przyzwoiciej wygląda!



— Tak, — rozsiadł się Sochaczewski w jedynym krześle koszykowym — postanowiliśmy wczoraj z Giedyminem przyspieszyć całą sprawę. I właśnie mieliśmy się tu spotkać, żeby z panem wszystko szczegółowo omówić...

O dumo, dumo, rychła następczyni wszelkich, kołaczących się jeszcze, sprzecznych i gmatwających się uczuć i myśli!

Niekrajewski przyjął to, jako jeszcze jeden objaw, urosłych w ciągu niecałej doby — jego szans, możliwości i wartości...

Przy leżącym koledze, ostrożny Sochaczewski nie powiedział jednak nic więcej. Siedział sobie i patrzył swemi czarnemi, spoważniałemi nagle oczami, na wszystko co było w pokoju.

Dwa łóżka. Pomiędzy niemi, pod oknem, stolik. W przeciwnym końcu, przy drzwiach, umywalka i podręczna kuchenka. Pod jedną ścianą — kufer, kosz i jakieś paczki. Jak wszystko w pokoju — własność kolegi. Pod inną, jedna na drugiej, dwie małe walizki Niekrajewskiego.

— Z pewnością już nie przyjdzie — rzekł, patrząc z jakimś niezrozumiałym żalem na oglądane przez siebie rzeczy. — Chodźmy więc, chodźmy już! — rzucił się nagle ku drzwiom, z nieukrywaną do wszystkiego co widział, odrazą.

— A tak, tak! — przyznawał mu rację Niekrajewski, myśląc jeszcze o Giedyminie. — Mówiła mi właśnie wczoraj panna sekretarka Bławatkówna, że pan Giedymin jest na zebraniu w... fidze — udawał, że rozumie co to znaczy.

— Naturalnie, — odrzekł już od drzwi Sochaczewski — wszystko się kiedyś zmieni, gdy wróci Jagiełło! Nie będzie tego co teraz, tej podwójnej funkcji...

Niekrajewski nie rozumiał i tego, ale jeszcze starym, zacnym zwyczajem wojskowym zdobył się na porozumiewawcze i wyczerpujące:

— Tak jest!

Z tem wyszli. Pojechali do Sochaczewskiego na obiad.

Po drodze, w tramwaju, żeby nie psuć sobie rozkoszy na samą myśl o tym obiedzie, Niekrajewski nie odezwał się ani słowem. Znow się czuł, jak młody, niewyuczony pies, prowadzony przez bardziej ułożonego. Jedynie szukał okazji, by jakoś tak nieznacznie, z boku, móc patrzeć Sochaczewskiemu w oczy i czytać w nich dalsze wyroki. Było to możliwe o tyle, że oczy te zlekka zezowały...

Podobnie zachowywał się i przy stole. Zmieniając przedmiot swych obserwacji tylko wtedy, gdy coś miał na talerzu. A miał dużo! I długo, długo jeszcze po wszystkich, obracał przed sobą z lubością kawałek gęsiny. Śmieszna rzecz, wszyscy mówili, że zatwarda!?

Po obiedzie siedział Niekrajewski na miękkiej, wygodnej kanapie. Ćmił papierosy. Pił kawę i popijał jakiś likier.

W dalszym ciągu nie pytał się o nic. Nie bawił się już nawet w żadne domysły.

Udawał, że słucha uważnie, co mówił mu Sochaczewski. Znow o tej powieści lub komedji. O dostojności pracy na „odcinku robotniczym“. O przyszłości związku wielkiej Polski mocarstwowej. O jego własnej, Niekrajewskiego, w związku z tem świetnej przyszłości...

Lecz to wszystko jakże dalekie było od niego!

Widział przed sobą co innego. Co innego pochłaniało w tej chwili całą jego świadomość...

Za małemi szybkami gęsto pokratkowanego okna

widział skrawek podmiejskiego horyzontu. Horyzont był zasłonięty laskiem.

Otóż do tego lasku przeniosła się na cały czas poobiedniej rozmowy wyobraźnia Niekrajewskiego.

Wszystko, co mu mimowoli wpadało w ucho, wyrastało przed oczyma w gotowych kształtach drzew. Małych, karłowatych drzewek na jałowym, wydmuchanym przez wiatry, piaszczystym pagórku.

Był tu arystokrata i robotnik. Sochaczewski i on sam, zniewolony swą biedą do wszystkiego, Niekrajewski. I ci wszyscy, o których był się już otarł ze swą nowiną o posadzie.

Pośrodku lasku widział nawet dwa zwalone drzewa. Leżące obok siebie, jak on ze swym kolegą w „ich domu“...

I było tak, dopóki nie nadszedł szybki wieczór. Wtedy, ukosem z niskiego nieba, strzeliła poprzez las jasna smuga zachodu. Cały lasek, cały ubogi drzewostan piaszczystego wzgórzka wystąpił teraz jak na ekranie. Widziało się go naprzestrzał.

Pustka tak oświetlonego krajobrazu odjęła Niekrajewskiemu zdolność dalszego personifikowania. Drzewa stały się zpowrotem tylko drzewami. I oczy jego błądziły — w jakby zbliżonym teraz lasku, coraz samotniejsze, coraz bardziej opuszczone...

Ocknął się wreszcie na kanapie, gdy Sochaczewski kończył ustalanie trybu ich piśmienniczej współpracy.

Niekrajewski, odruchowo, widząc w nim jedyne sprawcę swych pogmatwanych „leśnych“ nastrojów, zaprotestował z całej siły:

— Nie, panie poruczniku! Ja nie mogę, ja nie potrafię!! — musiał, przynajmniej w tej formie i w tym kierunku, dać ujście swemu rozżaleniu. —

Za nic, za nic, nie będę pisał z panem ani powieści, ani komedji...

— Cóż znowu! Dlaczego!?! — zdumiał się Sochaczewski.

— Nic, nic... Tak sobie... Śmieszne rzeczy. Ja i powieść, ja i komedja! Nie będę pisał, nie potrafię! Bardzo pana przepraszam, — miał nawet łzy w oczach z tej swej beziły — ale nic z tego nie będzie... Za to, jeśli pan pozwoli, to sobie zatrzymam na pamiątkę tylko to — o tych ekskrementach! — starał się chociaż tem zrównoważyć swe wycofanie.

— Ależ bardzo proszę — wziął to za „dobrą monetę“ Sochaczewski. — Zawsze panu chętnie służę!

Taki był pierwszy rozpaczliwy uskok Niekrajewskiego z tego co go zaczynało otaczać, zdawało mu się, jak ten las.

Wyskoczył z niego, jak młody psiak z przerażliwym skomleniem. Poto, by za chwilę wpaść zpowrotem...

Gdy już wychodził, Sochaczewski, jakgdyby mszcząc się na nim za odrzucenie współpracy literackiej, przycisnął go do ściany w przedpokoju:

— Uważa pan, panie kapitanie, — tłumaczył mu na jedno ucho jakimś suchym, służbowym tonem — nie powiedziałem panu jeszcze jednej historii. Chodzi, mianowicie, o to, że istnienie naszego oddziału robotniczego ma pewien, bardzo doniosły cel, że tak powiem, — państwowo!

— Państwowo!?! — nie wiedzieć dlaczego jęknął Niekrajewski.

— Tak jest. Jest to bowiem kadra robotnicza na wypadek jakiegokolwiek strejku. Pogotowie techniczne, rozumie pan!?! Z chwilą, gdy się coś popsuje, przestaje pracować jakiś warsztat, fabryka,



robotnicy zbuntują się... My, my urachamiamy natychmiast wszystko własnymi siłami... Mamy nawet w tym celu swoje wojsko! — roześmiał się. — Kompanję robotniczą przysposobienia wojskowego...

Niekrajewski wiedział — nazywało się to „łami-strejkiem“. Czuł jednak, domyślał się w sobie tej myśli, że tem bardziej musi wejść w to wszystko. Wkopać się w te sprawy za śmieszłą cenę 150 zł. do pierwszego!! A potem, potem zobaczy...

Lecz Sochaczewski nie poprzestał tylko na tem. Zmieniając pozycję i ton na jeszcze bardziej uroczysty, zmusił Niekrajewskiego do podstawienia mu drugiego ucha i policzka.

— Aha! — przypomniał sobie. — Zapomniałem pana zapytać, jak pan stoi, panie kapitanie, w obozie rządowym? Zapewne, jak ja, jest pan piłsudczykiem, ale tylko dla marszałka! Co zaś do jego otoczenia, to wie pan, — kręcił porozumiewawczo głową. — To przecież rzeczywiście... — przyznawał komuś razję według, zdawało się, utartego szablonu. — Ale to nic! — pocieszał wypuszczając go ze swych rąk. — Jeszcze my sobie z tem damy radę!...

Niekrajewski wyszedł od Sochaczewskiego już w nocy. W ciemną, listopadową noc, wśród której, jak w lesie, długo błądził, zanim dostał się do świateł centrum miasta.

Był wciąż jeszcze jak w lesie...

## JAGIELLONIDZI.

Niekrajewski dzwonił do drzwi, na których wisiał karton z napisem „Związek Wielkiej Polski“ z dopisanymi u dołu małemi literami — „Mocarstwo-

wej". Dopisek był tak niewyraźny, że można było przeczytać — „Monarchistycznej“...

Drzwi otworzyło jakieś indywiduum w mundurze. Coś pośredniego między nawpół umundurowanym inwalidą wojennym a członkiem przysposobienia wojskowego.

Sekretarz Giedymin był zajęty w swym gabinecie. Poczekalni nie było. Niekrajewski wszedł więc do pokoju biurowego, w którym kręciło się kilka osób.

Uklonił się. Śmiało podeszła ku niemu młoda dziewczyna.

— Bławatkówna — odrzekła na przedstawienie. — Pan Giedymin jest w tej chwili zajęty — uśmiechnęła się. — Konferencja! — dodała poważniej.

Niekrajewski usiadł na wskazanej mu kanapie i rozglądał się po pokoju.

Był to niewielki, przechodni pokój prywatnego mieszkania, zamieniony na biuro „pracy społecznej“.

Po raz pierwszy w życiu widział to połączenie, nieodłącznych sprzętów biurowego urządzenia z niedającymi się całkowicie usunąć przedmiotami „użytku prywatnego“. Jakiś stoliczek z albumami. Nieoczekiwanie tkwiąca pod lustrem domowita komoda. Tu i ówdzie — misternie podziurawione białe plamki serweteczek, ozdóbek...

Oglądał to wszystko z uczuciem pewnej dumy. Oto wszedł po raz pierwszy w ognisko, tak mu dotychczas dalekiej „pracy społecznej“. Stawał się odtąd jej uczestnikiem, za przykładem jakże wielu, od iluż „polskich“ lat, niezliczonych pracowników. Chociaż na szarym końcu, lecz wpisywał swe nazwisko do szeregu poprzedników, kiedyś, tak samo jak on, również zaczynających „z niczego“. By teraz, wiedział

o wielu takich przykładach, wznieść się wysoko, dzierżyć ster władzy, panować...

To też, już mniej dobrodusznie, przyglądał się paczce młodych ludzi, zajętych w tym pokoju jakimiś swojemi, łączącemi ich społecznie sprawami. Domyślał się w nich, na swój sposób, swoich rywali. Uprzedzili go, wleźli tu już niewiadomo odkiedy. Rządzą się oto, jak „szare gęsi“. O ileż wydawali się mu bliższymi jakichś rezultatów, niż on sam — kapitan, wysłużony, o wiele od nich starszy, lecz dotychczas maruderujący samopas, gdy oni — zwartym, zorganizowanym zespołem...

— Jagiellonidzi! — szydził z nich pocichu. — Szczeniaki!! — warczał na nich bezgłośnie warczeniem ukrywanego oburzenia.

Na środku pokoju zebrali się wszyscy wokół Bławatkówny, prezentującej im jakieś zdjęcia z uroczystości, w której związek brał niedawno udział.

Obnosząc się z temi fotografjami, podsunęła je pod nos również Niekrajewskiemu.

— Niech pan zobaczy, — zachęcała wesoło — to nasze przysposobienie wojskowe, kompanja robotnicza!

Na fotografii przeżył się karykaturalnie dwusereg robotników, poprzebieranych w mundury, uzbrojonych...

Niekrajewski wołał przypatrzeć się Bławatkównie.

Obserwował ją chciwie już od początku. Od pierwszej chwili spotkania na środku tego jasno oświetlonego, ciepłego, umilanego, zdawało mu się, przez nią pokoju.

W tem, napół biurowem, napół prywatnem urządzeniu przypadła mu bardzo do gustu. Dość wysoka

i mocno zbudowana. Płowa grzywa nad niezbyt ładną, lecz „niezłą“ twarzą. Wesoły, sympatyczny głos. Szybkie, energiczne, swobodne ruchy, w krótkiej sukience i w błękitnawym swetrze. Nogi proste, długie, dobrze odsłonięte...

Jedyny wyraźny feler — kaczy nos z lekkim żłobkiem na końcu. Żłobek jednak mógł uchodzić za jakiś stały uśmiech, błędzący na końcu nosa.

Wśród młodych ludzi — jagiellonidów — wydawała się znacznie starsza. Nieomal jak guwernantka komenderowała nimi wszystkimi, stanowiąc jednocześnie punkt centralny i jedyny biurowego aparatu wykonawczego.

Młodzi ludzie wchodzili i wychodzili. Witali się i żegnali z Niekrajewskim, lub nie. Podawali mu, ku jego tłumionemu rozgoryczeniu, niedbałym ruchem dłonie. Na odczepnego, jak pomiędzy sobą. Szwar-gocąc wciąż, przerzucając się w jakimś nieuchwytnym pośpiechu wyrazami, określającymi jedynie dla nich pojęcia tej pracy, rezultaty jej i cele...

Niekrajewski siedział tu, cierpiał, i wciąż napełniał się coraz większym żalem do losu. Z tego też powodu, co chwila rzucał na Bławatkównę wymowne, zdawało mu się, porozumiewawcze spojrzenia. Przechywał w niej bowiem podobną sobie „ofiara losu“, zmuszoną do tej „pracy“ wśród pętających się, zarozumiałych młodzieniaszków, wśród oczywistego dla niego „bałaganu“ ich zabiegów...

Nagle z gabinetu Giedymina ktoś wyszedł do przedpokoju. Na progu stanął ubrany po cywilnemu porucznik Sochaczewski.

— A to pan już jest tutaj! — zawołał na widok Niekrajewskiego. — Świetnie! Zaraz pomówimy z Giedyminem — prowadził go ze sobą zpowrotem do gabinetu sekretarza generalnego.



W malutkim pokoiku Niekrajewski przedstawił się młodemu, układnemu człowiekowi. Słodkiemu amantowi filmowemu, ze smutnymi czarującymi oczami.

Usiedli. Sochaczewski zagłębił się niezwłocznie w odczytywanie kilku kartek jakiegoś rękopisu.

Giedymin zaczął rozmowę, jakby umyślnie zaciągając z litewska:

— Bardzo nam przyjemnie, panie kapitanie, pozyskać w panu nowego sekretarza naszego oddziału robotniczego. Rzeczywiście, dotychczasowy sekretarz, pan Przechwalski, jest jednym mojem wielkiem utrapieniem. Wcale tu do mnie nie przychodzi. Niby jest naszym człowiekiem, a wciąż trzyma od pewnego czasu z robotnikami i tym konsulem Tomaszewiczem... Pan zapewne już słyszał?

— A jakże, wszystko już panu opowiedziałem! — wpadł w to Sochaczewski, nie odrywając oczu od rękopisu.

— Obecnie wytworzyła się taka sytuacja, — śpiewał dalej Giedymin — że właściwie, prawie nie mamy żadnego wpływu na nasz oddział robotniczy. Tomaszewicz rządzi się w nim jak chce. To znaczy, że kompletnie nic nie robią. Ma za sobą cały obecny zarząd! Przechwalski, sekretarz, też pokumał się z robotnikami. Pro prostu, od dłuższego czasu, nie mogę go ściągnąć do siebie! A ma na sumieniu rozmaite rozrachunki!... Ach, co ten Jagiełło narobił, oddając mu sekretarjat oddziału!! — westchnął w stronę Sochaczewskiego.

— W tych warunkach, panie kapitanie, — przerwał mu Sochaczewski — pan, obejmując sekretarjat, winien wszystko wziąć mocno w rękę. Jak najwięcej zaś militaryzować! Ma pan pod tym wzglę-

dem do pomocy całe nasze robotnicze przysposobienie wojskowe... Musi pan sobie ułożyć plan działania!

— Tak na przykład, — wykladał swe bolączki Giedymin — oddział robotniczy, który jest zorganizowany na zasadzie samorządności administracyjnej — niewiadomo czem dysponuje! My płacimy ich sekretarza. My finansujemy wszelkie imprezy robotnicze. A tymczasem, gdy zaopatrzyliśmy w mundury naszą kompanję przysposobienia wojskowego, — przyczem każdy z członków, który dostał mundur, miał spłacać po 5 zł. miesięcznie, — dotychczas nie okazało się żadnego wpływu. Mundury są rozdane, a nikt za nie nie chce płacić. A my pokrywamy weksle!!

— A wszystko przez tego warjata Tomaszewicza i idjotę Przechwalskiego! — zawołał Sochaczewski. — Trzeba już raz z nimi skończyć!!

— Ale jak skończyć!? — zafrasował się Giedymin. — Zwołałem onegdaj komisję rewizyjną związku — tłumaczył swój kłopot Niekrajewskiemu. — Pozjeżdżali się panowie nawet zdaleka, z poza Warszawy, a Tomaszewicz nie zjawił się... W dodatku jeszcze obraził się, że ja, jako sekretarz generalny, wkroczyłem w jego kompetencje, — prezesa komisji!! Napisał list do prezesa związku, hrabiego Rybińskiego, że dopóki ja tu jestem, on więcej nie zjawi się, że winienem go przeprosić!?... Przecież w ten sposób nie można pracować! Zbuntował potem naszych robotników, przeciągnął na swoją stronę sekretarza Przechwalskiego... Ach ten Jagiełło!!

— O, to jest robota! — mruknął do siebie z uznaniem Sochaczewski, wczytując się w kartki swego rękopisu.

Niekrajewski zdobył się wreszcie w tym dwugłosie na kilka słów:

— Panie sekretarzu, — zapytał — a jak się

przedstawia ogólnie sam szkielet związku? Chciałbym poinformować się co do zasad organizacyjnych...

Giedymin szybko sięgnął do szuflady i wydobył kilka egzemplarzy statutu związku. Następnie zwinnie pobiegł do Bławatkówny i wrócił z deklaracją członkowską.

— Przedewszystkiem, musi pan wypełnić naszą deklarację. Inaczej nie możemy wprowadzić pana do oddziału robotniczego, jako członka i przedstawiciela związku! Inne formalności pominiemy — radził się okiem Sochaczewskiego. — Nie będziemy trzymali się punktu o trzymiesięcznym okresie kandydackim. Ani też co do ilości członków wprowadzających. A datę wstąpienia pana cofniemy sobie trochę wstecz...

Niekrajewski podpisał się pod deklaracją, przysięgając w niej na „Boga Jedynego“, że najdroższą ponad wszystko będzie mu przyszłość mocarstwowa Polski. Polski, cofającej się w ideologii jagiellonidów do najwspanialszego swego okresu — Jagiellonów, z którym łączył ją narazie ten kruchy pomost kartoniku deklaracji...

Giedymin, raz po raz wywoływany przez Bławatkównę do telefonu, musiał od czasu do czasu ulegać również żądaniu młodych ludzi, którzy atakując o jakieś „uzgodnienia“ wciąż wyciągali go z gabinetu. Tym razem sekretarz generalny znikł na dobre. Sochaczewski był zatopiony w swym rękopisie. Niekrajewski mógł więc zająć się lekturą statutu.

Czytał go jak „Pismo Święte“, daremnie siląc się rozwiązać zagadkę treści, poza schematycznymi ogólnikami.

„Treść“ własną jednak szybko sobie uprzytomnił w tem, co tu jeszcze miał do załatwienia.

— Panie poruczniku, — mrugnął ku Sochaczew-

skiemu — a możeby tak za jednym zamachem załatwić i z temi mojemi 150 zł.?

— A tak, dobrze, zaraz! — ożywił się zaczytany Sochaczewski. — Słuchaj, — zwrócił się do wchodzącego zpowrotem do gabinetu Giedymina — załatw no z panem kapitanem sprawę honorarjum za tę połowę miesiąca, do pierwszego!

— Tak jest, w tej chwili — uśmiechnął się figlarne Giedymin. — Więc do pierwszego służę panu kwotą 150 zł., a od pierwszego wstrzymujemy wypłatę pensji sekretarzowi Przechwalskiemu i przelewamy ją na pana. Jest tego 300 zł. miesięcznie, ogromnie dużo, jak dla nas! — podkreślił, wręczając Niekrajewskiemu czek.

Był to tego dnia dla niego już ostatni moment upokorzenia. Zmiał czek w spoconej, zdenerwowanej dłoni. Zajrzał pytającym wzrokiem w czarujące swym bezwyrazem oczy Giedymina. Przysięgał sobie pocichu, że i te, i wszystkie inne pieniądze, które stąd dostanie, zwróci im kiedyś. A narazie odrobi, zarobi na nie, bodaj w najcięższym jarzmie tej tak nieznaney mu, a już wrogiej „pracy społecznej“.

Stali naprzeciwko siebie. Giedymin z uprzejmą miną słuchał pożegnalnych słów Niekrajewskiego:

— Dziękuję bardzo, panie sekretarzu! Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z tego, jak ważną jest praca, którą panowie tu wykonujecie. Dumny więc jestem, że jest mi dane pracować w niej, że tak powiem, u podstaw... Zawsze marzyłem o tem... Plan działania w zakresie mych czynności nie omieszkać panu wkrótce przedstawić!

— U podstaw.. — w unisono powtórzyli Giedymin i Sochaczewski, z uśmiechem wybaczenia patrząc na sztuczne usiłowania Niekrajewskiego...

Sochaczewski i Niekrajewski wyszli tego wie-



czora z sekretarjatu, jak ludzie, którzy dokonali na dziś wszystkich swych zamierzeń. Spokojnie, bez żadnego już kłopotu na głowie, udali się do kawiarni.

W zaciśniętej w kieszeni dłoni Niekrajewskiego szeleścił jednak zdradziecki czek. Pod jego dotknięciem, jak talizmanu, nabrał odwagi.

— Niechże mi pan już raz wytłumaczy, panie poruczniku! — rzekł ze swadą. — Co oni tu wszyscy robią!? Co to jest ten związek, skąd, dlaczego, nacopoco!? Po djabła nadali się ci młodzi chłopcy, którzy się tam dziś przez cały czas kręcili!?... Jak już dostałem te swoje 150 zł., to niechże przynajmniej wiem teraz wszystko! Mam prawo, czy nie!? — zawołał.

— Naturalnie, panie kapitanie, że ma pan prawo — rozbrajająco odrzekł Sochaczewski. — Ale proszę mi powiedzieć, co właściwie jest dla pana niejasne!?

— No, to wszystko! — wołał Niekrajewski, dziwiąc się, że tamten nie może go zrozumieć. — Po kiego licha to wszystko jest potrzebne!?

— E, niechże pan tak odrazu mówi! Potrzebne! Co znaczy — potrzebne!? Jest — to jest... Musi przecież coś być, gdy ludzie chcą coś robić! — wyrzekł sentencjonalnie. — Mówiłem już panu, skąd to wszystko pochodzi. Cóż, mają w Polsce istnieć same organizacje opozycyjne!? Niedoczekanie ich!! Panie kapitanie, — dodał z naciskiem — proszę nie zapominać, że związek jest organizacją prorzadową. Na czele związku stoją ludzie, którzy wzięli na siebie zadanie, niezależnie od innych pokrewnych organizacyj, wcielić w naszemu społeczeństwie zarysy tej ideologii, — podniósł palec do góry, — która jedynie coś znaczy w Polsce!... Maszerować oddzielnie, bić razem! — zacytował z zapalem czyjś aforyzm... — A ta młodzież, którą pan dziś widział, to nasza grupa aka-

demicka, najmłodsze latorośle jagiellonidów!... Jest ich narazie bardzo niewiele, ale sam pan widział z jakim pracują zapalem!... Co się tyczy robotników, to wkrótce się pan osobiście przekona. Byle tylko potrafił pan jak najprędzej oczyścić zarząd oddziału i zabrać się do przeprowadzenia jakiegoś realnego programu!... Należy zwłaszcza położyć nacisk na militaryzację i na pośrednictwo pracy. Ja w tem panu dopomogę! Jest to bardzo ważna rzecz, bo umożliwi nam usunięcie robotników z pod wyłącznego wpływu konsula Tomaszewicza. On ich przecież stale buja, że da kiedyś pracę wszystkim bezrobotnym!...

— No, dobrze — zgadzał się Niekrajewski. — Ale kto kieruje całą robotą? Kto właściwie stoi na czele związku!?

— Kieruje!? Kieruje sekretarjat! To znaczy — Giedymin i parę osób z komitetu głównego. Ja — jako nieoficjalny członek. Hrabia Rybiński, prezes. Poseł Bohdanowicz, wice-prezes. Hrabiowie Strumieńscy, Słomiński i inni...

— Ale proszę mi powiedzieć, czego się oni trzymają, jaki konkretny cel im przyświeca? — nie ustępował Niekrajewski.

— Cel? Cel jasny — monarchja!! Przecież wszyscy oni, ci nasi arystokraci, marzą o monarchizmie w Polsce. Stąd ten ich pęd do pracy politycznej i społecznej. Stąd finansowanie, po kilka tysięcy miesięcznie z kieszeni każdego. W naszych czasach!

— Mo—nar—chiś—ci! — przeciągle zagwizdał pocichu Niekrajewski. — A cóż to może mieć wspólnego z robotnikami!? — przypomniał sobie swoje.

— Z robotnikami, rzeczywiście, nic! Ale proszę zrozumieć, Tomaszewicz — twórca naszego oddziału robotniczego, jak już panu mówiłem, szastał się z nim i tu, i ówdzie. Otóż ostatnio, przed przyjściem do nas,

przypiął się do księcia Samotyhi, który coprawda nie idzie z nami bezpośrednio, ale czuje i myśli jak nasi arystokraci... Przy Samotydze oddział robotniczy, stanowiąc za jego, zresztą, pieniądze — pewien, jakby nie było, kułak. W razie jakiejś potrzeby... Tymczasem książę położył się finansowo, i Tomaszewicz zważał, że trzeba poszukać znów coś nowego. Wybłągał wówczas u Samotyhi, by ten go gdzie dobrze przykleił. Samotyha zaś polecił go naszemu Rybińskiemu... I stąd bierze wszystko początek, jeśli chodzi o nasz oddział robotniczy... A czy da pan wiarę, — przerwał — że ten warjat Tomaszewicz, teraz, gdy wywołał rozłam pomiędzy nami a robotnikami, grozi, że pójdzie do Samotyhi, ze skargą, z pretensjami?...

— Tak, — to rozumiem! — zaczynało to „bawić“ Niekrajewskiego. — No, a cóż na to robotnicy?

— Nic. Przecież oni zupełnie bezmyślnie idą za Tomaszewiczem. Co on powie, to dla nich święte! Mamy wśród nich zaledwie kilku oddanych nam ludzi, a i ci nie są zbyt pewni!... A znów dla tych, którzy są za Tomaszewiczem, to im w to graj! Są już przyzwyczajeni do tego, że za pieniądze idą w jakimkolwiek bądź kierunku... A jednak, myśli pan, że nie oddali nam pewnych usług!? A jakże, podczas ostatnich wyborów! Nawet na jakiś czas kilkunastu z nich uzbroiliśmy w rewolwery... Potem trzeba było siłą i podstępem odbierać im broń!... Widzi pan, to jest realna praca. A proszę wierzyć, że i nadal wszystko jakośby szło, tylko obecnie nic się w oddziale, ale to zupełnie nic, nie robi. Całkowicie zaniedbano wszelką realną pracę!... Przechwalski coś tam dłubie, coś wypisuje, gubi się w tem wszystkiemu, płacze... A trzeba poprostu, po wojskowemu! Podzielić robotników na drużyny, każdy starszy to mąż zaufania... Zobaczy pan wkrótce naszych mężów zau-

fania, trzeba tylko zrobić zbiórkę... Lecz teraz, teraz najważniejsze — wyrzucić Tomaszewicza i wszystko będzie dobrze!

— A dlaczegoż panowie tak z tem ciągną!?! — dziwił się Niekrajewski.

— Trudno, proszę pana! Ja niezawsze mam czas, a zresztą, mnie trudno w to włączyć zbyt wyraźnie! Giedymin — to jeszcze zbyt młody człowiek na takie rzeczy. W dodatku zawałony podwójną pracą i tu, i w fidze. Ale widzi pan, jak sobie sprytnie daje radę!! A inni, inni raczej przeszkadzają... Taki hrabia Rybiński, prezes, o niczem nie wie, tylko płaci!... Ma z czego, jeden z najbogatszych ludzi w Polsce!... Następnie wiceprezes, poseł Bohdanowicz. Znam go z czasów ostatnich wyborów. Nie nadzwyczajnego. Był jednym z sekretarzy, pracował sobie, pisał, był skromnym, cichym człowiekiem. A teraz, jak się dostał na posła, zobaczy pan sam! Trudno z nim dojść do ładu. Ale jakoś sobie radzimy... Szkoda jednak, że teraz niema z nami Jagiełły! — westchnął. — Trzeba również — przypomniał sobie — wzmocnić na terenie robotniczym akcję kulturalno-oświatową. Wie pan, damy panu tych młodzieńców-akademików! To zapalny materiał...

Niekrajewski, słuchając wywodów Sochaczewskiego, czuł coraz większe zniechęcenie do tej wielkiej akcji, jaka się przed nim otwierała. Zgóry już, nie stykając się jeszcze z robotnikami, był jak najgłębiej uprzedzony co do metody pracy związku na tym odcinku. Lecz z drugiej strony czuł się już związany, wciągnięty w tę pracę, wtajemniczony w stosunki, zapłacony...

Na samą myśl o swej niedawnej biedzie, bez tych 150 zł., na które czek już miał w kieszeni, truchlał i wolał to, niż nic...



Poza tem, ścieśniona obecnie do molekularnej cząsteczki serca, babka — „baronowa ostzejska“ — od czasu do czasu, na wspomnienie samych nazwisk arystokratów, urastała mu nagle do ogromu zachły-  
stującego zachwytu.

Wreszcie, jakaś niespokojna, łapczywa na wszystko myśl, pobudzała do konsumowania ojczy-  
stego chleba od tego chociażby, przygodnego końca. Ojczyzna, przedmiot pożądany nauki, odsłaniała mu się od tej robaczywej, rozkładającej się strony, —  
lecz czyż miał prawo odrzucić w tej chwili możność jej poznania!?

Nadewszystko zaś, stwierdził to teraz dobitnie, chociaż do tej „pracy społecznej“ przystępował z wiel-  
kiem opóźnieniem, nie widział narazie obok siebie specjalnie poważnych konkurentów.

— Byle tylko odrazu zażądać jak najwięcej! — stworzył sobie napoczekaniu główną zasadę swego planu działania, programu „realnej“ pracy...

Ale jednocześnie już nurtowała w nim złośliwa chęć wykręcenia się z tego wszystkiego, wycofania się sprytnie, bez strat, lecz z zyskiem materialnym i moralnym...

— Kto wie do czego to w przyszłości może do- prowadzić!? — myślał marząco.

Wypadkową zaś tego wszystkiego była naj-  
prostsza rzecz. Ku ucieście swej znalazł ją w tem jednym: Niwa robotnicza, leżąc w Polsce odłogiem, znalazła sobie w jagiellonidach jak najnieudolniej-  
szych „robotników“. Tkwił w tem cały, najistotniej-  
szy sęk!

Stąd rozwijała się właściwa linja postępowania: Wziąć udział w tej pracy i drogą negacji, dowieść, że wszystko to niema najmniejszego sensu!...

Zdawało się Niekrajewskiemu, że po tej pracy

myśli znalazł się na najwłaściwszej drodze. Buntu przeciwko „pozytywnej“ pracy jagiellonidów, który miał wylać się, w jeszcze niedość jasno ułożoną, ale już pewną, jedyną formę negacji...

Zdawało się mu, że gdyby nie odnalazł tego swego założenia. Gdyby się na nie nie był zdobył, ani chwili nie mógłby pozostać razem z nimi. Z arystokratami, krypto-monarchistami!...

Nawet poto, by uratować choć tę garść robotników! Poświęcić się dla nich!! Stać się prawdziwym klinem pomiędzy nimi a arystokratami i ich związkami!!!

— I to wszystko w „biały dzień“ mogło się dziać, stawać się w jego ojczyźnie!? — ogarniało go zdumienie i przerażenie...

Myśli te przerwał Sochaczewski, który przez ten czas znów zdążył zagłębić się w swym rękopisie

— Jaka szkoda, panie kapitanie, że nie zgodził się pan pisać wspólnie ze mną! Ach, żeby pan wiedział, jak mi się świetnie zaczęła pisać ta rzecz!! — potrzęsnał z triumfem wciąż odczytywanymi w ciągu tego wieczora kilkoma kartkami. — Prawdziwa pochwała naszej polskiej rzeczywistości! — dodał ze skromnym uśmieszkiem.

## REALNA PRACA.

Niekrajewski znów siedział w biurowym pokoju Bławatkówny i czekał na przyjęcie przez Giedymina. Od kilku już dni, bezskutecznie przychodził tu codziennie wieczorem, by omówić swój „plan działania“.

Tym razem w pokoju, prócz Bławatkówny, był tylko kędzierzawy, barczysty brunet, niespokojnie zmieniający miejsce co chwila, i w rogu, pod piecem,

dwóch, jak odrazu domyślił się Niekrajewski, — robotników.

Robotnicy siedzieli spokojnie, z przykładną cierpliwością na coś oczekując. Jeden z nich, starszy, melancholijny blondyn z płowym, dość obfitym wąsem. Drugi — czarny, zabiedzony, zniszczony, sterany...

Kędzierzawy brunet, parokrotnie zmieniając swe miejsce, znalazł się wreszcie na kanapie, tuż obok Niekrajewskiego.

Wtedy, jakgdyby dopiero co siebie zauważyli, wyprężyli się przed sobą do przedstawienia. Przytem, tak nagle zwrócili się wzrokiem do Bławatkówny, że musiała im rzucić z nad swego biurka:

— Pan komendant Korwin, — pan kapitan Niekrajewski!

— A my się już gdzieś spotykaliśmy! — zawołał wesoło komendant.

— Tak, być może, coś mi się nawet przypomina — delikatnie podtrzymał Niekrajewski, chociaż wiedział, że nigdy się przedtem nie widzieli. — A pan czem tu komenderuje? — zapytał, niejako fachowo zainteresowany powodem szumnego tytułu.

— Jestem komendantem kompanji robotniczej przysposobienia wojskowego. Kadrówki, którą projektuję rozwinąć zczasem w bataljon! — ochoczo recytował Korwin.

I nagle, urywając jakby chciał się popisać, rzucił się ku robotnikom:

— Czajkowski i Dera, dlaczego nie w kompanji, dziś przecież zbiórka!?

Robotnicy poderwali się po wojskowemu.

— Tak jest, panie komendancie! — zawołałi razem.

— Ale my tu do pana komendanta głównego,

do pana księżęcia, jako delegaci! — dorzucił innym, jakimś żalonym tonem, sumiasty blondyn, Czajkowski.

— Aha! — rozwiązał to Korwin. — Delegaci, zawsze jacyś delegaci! — dodał po chwili. — No dobrze!... Ach, dobiore się ja kiedyś do waszego zarządu!!

Odwrócił się od robotników. Usiadł przy Niekrajewskim i ściszym głosem jął objaśniać:

-- Widzi pan, panie kapitanie, sformowałem w naszym oddziale robotniczym kompanję przysposobienia wojskowego z rezerwistów. Pozapisywało się dużo, a chodzić na zbiórki nie bardzo chcą!...

-- A mundury to wszyscy sobie pozabierali! — wtrąciła Bławatkówna. I, zwracając się ostro ku robotnikom, dodała:

— Panowie dziś z pewnością nie doczekają się na przyjęcie przez pana Giedymina. Jest zajęty. A potem jeszcze pan komendant i pan kapitan!

Robotnicy poruszyli się. Po chwili dopiero Czajkowski rozżalił się:

— Czekamy przecież już od 5-tej. Musimy się dziś z panem księciem zobaczyć! My tu przychodzimy już który dzień? — szukał pomocy u towarzysza.

— Czwarty dzień już tu jesteśmy! — skrzywił się czarny Dera.

Wtem z gabinetu Giedymina wszedł do pokoju Sochaczewski.

— Proszę, panie kapitanie — zwrócił się do Niekrajewskiego. — Dobry wieczór panom! — podawał rękę robotnikom.

— Ale ja! Ja tylko na chwileczkę! — skoczył ku Sochaczewskiemu popędliwy Korwin. — Nie mam więcej ani chwili czasu! Mam zbiórke w oddziale... — wchodził za nim do gabinetu.



U Giedymina zastali przy biurku jeszcze jednego pana. Giedymin przedstawił mu Niekrajewskiego:

— Oto, panie pośle, nasz nowy sekretarz oddziału robotniczego — zaśpiewał, wywracając oczy.

— A, bardzo mi przyjemnie! — uśmiechnął się poseł o wyglądzie młodego, lecz dobrze zaawansowanego aplikanta sądowego. — Bohdanowicz jestem. Właśnie mówiliśmy o panu przed chwilą — błyskał binoklami to w stronę Giedymina, to Sochaczewskiego.

Jeszcze nie zdążyli zająć swych miejsc, gdy w małym tym pokoiku Korwin podjął cały rwetes:

— Panie sekretarzu generalny, — zwrócił się gwałtownie do Giedymina. — Panie komendancie główny!! Ja w tych warunkach nie mogę dłużej pracować. Urywam trochę czasu od zbiórek, żeby tu wpaść i z panem porozumieć się, a muszę czekać godzinami!... To samo z moimi ludźmi z kompanji. Ma pan tam dwóch, co już tu przychodzą czwarty dzień! Opuszczają zbiórki...

Sytuację wyrównał Sochaczewski. Otworzył drzwi i zawołał do robotników:

— Proszę panów tutaj!

Weszli Czajkowski i Dera. Obaj z jeszcze bardziej niż przedtem przygnębionymi, płacziwymi minami.

Wszyscy siedzieli, prócz robotników, którzy koronie stanęli przy drzwiach.

I nagle błysnął przed Niekrajewskim właściwy powód stawienia się ich tu, i żmudnego w ciągu kilku dni sterczenia.

— No, więc co panowie nam przynoszą? — otworzył im usta Sochaczewski.

I polało się:

— My, panie poręczniku, co mogliśmy! Gdzie się

<http://rcin.org.pl>

co dało, wywiadywaliśmy... Ale z zarządem nie nie poradzi! Nikt go już więcej nie chce, a jak przyjdzie co do czego, to niema na niego nijakiego sposobu. Nic, tylko wszyscy oglądają się na pana konsula Tomaszewicza!

— No, a sekretarz co na to? — indagował dalej Sochaczewski. — A co na to pan Przechwalski!?

— A cóż on może, panie poruczniku! — wyjęczeli jednogłośnie Czajkowski i Dera. — Musi słuchać się pana prezesa Tomaszewicza. A i z zarządem też nie poradzi, bo oni na niego donoszą panu konsulowi!

— A u Tomaszewicza byliście? — zagadnął Sochaczewski.

— Bylim, panie poruczniku, jak nam było nakazane! — Czajkowski z napływu szczerości i oddania miał łzy w błękitnych oczach. — Był i cały zarząd. Na posiedzeniu... — ściszył głos.

— I o czym-że tam mówiono?

— A tak jak zawsze, panie poruczniku, że wszystko będzie dobrze, byle nie słuchać komitetu głównego i pana księcia Giedymina. A co do pana księcia, to już pan konsul Tomaszewicz bardzo, z przeproszeniem panie poruczniku, nastawał. I tak mówił i gorzej... Wstyd powtórzyć! — łypnął okiem na milczącego Derę.

— Zas .. niec! — wykrztusił nagle tamten.

Słowo to w magiczny sposób przerwało badanie. Hasło ku złamaniu zapanowanego milczenia padło z ust posła Bohdanowicza.

— Przepraszam, panie poruczniku, — zwrócił się do Sochaczewskiego — pozwoli pan, że i ja zadam im pytanie.

Robotnicy zwrócili się ku posłowi.

— Proszę panów, — rzeczowo i poważnie zaczął Bohdanowicz. Giedymin i Sochaczewski przerzucili się

przytem jakimś porozumiewawczym gestem zniecierpliwienia.

— Proszę panów, — powtórzył poseł do robotników — oczywiście, to wszystko o czem my tutaj mówimy, to najściślejsza tajemnica. Rozumieją panowie? I to mówię wam ja, zastępca prezesa związku!

W odpowiedzi zabiegały oczy robotników, i znów te gesty Sochaczewskiego i Giedymina. W kącie stanął, jakby gotując się do walki, kędzierzawy komendant Korwin.

— Więc rozumieją panowie, że na moje pytanie należy odpowiedzieć szczerą prawdę? Jak na przykładzie! — poseł podniósł palce w górę, co bezwiednie naśladowali robotnicy.

— Otóż pytam się panów... Jak się nazywają?— zwrócił się do Giedymina.

— Czajkowski i Dera! — chrapliwie odwrzasnął niepytany Korwin.

— Tak jest, zdaje się — zgodnie przywtórzył Giedymin.

— Więc zapytuję was, panowie, Czajkowski i Dera, — jak się ustosunkuje masa robotnicza, gdybyśmy teraz zlikwidowali zarząd i odsunęli pana konsula Tomaszewicza i tego sekretarza...

— Jakże mu? — znów zwrócił się o podanie nazwiska.

— Przechwalski — odśpiewał teraz Giedymin.

Zapadło ponownie ponure milczenie. Łzy w oczach Czajkowskiego dawno już wyschły i suche źrenice cedziły teraz jakiś złośliwy blask. Dera zczerniał do reszty i aż usunął się jeszcze bliżej ku drzwiom.

Sytuację starał się naprawić ponownie Sochaczewski. Wskazując na Niekrajewskiego, oświadczył robotnikom:

— Widzicie tu, panowie, naszego nowego członka

związku, pana kapitana. Jest już on wyznaczony na nowego sekretarza oddziału robotniczego.

Korwin nagle poderwał się ze swego kąta, i nie żegnając się z nikim trzasnął drzwiami.

Robotnicy po raz trzeci zmienili front. Teraz ku Niekrajewskiemu.

— To pan teraz u nas nastanie... — ni to z podziwem, ni to z rezygnacją, stęknął Czajkowski.

— Tak, — wykańczał ich Sochaczewski — teraz już wszystko postanowione. Dość już tego bałaganu! Pan kapitan obiecał, że zajmie się tem wszystkim i że da sobie radę. Prawda, panie kapitanie?

— Naturalnie, spróbuję — Niekrajewski starał się dostosować do jego tonu.

Lecz głos znów zabrał Bohdanowicz:

— Panie sekretarzu, — zwrócił się do Giedymina — czy ma pan dla nich jeszcze jakieś polecenie?

— Tak, panie pośle, właśnie chciałem im to powiedzieć... Więc panowie, — bezmyślnie szturmował z kolei do Czajkowskiego i Dery — możecie już iść, a pamiętajcie, że musicie przynosić nam więcej informacji i bardziej być... tego, bardziej pewnymi siebie... I w jak największej tajemnicy macie panowie zachować to wszystko, co było tu mówione. A zwłaszcza to, co powiedział pan poseł — cedził, złośliwie patrząc na Bohdanowicza. — A potem, potem... — nie wiedział co im ma jeszcze powiedzieć.

— Tak, — pośpieszył mu z pomocą Sochaczewski — trzymajcie się panowie mocno. Głowa do góry! Z panem kapitanem dacie sobie radę z tem wszystkim...

Robotnicy pożegnali się ze wszystkimi kordjalnym uściskiem dłoni.

— A cóż to takiego!?! — odrazu po ich wyjściu zapytał Niekrajewski.



— A to nasz wywiad robotniczy! — otwarcie wyznał Sochaczewski. — Jesteśmy przecież w stanie wojny z zarządem oddziału robotniczego, z jego prezesem, konsulem Tomaszewiczem, a nawet sekretarzem Przechwalskim...

— Więc proszę panów, — przerwał mu Bohdanowicz — należy mojem zdaniem jeszcze raz zbadać wytworzoną sytuację... Ale napędziłem im strachu! — uśmiechnął się na myśl o tem, jakie wrażenie wywarło na robotników jego oświadczenie.

— Tak, — rzekł z przekąsem Sochaczewski — tylko, niestety, teraz tamci dowiedzą się o wszystkim. Przecież ci — Czajkowski i Dera — nie wytrzymają i wszystko opowiedzą robotnikom. Dobrze, jeśli tylko to, ale przecież oni potrafią to samo robić dla tamtych, co niby robią dla nas!

— Więc cóż teraz zrobić!? — bezradnie migał poseł binoklami. Sochaczewski i Giedymin z pogardą wzruszyli ramionami.

— Aha, już wiem! — zorjentował się poseł. — Trzeba niezwłocznie wystosować do Tomaszewicza list z przeproszeniem...

— Z jakim przeproszeniem!? — zdumiał się Giedymin.

— No, z przeproszeniem za paną, za to zwołanie komisji rewizyjnej bez porozumienia się z nim, jako prezesem... — nie dokończył.

Nie dokończył z powodu Sochaczewskiego.

— Nie, panie pośle! — rzekł ten twardo. — Teraz już nic nie pozostaje, jak kropić dalej. Mojem zdaniem należy zawiadomić Tomaszewicza listownie, że pozostaje usunięty ze swego stanowiska, że jesteśmy gotowi usunąć go wogóle ze związku!

— Ależ to niemożliwe! — zawołał Bohdanowicz. — To przecież zupełnie niedyplomatycznie.

Lecz tu wtrącił się Giedymin:

— Mojem zdaniem, — rzekł słodko — możliwą jest teraz tylko jedna rzecz. Pana kapitana odrazu wprowadzić do oddziału na miejsce Przechwalskiego. A Przechwalskiego znów wziąć w nasze ręce. Poróżnić z Tomaszewiczem, że to przez niego następuje zmiana na stanowisku sekretarza. I obiecać Przechwalskiemu jakąś płatną posadę w terenie, żeby go znów przeciągnąć na naszą stronę...

— A co pan na to, panie kapitanie? — zapytał Sochaczewski. — Jako świeży człowiek, może pan ma jakąś nową myśl?

Niekrajewski mógł sięgnąć wreszcie aż do zasadniczego punktu swego „planu działania“...

— Zgadzam się zupełnie z tem, co mówił pan sekretarz Giedymin, ale pod jednym warunkiem. Po usunięciu sekretarza Przechwalskiego, ja nie obejmę jego stanowiska, lecz zostanę kierownikiem organizacji robotniczej związku. A na sekretarza może panowie wyznaczą kogoś, chociażby z pośród tych akademików, których tu widziałem...

— A z Tomaszewiczem jak!? — zwrócili się do niego zaskoczeni tą „nową“ myślą.

— Co do pana Tomaszewicza, to stawiam taki warunek: Tomaszewicz zostaje, jako prezes organizacji, lecz styka się z nią tylko zdaleka, tylko za mojem pośrednictwem, jako kierownika! — improwizował, czując, że taka kombinacja — w wypadku pierwszym powinna odpowiadać Giedyminowi i Sochaczewskiemu, ze względu na „wzmocnienie władzy“, a w drugim — Bohdanowiczowi, wciąż nie mogącemu znaleźć dość dyplomatycznego rozwiązania sprawy z konsulem honorowym.

Niekrajewski wstał:

— Taka jest moja myśl i takie moje warunki.

Jeśli panowie nie zgadzają się, — składam mandat! — zagroził.

Spojrzeni po sobie ni to bezradnie, ni to z uznaniem dla niego.

Po chwili jednak Sochaczewski wybuchnął:

— Nigdy się na to nie zgodzę! Panie kapitanie, to połowiczne rozwiązanie sprawy! — kiwali do siebie głowami z Giedyminem.

— A ja się nie zgodzę, jeśli panowie nie przyjmą tych warunków!! — wziął na kiel Niekrajewski.

Sprawę ujął w swe ręce poseł:

— Widzicie panowie, tak zawsze potrzeba. Wszystko jasno i wyraźnie... Osobiście, całkowicie, obiema rękami podpisuję się pod koncepcją pana kapitana — prawil szczerze uradowany. — Bardzo mnie pan przekonał, panie kapitanie, tak dyplomatycznie... — uściśnął wszystkim ręce, dając tem znak, że „konferencję“ uważa za skończoną.

Po wyjściu posła, pozostali zastygli na chwilę w chaosie podyskusyjnym, jak w gęstym kłajstrze. Dopiero po chwili, przyzwyczajony widocznie do wielu już tu rzeczy, Giedymn zwrócił się do Niekrajewskiego:

— Panie kapitanie, no to my już wszystko omówiliśmy. Nareszcie przystąpimy do jakiejś pracy, do realnej pracy! — powtórzył, rzucając w górę rozmodlone, zdawało się, spojrzenie. — Więc do jutra! Muszę iść teraz na zebranie do figi... Proszę tu do nas codziennie przychodzić, może się wreszcie wybierzemy do oddziału, gdy mężowie zaufania zechcą się tam zebrać. Już po raz trzeci wyznaczam im nowy termin!... — westchnął. — Poza tem, ma się tu do mnie zgłosić lada dzień grupa nowych akademików. Może pan z nimi pokonferuje i wybierze sobie wśród nich pomocnika - sekretarza...

Gdy Giedymin pośpiesznie wyszedł z Sochaczewskim, Niekrajewski, wyczerpany swym energicznym udziałem w zebraniu, przebrnął próg gabinetu i bezradnie stanął w drzwiach do pokoju, w którym pracowała jeszcze Bławatkówna.

W tej chwili praca jej sprowadzała się do wysiłku fizycznego, by przekrzyczeć rozwichrzonego, stojącego nad nią Korwina. Z ust do ust, zbliżonych ku sobie twarzy, rozognionych widocznie już długą i namiętą „rozmową“, padało co chwila słowo — pieniądze...

Niekrajewski nie śmiał tam wejść. Po wysiłku odwagi ogarnął go znów stan onieśmienia.

Chciał włożyć płaszcz, lecz wydarło mu go to napół wojskowe indywiduum z przedpokoju. Nie mogąc wyszperać dla niego ani grosika, w już opróżnionych po swych 150 zł. kieszeniach, — Niekrajewski udał z powodzeniem zafrasowanego jakąś natrętą myślą.

— Dokąd-że to poszli panowie przed chwilą? — zapytał o Giedymina i Sochaczewskiego.

— A do figi, proszę pana! — zawołało rozbudzone tem pytaniem indywiduum.

— Aha, a gdzie to jest? Zapomniałem... — dopytywał się.

— To, proszę pana, niedaleko — indywiduum wymieniło ulicę. — W bramie jest kartka z napisem „Federacja Gospodarcza“, — to tam...

Powtarzając w kółko adres, niby doszczętnie tem zaambarasowany, Niekrajewski zniknął za drzwiami.

Czuł, jak dzięki swemu dzisiejszemu wystąpieniu, związał się teraz z jagiellonidami. Ale postanowił nie dawać za wygraną. Przecież w ten sposób jak najlepiej utorował sobie drogę do tej swej wykoncypowanej negacji!



Przytem zarabiał „na czysto“ swoje 300 zł. miesięcznie!!...

— A już z robotnikami dam jakoś sobie radę! — myślał przepelniony jak najlepszymi nadziejami.

## WYWIAD ROBOTNICZY.

Sochaczewski, Giedymin i Niekrajewski dobili do celu. Do siedziby warszawskiego oddziału robotniczego związku wielkiej Polski macarstwowej.

Dziś, po wielokrotnem niedotrzymaniu terminu przez robotników, nieposłusznych zleceniom komitetu głównego, miało się tu odbyć zebranie „mężów zaufania“.

Niekrajewski, powstrzymywany dotychczas, jako „kierownik“ oddziału robotniczego, w sekretarjacie związku, miał po raz pierwszy wystąpić wśród robotników. Narazie w charakterze nowego sekretarza, przejmującego swe agendy od poprzednika, Przechwalskiego.

Siedziba oddziału mieściła się daleko od sekretarjatu komitetu głównego. Już prawie nad Wisłą. Nizinne to jej położenie odczuli, staczając się wciąż nadół. Po schodach, tramwajem wdół ulicy, schodkami pod jakiś most. I coraz niżej, niżej — ścieżką wąskiego chodnika. A potem już prawdziwą ścieżką, wydeptaną wśród śniegu w podwórzu — ciemnem, bezludnem.

Tuż przed furtką, prowadzącą w podwórze, przejechał się po nich, ustokrotniony w tej ciszy i pustkowiu smrodliwy hałas samochodu asenizacyjnego. Hałasem tym wtłoczeni w furtkę, gęsiego przebiegli podwórze i po całkowicie ciemnych, żelaznych schodach dostali się wreszcie do środka.

Gmach, w którym znajdował się lokal oddziału robotniczego, — zupełnie nie do określenia nazewnątrz, — wewnątrz zachował cechy starych koszar, nigdy widocznie nieremontowanych, oddawna skazanych na zagładę rozbiórki.

Pierwsza izba, do której weszli, była obszernym prostokątem, wydzielonym z dalszej całości cieniutkimi deskami przegródki. W ścianie tej były zrobione drzwi z nalepionymi kartkami: „Sekretariat oddziału robotniczego“, „Komenda kompanji robotniczej przysposobienia wojskowego“, „Zarząd oddziału robotniczego“... Malutkie, położone, obok siebie chlewki, do których wejście było jak najsurowiej wzbronione. W głębi, jeszcze jedne drzwi prowadziły do wielkiej sali...

Na gołych, drewnianych, dawno niebielonych ścianach pierwszej izby, korytarza — poczekalni, nie było nic. Tylko przy drzwiach do „sekretariatu“ wisiały dwa plakaty wyborcze. Jeden z marszałkiem Piłsudskim, drugi bez niego. Na pierwszym marszałek siał coś na wzgórku i z tego co siał niezwłocznie wyrastała tłusta jedyńka. Na drugim — jakiś tłum „pracujących“ opuszczał właśnie warsztaty swej pracy, dopatrując się pilniejszego zajęcia w udziale swym w wyborach, na korzyść tejże jedyńki...

Przybyli szybko przesunęli się przez poczekalnię, obok kilku nieokreślonych, jakby obcych i aż wrogich postaci robotniczych, i weszli do sekretariatu.

Tu, z za biurka, powitał ich mały, szary człowieczek — sekretarz Przechwalski. Z nim kilku członków „komitetu mężów zaufania“, rozsiadłych się w ciepłe żelaznego piecyka.

Na ścianie, nade drzwiami, był nalepiony papierowy transparent z napisem: „Niech żyje

nasz Dziadek — Marszałek Pił-  
sudski“.

Sochaczewski i Giedymin z wyrazem niezmiernej wyższości, przywitani się i zamienili kilka słów z Przechwalskim. W trakcie tego usadowili Niekrajewskiego przy biurku, tuż przy sekretarzu. Odtąd „pysznił się“ tu, jako centralna figura całego zebrania tego wieczora.

Z chwilą przybycia „panów ze związku“, zebrani przy piecyku robotnicy stopniowo odsunęli się. Paru z nich jednak pozostało przy biurku, pilnie wszystkiego nasłuchując.

Po długim oczekiwaniu, w małym, niskim, skąpo oświetlonym, dusznym pokoiku zaczęli zasiadać na kilku, równoległe do biurka ustawionych ławkach, zbierający się na narady mężowie zaufania.

Przed nimi, za biurkiem, — Przechwalski, Niekrajewski, Sochaczewski i Giedymin. A dalej pod ścianą — stosy zakurzonych druków — odezw i kupa mundurów przysposobienia wojskowego, rzuconych byle jak, jeden na drugi.

Stare biurko było zawałone masą jakichś papierów, papierków, spisów, legitymacyj, znaczków i zupełnie niepotrzebnych „brudów“, wśród których z pewnem przejęciem urzędował Przechwalski.

Wśród nich, wiecznie poszukując potrzebnego w danej chwili „dokumentu“, wertował wszystko od początku, z „gołęxim“ humorem znosząc domagania się i przytyki robotników.

Pochylając się ku siedzącemu najbliżej Niekrajewskiemu, zionął raz wraz zapachem wódki... Jak udało się Niekrajewskiemu zasłyszeć — Przechwalski był dziś z robotnikami na jakimś pogrzebie. Po pogrzebie musiała się odbyć stypa...

Gdy się już miało zacząć zebranie, Przechwalski

wydobył świstek papieru i jął czytać nazwiska reprezentantów poszczególnych, większych grup robotniczych.

Mężów zaufania zebrało się kilkunastu. Odpowiadali na wywoływane swe nazwiska, tłocząc się na szczupłych ławkach coraz gęściej. Z coraz większym zaciekawieniem. Zboku trzymał się tylko jeden. Wysoki, dorodny, czerwony, z wzbitym, jak u komendanta Korwina, kędzierzawym czubem. Nazywał się Indor. To u niego odbył się pogrzeb i stypa. Pochował chorą od kilku lat żonę...

Zebranie zagaił Sochaczewski. Wygłosił przytem krótkie przemówienie o „sytuacji ogólnej“. Śmiałym, dobitnym, już podchwyconym przez Niekrajewskiego tonem.

Ze szczególnym naciskiem, jak najostrzej „przejechał się“ po fabrykantach:

— Cóż oni na to, panowie, ci dranie, fabrykanci!? Cóż oni na to, gdy im się mówi, że pragniemy stworzyć wielką Polskę mocarstwową!? Oni na to nie! A wtedy wy, wtedy powiedźcie im...

Nie dokończył, gdyż wmieszał się w to Indor, wiceprezes zarządu.

— Panie poruczniku, — rzekł, jakby z zazdrością spoglądając na oficerski płaszcz Sochaczewskiego — pocóż my się mamy z nimi kłócić!? Pan konsul nana tego, c ó ś k o l w i e k, zakazał. I mówił jeszcze, że on ich tu wszystkich do nas sprowadzi. Fabrykantów, inżynierów, majstrów...

Reszta „mężów“ skrzypiała zbiorowem ciałem na chudych ławkach, i jak te ławki poskrzypywała ich mowa. Nic nikt nie chce robić dla organizacji. Każdy jak może uchyla się od pracy. Niewielką też poprawdzie mają do niej zachętę! Zarząd sam za wszystkich wszystko postanawia, a mężowie zaufania



dowiadują się o tem poniewczasie. Albo wcale o niczem nie wiedzą!... I składek nikt nie płaci. I tej broni, co to Sochaczewski był im obiecał, nikt z nich nie otrzymał. A jakżeby się przydała! Przecież na każdym kroku wszyscy ich prześladują. Wszyscy robotnicy ze wszystkich innych organizacji!!

— A ja na to ot co mam! — skrzywił gębę Indor w złośliwym uśmiechu i z pod poły płaszcza wyciągnął w kierunku Giedymina kawałek gumowej pałki.

Jęknęło jeszcze pod ławkami, jęknęli robotnicy z ławek. Bezrobocie, szalone bezrobocie trapi ich wszystkich, a już najbardziej nieszczęśliwe to są kobiety.

Wysunęli na pierwszy plan zwiędłą kobiecinę, ubraną z mieszczańska. Od roku już bez pracy. Utrzymuje całą rodzinę, — Skibiniewska, wszyscy ją przecież już znali!! Obok niej czarny Dera — mąż zaufania, przedstawiciel największej biedoty z nizin wawerskich...

Za nimi zawyło wniebogłosy jeszcze kilku chronicznie bezrobotnych. Jeden z nich tylko z bladą, zaciętą, pooraną dwiema bruzdami twarzą, rozpierał się milcząco pod ścianą. W letniem paletku — najstarszy wśród bezrobotnych — od 3 lat.

Wogóle chętnie obliczali czas swego bezrobocia, zaokrąglając go do lat. Obliczali je jak jakieś starszeństwo służbowe!...

Tyle tylko przynieśli na to zebranie ci „mężowie zaufania“, od których komitet główny związku na próżno oczekiwał jak najwydajniejszej, najruchliwszej pracy wśród „mas“...

Sochaczewski zbierał to wszystko, wysłuchiwał, spijał błyszczącymi, czarnymi oczami, ześrodkowując

w nich, jak w soczewkach, te skłębione, krzyżujące się promienie biadań.

W pewnej chwili położył temu kres:

— Wszystko to prawda, moi panowie! Właśnie dlatego przychodzimy do was, żeby się z wami porozumieć, wszystkiego się od was dowiedzieć. Na nowo — podkreślił z naciskiem — zorganizować! Otóż, jak mówicie sami, jest źle, jest bardzo źle!! Zwłaszcza, że to wy, mężowie zaufania, sami rozsiewacie wśród naszych członków te wszystkie żale!... Postanowiliśmy więc w komitecie głównym ująć to inaczej. Pobudzić organizację do żywszej, wydajniejszej pracy! Zadanie to macie wykonać przedewszystkiem wy. Nie zostawimy was jednak samych — dopomożemy wam we wszystkim. Zorganizujemy was od początku... Jak teraz jest? Każdy z panów reprezentuje kilku, względnie kilkunastu ludzi, dowolnie grupujących się przy nim. Tak nadal być nie może! Przydzielimy każdemu z was, jak w wojsku — porozumiał się wzrokiem z Niekrajewskim — dwunastu ludzi. Każdy z was, mężów zaufania, będzie więc drużynowym. Dowództwo nad wami obejmie pan kapitan Niekrajewski, który właśnie ma zostać nowym sekretarzem oddziału...

Przechwalski, schylony nad biurkiem, jeszcze bardziej pochylił się nad niem, jakby przytłoczony tą nowiną...

— Każdy z was, jako drużynowy, — ciągnął Sochaczewski wśród ogólnego, wesołego zainteresowania robotników tem czemś nowem — otrzyma ponadto książeczkę drużynowego, jak w wojsku. I będzie prowadził w niej swoje notatki... Pan kapitan dostarczy wzoru takiej książeczki i rozda je wam w najbliższym czasie...

— A cóż, panie poruczniku, będzie zapisywał mąż

zaufania Jabłoń, kiedy on pisać nie potrafi! — wśród ogólnego śmiechu wyrwało się Indorowi.

Pogodny, jasnowłosy, olbrzymi Jabłoń podrapał się w głowę i machnął rękę. Niech się dzieje co chce!

— A ty dużo piszesz, chociaż i wiceprezes zarządu? — zmierzył wzrokiem zaczepnego Indora.

— Otóż, przedewszystkiem, już teraz, zaraz, przystąpimy do nowego spisu mężów zaufania i podziału pomiędzy nimi członków oddziału — zabrał się ponownie do rzeczy Sochaczewski. — Zaczynamy, panie sekretarzu! — zakomenderował przygnębionym Przechwalskim.

Wśród hałasu, śmiechu, ustawicznie wybuchających nieporozumień, zaczęła się ta „praca“.

Gdy się stopniowo układała, uciszyło się, i korszystając z tego, robotnicy zaczęli kolejno prosić o głos.

Naprzód wysunął się jeden z młodszych — mały, żywy, czerwony i spocony z emocji.

— Dziewańszczak chce mówić! — skupili się przy nim robotnicy.

— A ja, panie poruczniku, powiem tak. Jako doświadczony po wielu organizacjach i w pracy polityczno-społecznej też mi niepierwszym, to całą winę ponoszą sami członkowie naszego oddziału... N i j a - k i e j, znaczy się, niema wśród nich idelogi i żadnej niema jedności! A bez co tak, panie poruczniku, kiedy my wszyscy tu odczuwamy, że, jak naprzykład, jaśnie oświecony pan książę Giedymn przyszedł do nas, to musi być u nas zrozumienie, że chce żebyśmy pracowali... — przysuwał się ku „panom“.

— Ty, Dziewańszczak, nie wyjeżdżaj zanadto na biurko, jeszcze nie wybrano ciebie do prezydjum! — zadrwił z niego Indor.

Reszta zaśmiała się. Dziewańszczak zwinął się,

jeszcze bardziej zmalął, wkręcił się gdzieś pomiędzy dalej stojących i już do końca nie odezwał się ani słowem.

Zamiast niego ze środka robotników podniósł się czarny, smagły, suchotniczy Adamczewski.

Oczami świecącymi się jak węgiel jął palić Sochaczewskiego a zwłaszcza Giedymina.

— Jaśnie oświecony książę, pan Giedymin, nie tu nie pomoże! Tu trzeba zacząć od komitetu głównego. Od samego hrabiego Rybińskiego! — zawołał. — Gdzie są ci panowie ze związku!? Dlaczego ich tu nigdy nie widzimy? Dlaczego odsunęli od nas naszego prezesa, konsula Tomaszewicza? Dlaczego, jak słychać, chcą go od nas na zawsze odsunąć? Gdzie jest i kiedy wróci pan Jagiełło!?... Panu, panie poruczniku, dobrze. Pan codzień nas może inaczej organizować! Ale my, mężowie zaufania, z czem my mamy iść do ludzi, do naszych członków!? Co mamy im mówić? Dziewańszczak powiada, że w tej robocie jest doświadczony, a cóż dopiero ja, co już zdrowie sterałem po fabrykach!! — zbladł ze zmęczenia i podniecenia. — Jak były wybory, to nas potrzebowano, to nam inaczej wszystko przedstawiano. A teraz co!? Proszę zobaczyć o tu, tego Jaskółkę — wskazywał krępego, silnego mężczyznę, który jak na zawołanie podniósł obie pięście do góry. — Mało on łba nadstawiał na wiecach i masówkach!? Nie jemuż to rozbili głowę i przetrącili żebra?...

— Nu, ja im też dobrze dałem! — wtrącił dotknięty tem wspomnieniem „bokser“ Jaskółka.

— Pan Jaskółka. już wkrótce otrzyma posadę szofera, zapewniam panów! — odezwał się po raz pierwszy Giedymin.

Adamczewskiego aż podrzuciło:



— Każdemu tak, proszę pana, pan to zawsze mówi od jakiego już czasu!

— Ciszej, ciszej, Adamczewski! Nie krzycz tak! I inni też chcą swoje powiedzieć — hamowali go robotnicy, zewsząd dotykając rękami.

— A ja, c ó ś k o l w i e k, tak swoje powiem — wykrzywił się Indor. — Niech komitet główny związku przyzna oddziałowi stałą zapomogę miesięczną, niech wyrobi pracę wszystkim naszym bezrobotnym. Niech nie odbiera zapłaty za mundury, co my tu je porzuciliśmy, — wskazał na kupę złożoną pod ścianą — to my jeszcze możemy być razem! Inaczej, to już mi mówił pan Tomaszewicz, że ma propozycję od innych organizacyj, żeby znaczy się, c ó ś k o l w i e k, przejść do nich... Już wielu z naszych tam pojedynczo chodzi! A niedługo — wszyscy pójdziemy...

— Dobrze, panie poruczniku, — przerwał mu spokojnie Jabłoń. — Pan porucznik, znaczy się, chce żebyśmy teraz po wojskowemu. Ale, jakaż może być wśród nas komenda, jeśli my ludzie cywilni? To nie tak, jak z tem przysposobieniem. co to u pana komendanta Korwina! — również łypnął okiem w kierunku kupy mundurów.

I tu wszczął się ogólny hałas. Robotnicy roztrącali ławy. Potracali się nawzajem w tej ciasnocie, grożąc obaleniem żelaznemu piecykowi. W chaosie tego pokrzyku wylatywały słowa, projekty, nakazy, pogrożki, śmiechy i cała rozpacz bez wyjścia z tego nieróbstwa, w jakim według powszechnego ich zdania znalazła się organizacja z winy komitetu głównego.

Stopniowo jednak, po jednym, po dwóch, robotnicy zacichali, zbliżając się potulnie ku Giedyminiowi i Sochaczewskiemu. Zawsze jednak z tem --

jak została załatwiona ta i ta, wiadoma sprawa — posady, pracy, poparcia, dla tego lub tamtego.

Nawet na Niekrajewskiego wlaźł któryś z nich, strasząc go widmem rozwielnionego po fabrykach komunizmu, i domagając się żywszego zainteresowania losem robotników - mocarstwowców...

Wtem pocichu otworzyły się drzwi i, w niezwołownie już od nich uformowanej asyście, kroczył ku biurku ubrany w futro starszy pan.

Zbliżył się i witał ze wszystkimi, wnosząc z zachowania — pierwsza tu osoba. Niekrajewski, po uścisknięciu jego szybkiej dłoni, pochylił się do ucha Przechwalskiego i otrzymał po chwili również cichą odpowiedź:

— To pan konsul Tomaszewicz!

Ani słowa nie zamienił on tu z nikim. Rozkazującym, ochrypłym głosem kazał członkom zarządu udać się do sąsiedniego pokoju na posiedzenie.

Za konsulem i zarządem, z Indorem, Adamczewskim, Jabłonią, i Dziewańszczakiem na czele, udał się pokornie również Przechwalski. Giedymin i Sochaczewski wynieśli się jeszcze prędzej.

Niekrajewski pozostał więc przy biurku sam jeden. Sam — wobec pozostałych kilkunastu robotników, teraz znów zhardziałych, pewnych siebie, nieomal pokładających się na rozsuniętych ławkach...

Nagle na próg sekretarjatu powrócił Giedymin, skinął ręką na Niekrajewskiego, i pośpiesznie żegnając go szepnął:

— Niechże im pan teraz coś powie o realnej pracy! To najlepsza chwila...

Pomimo zdumienia, Niekrajewski szczerze zapragnął wykonać to zlecenie. A bezwiednie naśladując Przechwalskiego, zaczął szukać na biurku czegoś, czego mógłby się uchwycić, od czego mógłby zacząć...

Tak błędząc poomacku po niezliczonej masie śmiecia papierowego, ujrzał rąbek jakiejś książeczki. Wziął ją do ręki, myśląc, że jest to właśnie coś realnego, rzeczowego, pouczającego. Gdy jednak przyjrzał się jej bliżej, dał za wygraną.

Był to poemat symboliczny. Utwór Przechwalskiego, wydany przed laty w Moskwie. O ile Niekrajewski zdążył się zorientować, opiewał on przesadnym, „litaurowym“, „trąbobrzmiałym“ wierszem — czyjeś zwycięstwo nad wymaginowanym, współczesnym smokiem — kolosem, komunizmem...

Stąd to, widocznie, gołębie serce Przechwalskiego czerpało młodzieńczą moc do uniesienia brzemienia sekretarjatu oddziału robotniczego!

Nie zdążył jeszcze Niekrajewski w tem się zorientować, gdy już przyszedł zpowrotem zarząd z Przechwalskim.

W drodze nadzwyczajnego wyjątku, poto by mógł o tem zakomunikować w komitecie głównym, Niekrajewski został powiadomiony o jedynej, bardzo poważnej, powziętej dziś uchwale.

Zarząd oddziału robotniczego ogłaszał całkowite zerwanie z komitetem związku. Jedynym człowiekiem, z którym konsul Tomaszewicz mógł jeszcze pertraktować, był prezes związku — hrabia Rybiński. Przechwalski, któremu zaimputowano zbytnią uległość w stosunku do Giedymina, został usunięty z sekretarjatu. I tylko dla pozorów, nazywało się, że uzyskał urlop. Sekretarjat robotniczy objął w zastępstwie Dziewańszczak. Przy nim mieli czuwać — Indor, Adamczewski, Jaskółka, Jabłoń...

Wobec tak konkretnych wyników „realnej pracy“, Niekrajewski czempredzej wymknął się z oddziału.

Miał jeszcze w domu robotę. Musiał napisać coś



do swej gazety prowincjonalnej, do której wbrew przewidywaniom Sochaczewskiego został zarekomentowany przez jego wroga, Adamskiego.

Pod świeżem wrażeniem zebrania mężów zaufania, zabrał się w nagłym napływie natchnienia do swej pierwszej korespondencji stołecznej:

## WYWIAD ROBOTNICZY.

„Pod jedynemi w Warszawie rozległemi arkadami mostu, w seledynowem świetle nielicznych latarni, zapędzających pod most cały mrok zimowego wieczoru, po długich schodach, śliskim chodniku, w „dalejniemożności“ podwórza, korytarzy, poręczy i ciemności, — odnajduję to czego szukam — siedzibę warszawskiego oddziału robotniczego Z. W. P. M.. To znaczy — Związku Wielkiej Polski Mocarstwowej.

Nic nie mówię, nic nie myślę, wchodzę, siadam, patrzę i słucham. I zdaje mi się, że jest to jedyna organizacja robotnicza, do której można wejść, usiąść, patrzeć i słuchać. I wtedy zaczyna się myśleć, i wtedy zaczyna się mówić.

Zresztą, chociaż jest to „wywiad“ — z nikim nie mówię. A że tu jestem, korzystam z prawa przysługującego wszystkimi — idź, zobacz, posłuchaj — przekonasz się!

Właściwie poto tu przychodzę. Poto, by zetknąć się oko w oko z robotnikiem m. stoł. Warszawy. Gdzieżbym go mógł poza tem szukać i znaleźć. Rozbita na X partyj (znakomita sposobność użycia tego popularnego, matematycznego skrót), masa robotnicza Warszawy, jak i całej Polski, jest czemś,



co się skłóciło, zgubiło, zatraciło, bez wspólnego celu, bez nadziei, bez wyjścia...

A jednak wyjście jest. Wyraźne, jak moje pierwsze wrażenie, gdym szukał uparcie wejścia wśród czarnej pustki pod mostem.

Usłyszałem wtedy, jak pędzi na mnie dźwięk, zgrzyt masy dźwięków. Wszystkie obudzone echa, rozlegające się tu kiedykolwiek, w tej niskiej ulicy.

To, zrazu nierozpoznawalnie, posuwał się naprzód chrobot auta ciężarowego.

I w tejże chwili powstała myśl, że tak właściwie, po zniewolonej ulicy panoszyć się musi postrach rewolucji — samochód pancerny!?

Nic podobnego, w danym wypadku była to grupa robotników, pracujących zbyt daleko od siedziby oddziału.

— Pan do nas? Proszę, to tędy — spłynęło ku mnie spokojem i uprzejmością w nagłej ciszy po zatrzymaniu motoru...

A w siedzibie — na pierwszym planie — plakat z marszałkiem Piłsudskim, samotnym siewcą na bezludnym pagórku, z którego widać całe miasto fabryk. Tuż obok — na drugim plakacie — mieszkańcy tego miasta, pracownicy przemysłowi: robotnicy, majstrzy, inżynierowie, cała przemysłowa Polska — odrodzona, pojednana, solidarna..

I tak też wygląda to tu, w tutejszej rzeczywistości. Na sali posiedzeń oddziału — robotnicy, majstrzy, inżynierowie, ba! literaci, którym jest dane widzieć tę jasną scenę za ciemnymi, arkadowymi kulisami mostu.

„Wielka scena otwarta“ — tak się zaczyna „Wyzwolenie“!...

Reprezentowane są tu prawie wszystkie warszawskie fabryki, zakłady, warsztaty, składy, i na-

wet „nieszczęsne“ niziny wawerskie przymknęły do przedstawicieli dumnych, wysokich kominów.

Dowiaduję się, że działalność oddziału sięga również poza Warszawę. Wszędzie tam, gdzie już zrozumiano jedyną w swem doniosłym znaczeniu myśl o Polsce — mocarstwie. Wszędzie tam, gdzie już zaprzestano żyć tylko przeszłością i teraźniejszością. Tam, gdzie się pragnie śmiało patrzeć w przyszłość, przed którą trzeba będzie kiedyś zdać rachunek sumienia!

Jak już do tego doszło — nie mogę wytrzymać i wszczynam rozmowę z moim sąsiadem, jak się okazuje, członkiem komitetu mężów zaufania oddziału.

Zwierza się bardzo chętnie:

— Panie, pomiędzy robotnikami, po fabrykach, już sami nie wiedzą co robić — tu ciągną tędy, a tam owędy. I panie, raz po raz, masówki, wiecie. To socjaliści, to komuniści. Rozbiliśmy kilka, ale to jeszcze nie nauczyło rozumu. A pan może myśli, że w dyrekcjach fabrycznych mają go więcej!? Oho, komunistów się boją, to ich trzymają, a naszych redukują, bo to pewny materiał!... A jak trzeba nie dopuścić do strejku — to wtedy my!!

Realne, żywe słowa, żywego człowieka z wiecznego frontu pracy i krzywdy, krzywdy i pracy...

Po wyjściu doszedłem do pewnego rogu, dwóch wielkich oświetlonych ulic. Było jasno, ciepło i ludno...

I pomyśleć, że jest to oparte na wiecznych arkadowych filarach z tych dwóch rzeczy: Krzywdy i pracy! Jakby nie było to zestawienie największym nonsensem! Bo cóż znaczy krzywda wobec realnej potęgi solidarnej, mocarstwowej pracy!?”

E. N.

Była to pierwsza i ostatnia „stołeczna korespondencja“ Niekrajewskiego, wysłana do gazety prowincjonalnej.

Obiecywał sobie po niej bardzo wiele. Marzył, że zdobędzie w prasie jakąś „trybunę robotniczą“!

Musiał tylko jeszcze bliżej poznać robotników, ich pracę i byt. Myślał, że dobrzeby było odwiedzić kilku z nich w ich domach...

### LEGENDA O JAGIELLE.

To nieprawda, że o królu Jagielle wiedział Niekrajewski tylko tyle, co w tym wierszyku, o który kiedyś zapytywał Sochaczewskiego. Myślał, że wiedział coś więcej.

Przeczuwał za tą postacią ni mniej, ni więcej — tylko swoistą legendę. Wielomówną, zdawało mu się, legendę o „dzikim“ królu. Jakimś dzikusie — proletariuszu, skazanym na piastowanie królewskiego berła wśród jakże obcych mu „panów“!

Legenda ta, tkwiąc w nim dotychczas niewywoływana, nieokreślona, podświadoma, — niespodziewanie dla niego samego jęła przybierać pewne kształty. Zarysy czegoś konkretnego, rzekłbyś — „życiowego“. Rzutować się na geometrycznym wycinku części warszawskiej kamienicy, którą zajmował sekretariat związku.

Pobudzała do tego już sama nazwa — jagiellonidów. Wywołało zaś ostatecznie nazwisko — Jagiello, raz wraz rzucane przy lada rozmowie. Przy omawianiu każdego pomysłu, każdego „posunięcia“, jak lubił wyrażać się Giedymin.

Wreszcie, pewnego dnia, rozradowana, zachwy-



cona Bławatkówna wypadła na spotkanie Niekrajewskiego z jakąś niewielką fotografią.

— Niech pan zobaczy, panie kapitanie! To pan Romuald Jagiełło! — wołała rozpromieniona. — Przysłał nam z zagranicy swoją fotografię.

W biurze, prócz nich dwojga, wyjątkowo nie było nikogo. Bławatkówna wołała więc z całą szczerością:

— Właściwie, jest to fotografia urzędowa. Do albumu, który ma być wręczony marszałkowi Piłsudskiemu, ale ja jej nikomu nie oddam! Moja będzie! Zobacz pan, za nic nikomu nie oddam! Niech im przyśle drugą... Proszę tylko o tem nikomu nie mówić.

— Dobrze, proszę pani — przyrzekł niezwłocznie Niekrajewski. Cóż go obchodziła czyjaś fotografia? — Ale niechże mi ją pani pokaże, — dodał przez grzeczność.

— Proszę pana, proszę, — co za prześliczny chłopiec! — nie mogła się uspokoić, nie wypuszczając fotografii z ręki.

Niekrajewski brał to coraz bardziej chłodno. Właściwie, cała historia wcale mu się nie podobała. Miał na Bławatkównę swoje „widoki“. Tymczasem — ta fotografia...

— Ale niechże mi to pani da na chwilę! — zniecierpliwił się.

Ujrzał na fotografii twarz młodego bruneta. Z kędzierzawą, długą czupryną. Z błyszczącymi, małymi oczkami. Mocno wystającymi kośćmi policzkowymi. Z cieniutkiem półkolem wąsika i kosmyczkiem bródki. Istny król Jagiełło — w młodości!

— Któż to taki? Pani mówiła... — domyślał się kogo przedstawia fotografia.

— To pan Jagiełło — nasz prawdziwy sekretarz



generalny, którego obecnie zastępuje pan Giedymin!  
— zawołała Bławatkówna. — Panie kapitanie! —  
krzyczała prawie. — Muszę to panu powiedzieć! Ko-  
cham go, rozumie pan, Kocham, a on wcale nic o tem  
nie wie!!

— To doprawdy... — nie umiał nic innego powie-  
dzieć Niekrajewski.

— I muszę to panu powiedzieć, że on jest tu  
wszystkiem. Duszą i sercem całej naszej organizacji.  
Oni wszyscy lubią sobie przypisywać różne zasługi.  
Ale ja wiem, to on, to tylko on, stworzył to wszystko!

— A gdzież on jest teraz? Co robi? — dopytywał  
się Niekrajewski.

— O, on jeździ po świecie... — odrzekła rozma-  
rzonym tonem. — Nasi panowie wysłali go na swój  
koszt. Po całym świecie, po wszystkich krajach, gdzie,  
uważa pan, panuje dotychczas ustrój monarchistycz-  
ny!

— A pocóż im to? — już nic z tego nie rozumiał.

— Jak to! To pan nic o tem nie wie!?! — zawo-  
łała prawie z rozpaczą. — Nic panu dotychczas nie  
powiedzieli?! Przecież oni chcą go wykierować na  
naszego króla... Rozumie pan, jego na króla! Ależ  
wówczas, nawet gdyby się dowiedział, jak go Kocham,  
nie zechce na mnie spojrzeć! — krzyczała tym swym  
rozpacznym tonem.

— No dobrze, — starał się to jakoś usystematy-  
zować — ale jakże się to stało? Jak to się wszystko  
tak ułożyło z tym królem Jagiełłą!?

Byli sami. Niekrajewski z początku opanowany,  
lecz następnie wściekły, że przecież wszystko mogło  
ułożyć się inaczej...

Osamotniona w biurze Bławatkówna i on. Sam  
na sam. Ona zawsze z tą swoją grzywą, z wysoko od-  
słoniętymi nogami. Z ruchliwymi, wypukłymi poślad-

kami... Musiał na to wszystko patrzeć i... słuchać o fotografii Jagiełły. A potem — o jego królewskiej mości!! Jakże się tu nie wściekać!?

Nadomiar złego Bławatkówna pociągnęła go za rękę ku sobie i ku kanapie. Upadła na nią, odsłaniając się zdołu nieomal do bioder. Za chwilę przykryła się jakimś szalem. Wyjęła z torebki proszek, i pijąc powoli podaną przez Niekrajewskiego wodę posadziła go przy sobie.

— Związek wielkiej Polski mocarstwej powstał w ten sposób — jęła mu obszernie tłumaczyć. — Któryś z naszych panów, nie pamiętam — czy hrabia Słomiński, czy też sam książę Samotyha, — odnaleźli w Wilnie pana Jagiełłę. Studjował coś tam wtedy... Otóż potem, odrazu skomunikowali się ze sobą, z różnymi arystokratami i naszym hrabią Rybińskim. Ten zaś wtajemniczył we wszystko posła Bohdanowicza. I okazało się, że pan Jagiełło i poseł oddawna już się dobrze znają. I że już oddawna opracowali wspólnie studjum o ustroju monarchistycznym w Polsce. Ale nie mieli pieniędzy, żeby to wydać... Do wydania tego studjum, coprawda, nie doszło, ale odrazu został założony nasz związek, jako jedyny, posiadający mocarstwowego kandydata do tronu królewskiego... Wtedy też zaczęła się praca... Pan Rybiński dał pieniądze. On zawsze daje... A pan Jagiełło stanął na czele organizacji, jako sekretarz generalny. Zaś poseł Bohdanowicz, naturalnie, wywalczył dla siebie stanowisko wiceprezesa związku... Pan Jagiełło włożył w pracę całe serce i duszę! Poprostu oczarował wszystkich!... Ma się rozumieć, — przyszła jej do głowy refleksja — jak ktoś chce zostać królem... I w ten sposób związek, i ci wszyscy panowie zostali politycznie postawieni na nogi... Ale, jak panu wiadomo, teraz jest światowy kryzys gospodarczy. Znam

się na tem, bo sama się tem interesuję!... Trzeba więc było stworzyć, tak żądali tego wszyscy, cała opinja, — pokrewną związkowi organizację, która zajęłaby się wyłącznie sprawami ekonomicznymi. Tak powstała nasza federacja gospodarza — figa, na której znów czoło, też jako sekretarz generalny, został wysunięty książę Giedymin... Więc jak się dowiedział, że pan Jagiełło jest przeznaczony na króla, — a książę jest wielkim, zatwardziałym arystokratą, — zaczął pod nim kopać... Posypały się zczasem zarzuty, wytyki, przytyki... że związek pochłania zbyt wiele dla celów politycznych, że niepotrzebnie utrzymujemy tych naszych robotników... Umundurowaliśmy ich, to prawda, ale oni nam muszą zwrócić ratami. Chociaż, coprawda, dotychczas nikt nic nie zwrócił...

— Za mnie — zwróć! — rzekł twardo Niekrajewski. — Zobaczysz pani!

— Więc jak się zaczęła taka robota, — ciągnęła Bławatkówna — to pan Jagiełło cierpiał, cierpiał, aż powiedział wyraźnie: Albo ja jestem jedynym kandydatem, albo nie jestem! I zażądał, by to niezwłocznie wyklarowano... A tymczasem, co się okazało! Już się związek podzielił na dwa obozy — jeden jawny, z posłem Bohdanowiczem, za panem Jagiełłą, drugi ukryty, składający się z czystych arystokratów — za panem Giedyminem. Więc co tu zrobić? Długo głowili się, aż wreszcie postanowili wysłać pana Jagiełłę za granicę, a panu Giedyminowi oddać sekretarjat i tu, i w fidze... W ten sposób, narazie, zażegnano rozłam... I tak, proszę pana, ten książę Giedymin się wybił!

— A cóż pani nie podoba się w panu Giedyminie?  
— przyciął Niekrajewski.

—E, widzi pan, może on jest i ładny... Bardzo ładny, mówią, ale to taka lalka!... Tymczasem pan Romuald to zupełnie co innego! Prawdziwy mężczyz-



na, nie taki jak ten Giedymin — słodki, przesłodzony amant filmowy... Z panem Jagiełłą to jabym, proszę pana, nie wiem co! — znów rozgorączkowała się. — Jabym mu, panie, jakim Bławatkówna, natychmiast się oddała, gdyby tego tylko zażądał!!!

Odrząciło to do niej Niekrajewskiego. Odsuwał się, zresztą, od Bławatkówny już od pewnego czasu, gdyż rozgorączkowana, podniecona, rozgrzana pod ciepłym szalem, zaczęła mu pachnąć jakimś potem. Nieznośnemi, wydawało się, wydzielinami skóry. Młodego, zdrowego, silnego ciała, skazanego na natarczywe uczucie miłości — do dalekiego, nieosiągalnego przyszłego króla...

Wtem w korytarzu rozległ się dzwonek. Bławatkówna wtuliła się, kurcząc, w kąt kanapy. Niekrajewski poszedł otworzyć.

Wbiegł Korwin. Przypadł do Bławatkówny.

— Panno Leno, panno Leno, — tarmosił ją. — Gdzie są pieniądze? Proszę dawać tu zaraz to, co mi pani obiecała. Nie mam ani chwili czasu do stracenia. Pędzę zaraz na zbiórkę...

— Panie komendancie, — wysunęła ku niemu żłobek nosa. — Niech mnie pan dziś nie męczy. Ja jestem taka zdenerwowana, taka cierpiąca... Głowa mi poprostu pęka! — ze żłobka spłynęła łza.

Bławatkówna znów się zakryła i nagle, z pod wzorzystego szala, dały się słyszeć jej pochlipywania.

Niekrajewski wziął Korwina pod rękę.

— Chodźmy stąd, panie komendancie. Niech mnie pan zabierze ze sobą na zbiórkę. Trochę się na tem znam, przecież nie tak dawno byłem jeszcze w wojsku. Ja, wszystko jedno, inaczej nie mogę teraz pokazać się w oddziale robotniczym!

Wyszli i, za namową Korwina, — taksówką po-



jechali do oddziału. Pragnąc odwdziżyć się za to, Niekrajewski próbował bawić go rozmową.

— Panie komendancie, — zapytał — no i jakże tam stoi sprawa robotniczego przysposobienia wojskowego? Z mojem sekretarzowaniem narazie zupełna kłapa! Onegdaj robotnicy z Tomaszewiczem usunęli Przechwalskiego. Sekretarjat objął Dziewańszczak. A przy nim, na straży, cały zarząd robotniczy — lwy konsula Tomaszewicza!

— E, u mnie inaczej! — śmiał się z tego Korwin. — Świetnie, sam, z niczego poprostu, wszystko zorganizowałem. Dobrałem sobie pomocników, — komendantów pododdziałów... Tylko, że materiał robotniczy nieszczególny. To wy w oddziale ich tak popusuliście! — zawołał z oburzeniem. — Zachęcamy ich u siebie na różne sposoby... Jako rezerwiści, należący do przysposobienia, mają być zwolnieni od ćwiczeń. Otrzymali mundury... A pracy u mnie nie mają zawiele. Kilka razy w tygodniu krótkie zajęcia. W niedzielę wykład i jakieś większe ćwiczenia...

— A dużo pan ich ma?

— Dużo — niedużo. Narazie zapisało się tylu, że wystawiam jedną kompanję. Widział pan naszą fotografję podczas uroczystości? Morowo było!... Kadre mam już dla całego bataljonu!

— A skąd kadra?

— Ja, widzi pan, pracuję w banku — odrzekł Korwin. — Hrabia Rybiński wyrobił mi tam posadę. A w banku mam dużo młodych kolegów, — byłych oficerów, podoficerów. Namówiłem ich do wspólnej twórczej pracy. Otrzymują zato pięć złotych za godzinę...

— A jak pan sam dostał się do organizacji?

— O, to przez Jagiełłę. To mój kolega jeszcze z Wilna. Widzi pan, byliśmy z nim razem na wojnie,

jako ochotnicy z 1920 r. Poprostu uciekliśmy z ósmej gimnazjalnej... Otóż, gdy wróciliśmy, — ogarnęła go fala wspomnienia — dyrektor nie chciał dopuścić nas do egzaminu maturalnego inaczej, jak tylko po odświeżeniu całego roku w klasie ósmej... Była nas tam cała paczka. A na czele Jagiełło i ja... Poszliśmy do dyrektora, a on nic, — stoi przy swoim. To ja go w mordę, a Jagiełło z drugiej strony. Krew! Bunt!! Policja!!! A my depeszę do dziadka i szlus... Zdawaliśmy natychmiast, jak młode bogi!... Potem ja harowałem, gdzie się dało. Trochę się jeszcze uczyłem, trochę poprostu biedowałem. W międzyczasie zdałem egzamin na podporucznika rezerwy. Więc, jak zczasem Jagiełło przyszedł tu, jako sekretarz generalny — od razu mnie ściągnął... To byczy chłop, ja za nim w ogień!... Tylko, że teraz — związany ze wszystkich stron przez tych panów arystokratów, a już przede wszystkim przez Giedymina... Ten też zechciał być komendantem głównym naszego przysposobienia wojskowego.

Niekrajewski wyczuł w nim wyraźną niechęć do księcia.

— Proszę pana, — zapytał niby odniechcenia — czy to prawda, że Giedymin jest księciem?

— Cholera go wi! — wykrzyknął Korwin. — Niby tak, ale coś mi się niechce wierzyć... Wiem tylko jedno, że jego stryj, stary Giedymin, lubi popisywać się tym tytułem. Nie wiem co on robi, zdaje się tak, — więcej szlifuje bruki na stare lata... Ale jak przychodzi w jakichś tam swoich sprawach do jakiego urzędu, to pierwszą rzeczą — bilet w łapę woźnego — prince Giedymin!... Korony, pałki, herby...

— A Jagiełło? — już ostrożniej dowiadywał się Niekrajewski.

— Co? Jagiełło!? — rozradował się Korwin. —

Z niego taki arystokrata, jak ze mnie biskup! Lecz z naszymi panami to tak — lecą na niego, jako na potomka Jagiellonów... Potomek im, sk... ym synom potrzebny! No to go mają... — rehołał wesoło. — Za to też bułą, psia ich mać, krew niebieska!

Taksówka, długo kołując, przywiozła ich na miejsce. Omijając drzwi do sekretarjatu oddziału robotniczego, Korwin i Niekrajewski weszli na salę zbiórek przysposobienia wojskowego.

Stało tu w jednym szeregu kilku robotników. Przed nimi grupa „pięciozłotowych“ komendantów. Robotników ćwiczył kapral zawodowy, wydelegowany, jak objaśnił Korwin, z obwodu p. w.

Niekrajewski popatrzył na to przez chwilę i, już się niczemu nie dziwiąc, usunął się do „poczekalni“. Tu siadł na ławie obok jakiegoś starego robotnika.

Robotnik zapalił papierosa i groźnym tonem zapytał:

— Pan też jest komendantem?

— Ja, nie — pośpiesznie odrzekł Niekrajewski. —  
A bo co?

— Nic, tak się pytam. Bo od kiedy ja tu jestem, to w moich obecnościach przyszło ich Bóg wie ile! A robotników coś wcale nie widać...

— Dlaczegoż nie chcą uczęszczać na zbiórki?

— Bo, proszę pana, to wszystko bujda! Jeszcze niepewne... Za mundury chcą ściągać sploty, a mundury rozlażą się. Pooddawali je nasi zpowrotem do sekretarjatu... Do ćwiczeń rezerwistów te tu hece nie są jeszcze zaliczone. I, p r a w d o n a j p o d o b n i e j nigdy nie będą. Pan Korwin nabierał tych młodych szczeniaków - komendantów i zdaje mu się, że już cały robotniczy świat zwojował!

— A dlaczego panowie nie pójda z tem do komitetu, do pana Giedymina, komendanta głównego?



— A cóż ta nam komitet, albo i pan Giedymin! Ot, jak był pan Jagiełło — to co innego. Całkiem in k s z a rzecz. Bywało, przychodzi tu do nas, wieczorami, siądzie na rogu stołu, my się wszyscy zbierzemy wokoło i radzimy. Objaśniał nam o wszystkim, i co do czego... Bardzo, mówię panu, serdeczny chłop był z pana Jagiełły! A gdzie on teraz? Chyba już nie wróci, jak go panowie ze związku wysłali za granicę!...

Nazwisko to wydało się nagle Niekrajewskiemu — nie do zniesienia. Jakże to! Wszystko osnute wokół tego jednego człowieka!! — „Duszy i serca“ organizacji. Firmy królewskiej dla związku. Dalekiego, platonicznego kochanka Bławatkówny. „Morowego“ chłopca, trzymającego z „wiarą“ i robotnikami... Snuło się to w nim, jak w nowennie... A tymczasem tu, wokoło, to wszystko co już widział, słyszał... Kto wie, czego zczasem jeszcze się dowie?...

Pożegnał się z robotnikiem i wyszedł na ulicę.

Było jeszcze wcześniej. Może pod wrażeniem tej „legendarnej“ postaci byłego sekretarza generalnego, Jagiełły, ruszyło się w nim sumienie. Przecież musi odbyć „na służbie“ chociaż raz przynajmniej, całych kilka godzin!

Zatrzymał się. Chciał wrócić do oddziału. Lecz, gdy przypomniał sobie to, co tam na sali ćwiczeń zobaczył, machnął ręką i popędził do komitetu. Do sekretarjatu oddziału robotniczego nie mógł przecież wejść!...

Na schodach, przed drzwiami sekretarjatu związku spotkał się oko w oko z Sochaczewskim i dorodnym, mocno czerwonym na twarzy, zprosta wytwornym panem.

— Cóż tak późno? — skrzywił się Sochaczewski.  
— My wychodzimy, nikogo już niema... A, przepa-



szam, muszę pana przedstawić panu prezesowi związku...

— Ja, ja właśnie wracam z oddziału, ze zbiórki...  
— tłumaczył się Niekrajewski.

— A, to co innego! — spojrzał na niego zgóry Sochaczewski.

— Może pan pozwoli z nami? — załagodził uprzejmie hrabia Rybiński, otwierając przed wyobraźnią Niekrajewskiego odrazu zawrotne perspektywy tego zaproszenia.

Sochaczewski, jakby je przeczuwając, uprzedził już na ulicy:

— Idziemy tylko na spacer...

— Do Belwederu! — dodał znacząco hrabia. — Co jakiś czas odczuwam wprost konieczną potrzebę przejścia się w tym kierunku...

Poszli alejami. Pustemi, zimnemi, słabo oświetlonymi. Lecz dla Niekrajewskiego — jakże teraz pożadanymi!

Szedł milcząc, trzymając się boku hrabiego, który prowadził z Sochaczewskim ożywioną dyskusję. O tem, jak rybołówstwo w Polsce zorganizować na największą skalę.

Temat dał hrabia. Skalę podsunął Sochaczewski.

I nagle Rybiński, mówiąc o Londynie, w którym niedawno bawił w związku z temi polskimi rybami, rzucił:

— A wie pan, — do Sochaczewskiego. — Widziałem się z naszym Jagiełłą! Powiada, że okropnie zatęsknił za krajem. Za pracą w związku... Biedny chłopak! Poleciłem mu narazie zająć się mojami rybami...

— Tylko niech to robi na jak największą skalę! — zastrzegł się Sochaczewski.

Było to dla Niekrajewskiego już ostateczne, „mistrzowskie“ wykończenie legendy o Jagiellie...

W stosunku do Bławatkówny postanowił, że wszystko najlepiej zrobi sam czas. A może jednak coś mu się z nią uda?

## UMOWA SPOŁECZNA.

Z nowych akademików, którzy, jak to zapowiadał Giedymin, mieli zjawić się w sekretarjacie, Niekrajewski od kilku już dni widywał wciąż tylko jednego. Był to młody brunet z twarzą „prowincjonalnego aktora“, ucharakteryzowanego na skromnego, lecz przyzwoitego urzędnika. Z bystremi latającymi oczkami. Z przesadnym ugrzeczniem poruszającego się w codziennej ciasnocie biura. Zawsze w schludnym, świeżym, popisowo prezentującym się garniturze.

Właściwie niczem nie zdradzał swej „akademickości“. Mówił, co prawda, dużo i za byle powodem, lecz najchętniej — o swej pracy na „niwie społecznej“.

Z jakąż służalczością odnosił się do wszystkich spotykanych w sekretarjacie! Jakże chętnie dopytywał się o hrabiego Rybińskiego i innych arystokratów! Jakby rozkładał przed sobą świetną kartę z „koronką w asach“.

Z tem wszystkiem, jedno mu tylko policzone za złe. Zbyt drobiazgowo interesował się życiem i pracą organizacji. Wchodził we wszelkie szczegóły, unosząc się nad własnem znawstwem w tych sprawach. Ważył, obliczał, kalkulował... I wreszcie, tak energicznie przysiadł się do każdego, kto znalazł się w biurze podczas jego tam obecności, aż to wszystkim dokuczyci.

Gdy zaś, pewnego dnia, „narwał“ się na Sochaczewskiego, ten „podrzucił“ go Giedyminowi, a Giedymin — znajdującemu się właśnie pod ręką, potulnemu, nic niemającemu do roboty — Niekrajewskiemu.

— Panie kapitanie, — rzekł — innych akademików coś nie widać. Jest tu już jednak od kilku dni pan Witek. Bardzo się wszystkim interesuje. Może pan z nim pokonferuje. Może on właśnie nada się panu na sekretarza! — chciał jak najprędzej splawić z swych rąk tego wtrącającego się do wszystkiego „akademika“.

— Bardzo chętnie, — odrzekł Niekrajewski, który już sam był sobie upatrzył wścibskiego Witka.

— Tylko, panie kapitanie, — srogo dorzucił Sochaczewski — niech pan z nim będzie ostrożny! Proszę mu nie mówić wszystkiego. I jak najostrzej egzaminować z tego, gdzie był, gdzie dotychczas pracował społecznie? A przede wszystkim, co zupełnie ideowo potrafi zrobić u nas! — dodał tonem nakazu.

— Naturalnie, że tylko ideowo! — podchwycił Giedymin. — Niech liczy tylko na to...

W ten sposób Niekrajewski znalazł się sam na sam z Witkiem w gabinecie sekretarza generalnego.

Naśladować potrosze Giedymina, a poczęści, pod względem swady, Sochaczewskiego, Niekrajewski po raz pierwszy poczuł się tu — „na stanowisku“.

— Proszę pana, — zaczął zdaleka, zlekka naśladowując litewski akcent Giedymina — bardzo się cieszę, że pan sekretarz generalny polecił mi właśnie odbyć z panem konferencję. Sądzę, że pan już się zorjentował o co chodzi. Ja jestem kierownikiem naszej organizacji robotniczej. Szukam obecnie sekretarza.

— Tak jest, panie kierowniku! — recytował w odpowiedzi Witek. — Z właściwą każdemu z ruty-

nowanych organizatorów pracy społecznej zdolnością orientacyjną, już jestem w posiadaniu niezbędnych elementów, takowych...

— Panie, panie, — przerwał mu Niekrajewski — ze mną nie potrzebuje się pan tak wysilać. Ja tu nie jestem żadną wielką figurą, ani arystokratą, ani rutynowanym działaczem... Jestem poprostu kapitanem, — nie chciał jednak już zbyt nisko uronić swego autorytetu — oficerem w rezerwie... A pan kim był w wojsku? — znalazł do Witka najwłaściwsze, zdawało mu się, podejście.

— Ja, panie kapitanie — podoficerem. Podoficerem administracyjnym — odrzekł już po ludzku Witek.

— To świetnie się składa! — Niekrajewski był szczerze zadowolony z tej dysproporcji rang. — Jako byli wojskowi, sądzę, że się wkrótce porozumiemy.

— Tak jest, panie kapitanie! — Rozkaz, słucham! — zupełnie zmilitaryzował się Witek.

Niekrajewski zmiękł.

— Otóż, proszę pana, — rozwodził się łagodnie — nie chodzi mi bynajmniej o to, że ja jestem byłym kapitanem, a pan tylko podoficerem. Chciałbym, natomiast, pomówić z panem o naszej przyszłej, ewentualnej współpracy, na warunkach najzupełniejszego koleżeństwa.

— Jak to, panie kapitanie, — nienaturalnie ożywił się Witek. — Może pan kapitan też gdzieś studjuje? — myślał głośno o tym rodzaju koleżeństwa.

— Nie, proszę pana, djabli mi po studjach! — machnął ręką Niekrajewski. — Ja chcę żyć. Żyć, pracować, zarabiać! Ale, jak dotąd, po wyjściu z wojska, jakoś niebardzo... A pan z czego żyje? — zapytał.

— Ja, panie kapitanie, jestem urzędnikiem ma-



gistrackim. Podreferentem narazie. Ale już od roku naczelnik obiecuje mi awans! — chwalił się.

— Aha, i chce pan tutaj pracować za darmo?

— Nigdy, panie kapitanie, za nic na świecie! Ja tu przychodzę poto, by pracować ideowo, ale za pieniądze — sprecyzował. — Tem większa ideowość, im więcej zapłacą! — dodał z zapalem.

— Nic słusniejszego! — podtrzymał go w tem Niekrajewski. — Rozumiem pana bardzo dobrze. Widzi pan, ja sam otrzymuję 300 zł. miesięcznie. Chciaż poza tem, że tu przychodzę wieczorami, nic jeszcze nie robię.

— E, to pan kapitan! — podchlebiał mu Witek. — Ale ja, ja nawet nie liczę, aż na tyle... Wystarczy mi narazie 200 zł. Ja, panie kapitanie, mam w magistracie bardzo mało, a muszę kształcić młodszego brata, dałem słowo ojcu! — urósł nagle w oczach Niekrajewskiego. — A dlaczego pan tu nic nie robi, panie kapitanie, jeśli wolno zapytać?

— Bo tu wogóle nic nie można robić! — wybuchnął Niekrajewski. — Prawda, pan jeszcze nic nie wie! Opowiem więc panu wszystko...

Witek całą swą postacią i aktorską twarzą wyraził najwyższe zainteresowanie. Dążył przecież do tego wszystkimi drogami w ciągu tych kilku dni swego tutaj kręcenia się.

— Widzi pan, było tak — zaczął od początku Niekrajewski. — Już od kilku miesięcy nie miałem co jeść, a nie mogłem znaleźć żadnej pracy. Wtedy nawinął mi się ten porucznik Sochaczewski, którego znalazłem jeszcze z wojska, i nastroczył mi tutaj posadę sekretarza oddziału robotniczego. Dopiero czasem awansowałem na kierownika... Raziło mnie to połączenie arystokratów z robotnikami, ale — zgodziłem się. Musiałem się zgodzić! Zgłosiłem się więc, odrazu

otrzymałem zgóry za pół miesiąca — wykladał Niekrajewski „sedno rzeczy“. — Aż tu nagle — cała chryja! Okazuje się, że jest i prezes, i sekretarz, i zarząd, i że robotnicy wcale nie chcą mnie przyjąć! Ale, uważa pan, płaci za wszystko komitet główny, jeden hrabia — księżę, drugi, trzeci...

Witek aż podniósł się na krześle. Kręcił przytem starannie uczesaną głową, czy tu czasem już kogo z nich niema!

— Więc, rozumie pan, też chcą mieć za swoje! A tymczasem tam sprawa przedstawia się zupełnie inaczej... Ten prezes całego robotniczego interesu, to pewien starszy człowiek, konsul honorowy Hondurasu, — znów miotnął w Witka ciężarkiem tytułu — sam chce być panem! Bo on tych robotników już dawniej zebrał, podbujął, niby zorganizował. On już z nimi wielokrotnie wpakowywał się do różnych organizacyj politycznych. Kto da więcej! W s i o r y b à, — jak to się mówi... Otóż obecnie, po kilku tygodniach takiej pracy, jestem jak na lodzie. Nie mogę nawet pójść do swego oddziału. Bo ja, kierownik, nie jestem jego członkiem, a do kierownictwa nie chcą mnie tam dopuścić... I powiem panu, mam tego wszystkiego najzupełniej dość. Chcę tylko wybrnąć z interesu możliwie elegancko. Rozumie pan, raz tutaj wlaższy, już nie mogę odrazu wycofać się!... Poza tem, coprawda, jest mi to w tej chwili poprostu nie na rękę. Forsa! A z drugiej strony czuję się związany przez udział w tem Sochaczewskiego, porucznika, który mnie tu wtrynił... Ale już dobrze widzę, jak najmocniej czuję — nie mogę z nimi pracować, tak, jakbym chciał... Oni chcą, choroba ich wie — czego oni chcą! Żeby robotnicy za tych parszywych kilka groszy, co na nich wydaje związek, całowali arystokratów po rękę. A robotnicy — niegłupi! Widzą, że

panowie arystokraci mają w tem jakiś interes, aby ich przy sobie trzymać, więc starają się wyżyłować, co się da! Lokal, parszywy lokal, ale zawsze jest za darmo. Sekretarz jest płatnym przez związek funkcyjnarjuszem. Brał 300 zł. miesięcznie i to jeszcze sobie dodawał za różne wyjazdy, rozjazdy... Wydatki komunikacyjne — to się nazywało!

— A ja, panie kapitanie, tak, naprawdę, ile mógłbym dostawać, jako sekretarz? — wpadł w to Witek.

— No, ja myślę, że poprzestaniemy na tych 200 złotych, o których pan mówił. Przecież nie może pan otrzymywać tego, co biorę ja — kierownik, albo więcej! Śmieszne rzeczy... Ale w tej chwili nie chodzi o to, proszę pana. Uważa pan, jak panu już mówiłem, mam tego wszystkiego najzupełniej dość! Bo trzeba panu wiedzieć, że w tem wszystkim tkwi najmocniej jedna rzecz — walka z konsulem Tomaszewiczem, prezesem oddziału robotniczego! Giedymin z nim za łby się wodzą, zresztą, teraz — już cały komitet główny. I chcą go wyżyć wogóle z organizacji. Robotników zatrzymać, a jego — won!... Więc muszą mu odebrać to, na czem się on opiera. Robotników. Zarząd... Chcą go oddzielić od nich. A mnie wzięli tu, jako klina, szlag by ich wszystkich trafił!...

— To ja, panie kapitanie, też będę musiał w to włączyć? — skwapliwie dopytywał się Witek.

— Nie, panu przeznaczam inną rolę. To ja już, psiakrew, sam tylko będę zmuszony do tej ich polityki. A pan od tego jak najdalej. I tak, o wszystkim będzie pan wiedział ode mnie...

— A do czegoż to, panie kapitanie, jeśli wolno zapytać, dojdzie ta cała heca?

— A do tego ja ją prowadzę, że, uważa pan, po zrobieniu tego, czego oni ode mnie chcą — podsunę



im pana. A sam się usunę zupełnie. Pana zostawię samego, jako kierownika i sekretarza...

— Mnie? — zawołał Witek. — Panie kapitanie, ja nigdy sam, bez pana!

— Głupstwo! — zapanował nad nim Niekrajewski. — Tymczasem rozdzielimy pracę pomiędzy sobą w ten sposób, że ja będę miał rolę czysto negatywną, a pan — pozytywną.

— Ależ, panie kapitanie! Ja odrazu! Jak tylko dostanę te moje 200 zł., to ja odrazu wszystko zrobię. Założę biuro, książki, rachunki, wszystko jak się należy. Jestem przecież specjalistą - organizatorem! Negatywnie, pozytywnie — wszystko potrafię!

— Powoli, panie, powoli. Nie ma się pan znów z czem tak śpieszyć. Narazie wogóle nie możemy nic robić, prócz spotykania się tutaj, bo między komitetem a oddziałem jest wojna. Trzyma się niby jeszcze kompanja robotniczego przysposobienia wojskowego, ale cóż tam znaczy tych kilku robotników, którzy przychodzą na zbiórki! A reszta — fiut, rozleciała się.. Dawny sekretarz — won... Zresztą, już dostał od Giedymina niezłą posadę na prowincji, z ramienia związku... Cały sekretarjat oddziału opanowali robotnicy... Nie można się tam pokazać... Obecnie toczą się rokowania pomiędzy posłem Bohdanowiczem, wiceprezesem związku, a konsulem Tomaszewiczem. Ale, zdaje się, bez udziału hrabiego Rybińskiego, który w tej chwili jest poza Warszawą, nic nie dojdzie do skutku. Tego jednego to szanują i robotnicy, i Tomaszewicz. Forsa, panie, to wszystko! A on — to podobno najbogatszy człowiek w Polsce... Więc, powiadam panu, — powracał do myśli przewodniej — nie mamy czego się śpieszyć. Proszę również liczyć się z tem, że ja muszę pociągnąć przynajmniej przez kilka miesięcy. Trochę się odkuć. Z jednej strony — tyle czasu zajmie praw-



dopodobnie rozwałkowanie całej sprawy, a z drugiej — przecież chodzi o te moje 300 zł.!

— Panie kapitanie, — nalegał Witek — a gdybyśmy jednak tak razem zostali! — podobala się mu ta perspektywa. — Przy panu, jako kierowniku, ja sam wszystko będę robił!

— Nie, panie, za nic, za nic! Niech ich ciężka cholera! Pan może tego tak nie odczuwa, nie może zrozumieć. Ale panie! — zawołał. — Ja kocham robotnika, ja, uważa pan, trzymam z robotnikami! I nigdy, nigdy nie zgodzę się na to, żeby iść z nimi za tymi „księciami“, hrabiami, panami, czy jak ich tam jeszcze nazywają!

— Rozumiem, panie kapitanie — nasrożył się również i Witek.

— Nic pan nie może zrozumieć, bo jeszcze nic pan nie wie! Przecież ja tu, już za pierwszym razem, natknąłem się na to, jak robotnicy, ci sami, z którymi mamy pracować, są wśród oddziału, zarządu robotniczego, — wywiadowcami na usługach komitetu głównego. A kto zaręczy, że inni nie są na usługach Tomaszewicza? Zresztą, napewno są — właśnie cały zarząd i jego zwolennicy! A kto wie, czy wogóle wszyscy, po dwóch, po trzech, po kilku nie są skądś podstawieni!?

— Przepraszam, panie kapitanie, — niespokojnie poruszył się Witek. — Zapomniałem uprzedzić pana, że ja właściwie przychodzę tu też z pewnej organizacji!

Niekrajewski porywczo wyciągnął rękę, jakby chciał go schwycić za gardło.

— Nie, nie, panie kapitanie! — wołał Witek. — Proszę nie myśleć nic złego. Poprostu nie chcieli mi tam płacić! Obiecywali, obiecywali, namawiali na ideologję. Zabrałem się do tego, już — już wszedłem

w to, a tu, tymczasem, stop—nie chcą płacić. Na zebraniach, panie kapitanie, na herbatkach różnych, wciąż kazali wygłaszać przemówienia, że to ja jestem specjalistą - organizatorem... A tu masz! Nic z tego! Rzuciłem ich i przyszedłem tutaj... A szkoda, już nauczyłem się śpiewać, chociaż nie jestem zbyt muzykalny... — dodał z prawdziwym żalem.

— A czegoż się pan nauczył?

— No, tam — „Czerwony sztandar“: Na barykady ludu robotczy... Zna pan tę melodię, panie kapitanie?

— Znam, doskonale znam — w jakimś upojeniu mówił cicho Niekrajewski. — Boże! Choć raz usłyszeć to wśród robotników!

— Poco, panie kapitanie! Ja to panu kiedyś sam zaśpiewam, przy okazji! — zaofiarował się Witek.

— Nie panie, to nie pomoże. My z panem będziemy tu musieli śpiewać co innego! — wytrzeźwiał już Niekrajewski. — Tu przecież sami monarchiści... Powracając jednak do naszej sprawy, pragnę z panem ostatecznie umówić się, że, znaczy się, teraz my z panem całkowita sztama. We dwóch — przeciwko wszystkim. Maszerować oddzielnie, bić razem! — przypomniał mu się czyjś aforyzm, zasłyszany od Sochaczewskiego... — Ja za 300 zł., pan, narazie, za 200. Ale tylko narazie. Jak ja odejdę, to pan dostanie i moje... Zgoda?

— Tak jest, panie kapitanie! — liznął go Witek wyrazem wdzięczności w oczach. — To nic nie szkodzi, że monarchiści! Byle tylko płacili! Maszerować oddzielnie, bić razem! — powtórzył kilka razy. Strasznie mu się to podobało.

— Ale jeszcze jeden warunek! — przypomniał sobie ze śmiechem Niekrajewski. — Ta panna, uważa

pan, sekretarka, to będzie moja! I jak pan tylko będzie mógł, to proszę ją do tego jakoś namówić...

— Już się robi! — zacierał ręce Witek. — Ja to panu kapitanowi zorganizuję! Fest dziewczynka! — dodał niewinny komplement...

Wtem do gabinetu wszedł Giedymin.

— Przepraszam panów, — rzekł — ale panowie już tak długo konferują, a mnie tymczasem potrzebny jest ten pokój!

— To my już wyjdziemy. Skończyliśmy — odrzekł Niekrajewski.

Witek pierwszy wyskoczył do przedpokoju. Niekrajewskiego Giedymin zatrzymał na chwilę.

— No i co, panie kapitanie, będzie co z niego? — zapytał.

— Naturalnie, pierwszorzędny chłop! Chociaż trochę ograniczony. Znakomita siła pomocnicza. Już się z nim umówiłem. Chce 200 zł.

— Aj, panie kapitanie, skądże ja mu tyle wezmę! A mówiłem przecież panu, uprzedzałem, że tylko ideowo! No, ale co robić. Powiada pan, że będzie dobrym sekretarzem?

— Świetnym — zawołał Niekrajewski, myśląc o obietnicy Witka co do Bławatkówny...

Po chwili szli z Witkiem na wódkę. Witek zapraszał.

Niekrajewski przypomniał sobie:

— Aha, zapomniałem pana zapytać, gdzie to pan studjuje?

— Ja! — zdziwił się Witek. — Nigdzie... Kiedyś zapisałem się do szkoły handlowej, myślałem, że mi przez to podwyższą pensję w magistracie. Ale gdzie tam!...

Gdy zaś już dobrze sobie popili, spoufalony Witek

znów powrócił do interesujących go spraw związkowych:

— Panie kapitanie, a co robi poza tem książę Giedymin? Ciekaw jestem, ile on tu dostaje, jako sekretarz generalny?

Niekrajewski, nie chcąc go wyprowadzać z czołobitności względem związku i jego reprezentantów, odrzekł wymijająco:

— Zajmuje jakieś wysokie stanowisko państwowe... A tu zarabia ile chce, — jako sekretarz generalny dysponuje wszystkim!

Zabił tem niemałego ćwieka w Witkową głowę.

## ROBOTNIK NIEZNANY.

Gdy już wszystko, co łączyło związek z robotnikami, zdawało się rozlatywać. Gdy stan wojny, pomiędzy sekretarjatem komitetu głównego a zarządem oddziału robotniczego, stał się dla wszystkich jak najoczywistszy. Gdy nawet z robotniczem przysposobieniem wojskowem Korwina, i „komendanta głównego“ Giedymina, — działo się coraz gorzej. Gdy, czuli to wszyscy w sekretarjacie, nie było „najmniejszych danych“ na ponowne, bezpośrednie „nawiązanie kontaktu“ z robotnikami. Gdy dotychczasowe „współżycie“ doszczętnie zamarło, otwierając na swe miejsce niczem niedającą się zapelnąć lukę... Nagle zabłysła iskra nadziei!

Przyniósł ją ze sobą ten sam robotnik, którego Niekrajewski już był widział na zebraniu mężów zaufania. Rozpierającego się wówczas niedbalej od innych. Najstarszego z pośród nieposiadających pracy już od kilku lat. Senjora bezrobotnych...

Teraz podobnie, rozpierał się od kilku dni w se-



kretarjacie związku. Niewielki, z wyrazem bezwzględ-  
nego cynizmu całej postaci. O długiej twarzy,  
pooranej dwiema wielkimi bruzdami. Z wyzywają-  
cem spojrzeniem małych, szydzących, białawych  
oczu. W wiecznie wyblakłym paletku wiosenno-  
letniem.

Rozpierał się, nie reagując wcale na protesty  
Bławatkówny. Nie zwracając uwagi na rzutkiego  
Korwina, gdyż nie należał do przysposobienia woj-  
skowego. Neglizując obecność któregokolwiek bądź  
z „panów“. Nawet Giedymina, nawet Bohdanowicza  
i hrabiego Rybińskiego. Był za pan-brat z samym  
porucznikiem Sochaczewskim!

Wyczuwał, że teraz, po tym rozłamie z robotni-  
kami, jest tu całym światem robotniczym. Jedynym  
jego przedstawicielem, żywym przypomnieniem, wcie-  
leniem...

Pewnego razu zagadnął Niekrajewskiego o papie-  
rosa:

— Ma pan dla mnie papierosa, panie kapitanie?  
— rzekł z jakąś nonszalancką prostotą.

Niekrajewski służył mu pierwszy, uprzedzając  
w tem kilka panów, którzy również sięgnęli po-  
spiesznie po swe papierośnice.

— Pan pewno dużo pali! — stwierdził, widząc  
w ręku Niekrajewskiego pełne pudełko. — Mam ja  
i swoje, — dodał z szelmowskim uśmiechem — ale  
to nie opłaca się... Lepiej kurzyć obce!

A przysuwając się bliżej, wygarnął głośnym  
szepem:

— Co oni tu wszyscy teraz robią? — ogarniał  
jasnemi, jak bielmem pokrytymi oczami — Bławat-  
kównę, Rybińskiego, Giedymina, Sochaczewskiego,  
Korwina i kilku akademików-mocarstwowców.

— Cóż, — odrzekł Niekrajewski, wzruszając ra-

mionami — pracują! Widzi pan — tu idzie biuro, a ot ci panowie konferują sobie teraz... — starał się jak najoptymistyczniej przedstawić mu sytuację.

— No tak, widzę przecie! — odgryzł się robotnik.  
— I pana widzę, panie kapitanie! Ja nie ślepy! I pan też pracuje... A ile na to idzie pieniędzy!! Skąd panie, ta forsa, żeby to wszystko szło!? I poco im to teraz, kiedy nie mają już robotników!? Nie opłaca się przecież! — patrzył pogardliwie... — A pan ile tu bierze?  
— zapytał w napływie spoufalenia.

Niekrajewski zdębiał. Nie dlatego, by sam był nie widział całej bezwartościowości swego teraz tutaj sterczenia. Nie dlatego, by wogóle przywiązywał jeszcze do tej pracy jakąkolwiek wagę. Lecz, że znalazł się w obliczu tak swoiście zrozumianej rzeczywistości.

Wszyscy udają, że coś jeszcze robią. że coś jeszcze trzeba robić. Ale tylko udają, i to — bez powodzenia... Bez oddziału robotniczego wszystko to staje się fraszką, głupstwem. Czems bezcelowem. Pozbawionem wszelkiego wyrachowania, a nawet sensu!... Bo przecież istotnym celem wszystkiego jest opanowanie robotników za wszelką cenę!!!

Zapatrzył się w bladą, pooraną bruzdami twarz robotnika. W to wychudzone, kościste, wyblakłe oblicze z bielmem zapadłych oczu. I po raz pierwszy odczuł, że spotkał tu nareszcie tego, kogo mu dotychczas brakowało...

Pod przenikliwym jego spojrzeniem, robotnik ani mrugnął. Oglądał się, ssąc papierosa, jakby chciał gdzieś splunąć — obficie, przez zęby...

W tej chwili ich rozdzielono. Ogarnęła robotnika grupka konferujących panów.

— Proszę pana, — rzekł do niego hrabia Rybiń-

ski — jakże się pan miewa? Ma pan nareszcie jakieś zajęcie!?

— Iii, panie hrabio, — skrzywił się — zaczem robota do mnie przyjdzie, dużo wody w Wiśle upływie! — Zupełna Kłajpeda... — dowcipkował. — A może pan hrabia już ma coś dla mnie?

Rybiński szybko obrócił się do Giedymina. Ten stał z melancholijnym wyrazem oczu, jakby trwając w smętnym zachwycie — na sam widok hrabiego rozmawiającego z robotnikiem...

Hrabia nie doczekał się odpowiedzi. Niby celem poufnego jej uzyskania pociągnął Giedymina do jego gabinetu.

Przed robotnikiem rozkraczył się Sochaczewski:

— No, cóż tam w oddziale? Wciąż buntujecie się przeciwko nam! — rzucał krótkie pytania.

— E, panie poruczniku, cóż tam nasz oddział... Niema nijakiegó oddziału, sam tylko zarząd! Też Kłajpeda... — powtórzył swój dowcip.

— A pan tam często bywa? — wmieszał się Korwin.

— A czegoż ja tam będę chodził? Co mnie to obchodzi!? Niech już oni beze mnie... Ja nie mam pracy przeszło trzy roki! — świecił im w oczy swem bezrobociem.

Wówczas odpadli od niego. A on pozostał nadal niewzruszony, z pewną siebie wytrwałością, oczekując na to, co musiało wreszcie przyjść...

Przyszło za chwilę. Skupieni w gabinecie Giedymina, panowie zawołali go do siebie. I znów jak kiedyś, z Czajkowskim i Derą, odbyła się tu jedyna w swoim rodzaju „narada“.

Ze strony panów prowadził ją znów Sochaczewski.

— Proszę pana, — rzekł do robotnika — nie

mamy w tej chwili żadnej styczności z oddziałem robotniczym. Nawet kompanja przysposobienia wojskowego, już nie funkcjonuje! — spojrział z wyrzutem na Korwina. — Pan kapitan, jako sekretarz wyznaczony przez związek, absolutnie nie może się tam pokazać... Czy więc nie mógłby pan tam chodzić i potem przynosić nam wiadomości!? Co oni myślą? Co robią? Jak długo będą trwali w swym uporze razem z Tomaszewiczem!? Oddałby nam pan tem wielką usługę! Potrafimy zato panu podziękować...

Bielma oczu robotnika zdradziły obecność nikłych iskierek:

— Dlaczego nie, panie poruczniku!? Wszystko jedno — nie nie robię! Mogę pójść — raz, drugi... Ale, poprawdzie, na co się to przyda? Ci z zarządu i tak przy mnie nie zechcą mówić, bo wiedzą, że ja za panem Tomaszewiczem nie trzymam. A do niego z nimi przecież nie pójde! A druga rzecz, jak oberwę co! Jak mi zęby powybijają, to wtedy co? Kto mi za to podziękuje!? Przecież z tymi chamami do wszystkiego może dojść!!

— Jeśli chodzi o odszkodowanie za pobicie, to my je panu gwarantujemy! — odrzekł na to Sochaczewski.

— No, jeśli tak, dlaczego nie!? Mogę pójść! Mnie co? — wynosił się już za drzwi. — Ale, żeby tak lepiej jaka spokojna robota, panie hrabio! — uśmiechnął się figlarnie do Rybińskiego.

— Dobrze, dobrze! — zawołał pośpiesznie hrabia. — Już pan Giedymin zapisał. Jak tylko coś się trafi, to my odrazu do pana!!

— Bardzo dziękuję panu hrabiemu i panu księżciu też — zamamrotał robotnik z pewnem zakłopotaniem, a zwracając się do Sochaczewskiego dodał z ożywieniem:



— E, żeby pan porucznik chciał do tego wszystkiego szczerze się zabrać! Powyrzucać hołotę, tych draniów, chamów!! Zrobić raz nowy zarząd, nowy porządek... — mówił tak, że zdawało się, miał na myśli nie tylko zarząd robotniczy. Wcisnął na głowę wymiętoszoną, malutką jak mycka czapeczkę i znikł za drzwiami.

Gdy wyszedł, hrabia rzekł energicznie:

— Nie, stanowczo nie, tak dłużej być nie może! Musimy mu dać jakąś posadę!!

— Ależ skąd!? — nieomal rozplakał się Giedymin. — Skąd ja mu ją wezmę? Znikąd absolutnie żadnej wiadomości...

Biadając nad tem, przenieśli się całą grupą znów do pokoju Bławatkówny. Stojąc tu, częstując się nawzajem papierosami, radzili nad tą sytuacją, z której nie widzieli żadnego wyjścia.

Wtem z nad swego biurka odezwała się Bławatkówna:

— Proszę pana, — do Giedymina — zapomniałam pokazać panu ten list. Leży już tu od kilku dni...

Giedymin z zafrasowaną i zapracowaną miną zerwał odniechcenia podaną kopertę.

— Panno Leno! — wrzasnął po chwili, całkowicie gubiąc swój sztuczny akcent litewski. — To pani dopiero teraz mi to daje!? Po upływie kilku dni!! A tu jest zapotrzebowanie od dyrektora Orłowskiego na jednego robotnika... Zwycięstwo!!! — zwrócił się z triumfem do swego otoczenia.

Hrabia niezwłocznie powziął decyzję:

— Proszę natychmiast zawiadomić tego robotnika, co tu był przed chwilą! Jak się on nazywa? — zapytał Giedymina.

Spojrzeli kolejno po sobie. Nikt tego nie wiedział.

Ani Giedymін ze swoich notatek, ani Bławatkówna. Tem bardziej więc nikt, nikt z pozostałych!

Sochaczewski coś sobie przypominał z czasów wyborów, ale teraz, napoczekaniu, i on nie umiał powiedzieć nic określonego.

Staęli bezradnie nad tem pytaniem — jak nazywa się ten, którego obarczyli przed chwilą zadaniem badania nastrojów wśród robotników oddziału. I którego już życzyli sobie niezwłocznie wynagrodzić. Jakby przelewając na tego jedyne, pozostałego im robotnika, całość swych najlepszych zamiarów, jak najszczerszych chęci..

Wyczuwając, że zaciężyło to nietylko nad nim, Niekrajewski, postokroć bezradniejszy od innych, zatriumfował w tej chwili na nimi jakimś mściwym, wewnętrznym śmiechem...

Niedługo to trwało. Po chwili otrzymał uderzenie, całkowicie go upośledzające.

To Sochaczewski wlot podjął leżącą samopas inicjatywę:

— Nic nie pozostaje, tylko żeby pan, panie kapitanie, niezwłocznie udał się do oddziału i wydobył tam jego nazwisko i adres! — miał na myśli tego robotnika...

— Jak to — ja!? W tych warunkach — do oddziału!? — zdumiał się i rozłościł Niekrajewski.

— Tak, tak, — nieśmiało podtrzymał go hrabia — może rzeczywiście to nie wypada, żeby pan kapitan, teraz...

Lecz stronę Sochaczewskiego wziął Giedymін:

— Tak jest, panie kapitanie, to jedyne wyjście! — znów już śpiewał z litewska. — Musi pan udać się tam natychmiast!!

Niekrajewski jeszcze próbował się bronić. Przedstawiać, że już późno, że nikogo nie zastanie w od-

działe. że gdyby nawet zastał, to nikt nie zechce pokazać mu książki ze spisem członków i ich adresami. że wreszcie, jest to dla niego wprost niebezpieczne!

Nic to nie pomogło. Musiał ustąpić przed sprzymierzonymi Giedyminem i Sochaczewskim, którzy jakgdyby uparli się popisać przed hrabią sprężystością działania, w tej właśnie chwili.

Odprowadzony współczującymi spojrzeniami Rybińskiego i Bławatkówny, obłaskawiony poklepywaniem po plecach przez Sochaczewskiego, Niekrajewski „leciał“ za chwilę najkrótszą drogą do oddziału.

O ile pod względem fizycznym, z powodu zimna i zdenerwowania, „lot“ należał do lekkich, to moralnie był bardzo ociążały.

Jeszcze Niekrajewski był nie przebolał tego, wymuszonego na nim „zlecenia“ do oddziału. Wyślugiwania się nim za tę jego miesięczną gażę. Gdy odczuł, że „lot“ jest hamowany również przez jeszcze inny sprzeciw — idący, zdawało mu się wyraźnie, właśnie od strony oddziału...

Już wyobrażał sobie, jak go przyjmą robotnicy! Jak nawet nie wpuszczą do „siedziby“! Jak może, poprostu — przypomniał sobie obawy nieznanego robotnika — zbiją mordę, albo czemś ciężkiem, żelaznem po głowie... Po głowie, wciąż ważącej na dwoje linję jego postępowania: Naprzemian — to przeciwko robotnikom, to przeciwko komitetowi głównemu związku...

Gdy zmachany, umyślnie, dla rozgrzewki zziąjany, prychnął parą przed furtką pod mostem, nagle wyłoniło się z niej kilka postaci. Wyminęły się z nim w milczeniu, jak nieznanymi.

Dopiero po chwili stwierdził, byli to: Indor,

Adamczewski, Jaskółka i Jabłoń. Z nimi jeszcze kilku robotników.

Gdy się od nich już był oddalił, zrozumiał — w ten sposób ma odcięte „tyły“. Ale teraz, gdy już znalazł się w „sferze działania“ tego niebezpieczeństwa, dominowała w nim raczej inna myśl. Skonstatowanie, że już ma za sobą tę, dzielącą go dotychczas od oddziału przestrzeń. I wszystkich arystokratów...

Wbiegł na ciemne schody, jakby szturmując mrok wysuniętą naprzód głową. Wpadł do „poczekalni“ — nikogo już tu nie było...

Ktoś, zwabiony tym hałasem, uchylił drzwi pokoju z napisem „Zarząd“.

— Pan Dziewańszczak! — ucieszył się Niekrajewski.

Jak Dziewańszczak objaśnił, mieszkał tu już od dnia pamiętnej, ostatniej uchwały zarządu. Żeby móc lepiej pilnować sekretarjatu...

Właśnie w tych dniach żona powiła mu syna. Był czerwony, spocony, uszczęśliwiony i gościnnie zapraszał do siebie.

Niekrajewski wyłuszczył odrazu, poco tu przyszedł:

— Proszę o pokazanie mi księgi ewidencyjnej członków oddziału — niefortunnie postawił sprawę.

Dziewańszczak nie mógł tego uczynić. Biuro jest zamknięte. Biurko sekretarza również. Klucze, co prawda, są u niego, ale niema „zewoleństwa“!...

Niekrajewski wpadł w gniew. Zamiast groźnego, spodziewanego niebezpieczeństwa — „lono“ rodziny Dziewańszczaka! Zamiast bojowego sprzeciwu — głupia obstrukcja!!

Siedzi tu, prosi o nieszczęsną księgę z adresami, poniża się, naraża... A tam — w związku — już z pew-



nością zapomniano o jego wysłaniu! A tu — na schodach, w podwórzu, pod mostem, — może już czeka na niego zasadzka!?

Sprzeczał się z Dziewańszczakiem, nie chcąc wyjawić o co mu właściwie chodzi. Można było pomyśleć, że chce podstępnie zawładnąć spisem członków oddziału! Posiąść główny sposób komunikowania się z nimi, ich „posiadania“. Wiadoma rzecz — wtedy mógłby założyć inną organizację!!

Nagle, ostrzegawczo jak kogut, zapiało dziecko... W blaszanym piecyku, przeniesionym do tego pokoju z sekretarjatu, złowróźnie trzasnęła rura... W poczekalni zatupotano i rozległy się jakieś zziębnięte głosy.

Zapukano do drzwi pokoju Dziewańszczaka. Weszli — Indor, Adamczewski, Jaskółka. Reszta być może czaiła się na schodach, w bezludnym podwórzu!? Niekrajewskiego przeszły ciarki...

Przybyli zajęli wobec niego wyraźnie bojowe stanowisko:

— Czego pan tu chce!?

— Chcę dostać nazwisko i adres jednego z członków oddziału! — przyznał się dopiero teraz przycisnięty Niekrajewski. — Właśnie dlatego prosiłem pana Dziewańszczaka o pokazanie mi książki...

Przerzucili się podejrzliwie okiem, nie szczędząc również Dziewańszczakowi złośliwych, potępiających spojrzeń. Za samo przyjęcie Niekrajewskiego, za rozmowę z nim, za okazaną gościnność.

— Książka nie może być pokazywana tylko komu! — zawyrokował Indor. — Zresztą, pan konsul Tomaszewicz zakazał nawet wpuszczać tu kogoś, c ó ś k o l w i e k postronnego!!

— A pan przecież nie jest naszym członkiem!?!—

ni to pytał, ni to stwierdzał suchotniczy Adamczewski.

— A czy tylko na to jest panu książka potrzebna? — grubijanił na swój sposób szofer — bokser Jaskółka.

Wmieszał się w to, jako gospodarz, Dziewańszczak.

— Panie kapitanie, — rzekł — a może książka jest panu potrzebna do czegoś takiego... — starał się naprowadzić Niekrajewskiego na jakąś sprytną myśl.

— Pan hrabia Rybiński kazał mi tu przyjść i dowiedzieć się o adres jednego z panów. Ma dla niego zajęcie! — rąbnął w nich wówczas.

Zmieszali się na chwilę, lecz wcale nie wyzbyli się podejrzliwości.

— A dla kogoż-to!?! — padło zbiorowe pytanie.

— Może dla mnie! — zarehotał Jaskółka. — Pan Giedymin już oddawna mi obiecywał!! — pokładał się ze śmiechu.

Tu z kolei zmieształ się Niekrajewski. Nie wiedział przecież, jak się nazywa ten robotnik! Przeklinał w myśli cały związek, komitet główny, wraz z jego sekretarjatem.

— Taki tu, wśród panów jest jeden bezrobotny... — kluczył. — Mały, szczupły, z dwiema bruzdami na twarzy... Ma takie jakieś białe oczy... Ubogo odziany, w letniem palcie... — jękając się, kreślił sylwetkę.

— jakto!?! — wybuchnął Adamczewski. — Przychodzi tu pan, przysyłają tu pana, żeby dać komuś pracę, a pan nie wie nawet, jak się on nazywa!!

Indor skrzywił twarz w uśmiechu i macał się — nie bez kozery! — po wewnętrznej kieszeni płaszczka. Jaskółka rozsiadł się przed Niekrajewskim, trzymając na kolanach obie ręce, zaciśnięte w obite, bokserskie pięście.

— No, jakto, panowie sobie nie przypominają!?  
— ślęczał Niekrajewski, niby na nic nie zwracając uwagi. — Taki biedny, blady, zawsze milczący bezrobotny. Mąż zaufania!

— Któż to może być!? — jakby umyślnie długo się nad tem zastanawiali.

— W tem c ó ś k o l w i e k jest! — kręcił głową Indor...

Boże, jakże pragnął Niekrajewski huknąć na nich po „oficersku“ — zgóry! Zwymyślać jak ostatnich — „ostatniemi“ słowami!!

Pohamował się jednak, gdyż wreszcie usłyszał od Dziewańszczaka:

— A może to ten — Piskorz!?

— Ale gdzie tam! Jaki Piskorz!? Ż a d n e g ó j Piskorza tu niema!! — zaprzeczyli inni.

— Może to Piskorski!? — kątem skrzywionych ust zasyczał Indor. — Ten, co to zawsze na wszystko zgadza się z komitetem... — charakteryzował nieprzychylnie! — Taki c ó ś k o l w i e k opozycja!

— A tak, tak!! — podchwycił uradowany Niekrajewski. — To na pewno ten! Więc jak się właściwie nazywa!?

— Piskorz, pamiętam, że Piskorz! — Dziewańszczak bronił swego.

— Nie, — Piskorski! — kręcił na to kędzierzawą głową Indor.

W żaden sposób nie mogli tego pomiędzy sobą ustalić. Jeden mówił, że Piskorz, drugi że Piskorski. Gdy się zgadzali na jedno, powstawała wątpliwość, że mogą się wspólnie mylić... I tak się tłukli, jak na złość Niekrajewskiemu, między jednym a drugim, między Piskorzem a Piskorskim, wciąż się wyslizgującym, nieuchwytnym...

Wreszcie, gdy się zmęczyli, Dziewańszczak złapał moment:

— A zobaczymy co stoi w książce! Jaki kto ma adres! — wyszedł do sekretarjatu w asyście Adamczewskiego i Jaskółki.

W pokoju zacichło. W kącie na łóżku, żona Dziewańszczaka tuliła niemogące usnąć niemowlę...

— Jabym też takie coś miał, gdyby moja nie poroniła! — westchnął gdzieś w przestrzeń Indor. — Podźwignęła się c ó s k o l w i e k przy robocie, przeleżała potem trzy roki! — informował kogoś w tej przestrzeni, poprawiając na rękawie świeżą krepę.

Po chwili wrócili tamci. Mieli teraz czarno na białem — robotnik nazywał się Piskorz v e l Piskorski. Mieszkał tam a tam...

Jednak, gdy Niekrajewski zabrał się z tem do odejścia, robotnicy, jeszcze nie wierzyli, że mu tylko c to chodziło. Zresztą, to im chodziło właśnie o to żeby nie poprzestać teraz, przy tej okazji, tylko na tym drobiazgu.

— Niechże pan kapitan powie — już go tytułował Indor — c ó s k o l w i e k o komitecie! Czy to prawda, że hrabia Rybiński c ó s k o l w i e k na nas się gniewa!?

— Niech już raz uradzą pomiędzy sobą z panem konsulem Tomaszewiczem, to wszystko będzie po staremu! — wydawali się znacznie pokorniejsi, zmęczeni „rozłamem“ ze związkiem.

— Tak, — zatriumfował nad nimi Niekrajewski — mogę panom coś-nie-coś powiedzieć. Jest już prawie wszystko uzgodnione. Ja tu zostanę kierownikiem oddziału! — powstał ze stołka i szedł ku drzwiom, nikomu z nich nie podając ręki.

Rozstąpili się. Przeprowadzali go milczeniem. Sami zaś zostali u Dziewańszczaka, by naradzić się nad



tem wdarciem się „intruza“, dumnie zapowiadającego zakończenie „wojny“ swoim całkowitem zwycięstwem!...

A Niekrajewski pędził pod zdobyty adres. Znów „leciał“ po niedalekiej ulicy, szukając mieszkania bezrobotnego robotnika Piskorza w e l Piskorskiego.

Przekleństwo! I tu, narazie, nikt o nim nic nie wiedział! I tu musiał przechodzić jakąś „czyścową“ drogę poszukiwania... I dopiero, gdy poraz niewiadomo który, napróżno szturmował do dozorczy, ktoś przypadkowo usłużnie powiedział:

— Tak, mieszka tu jeden taki, jak pan powiada, robotnik - bezrobotny. Taki mały, chudy i blade. No si się po letniemu, choć to zima... Ale nikt nie słyszał, żeby się tak nazywał... — Nie, nikt nie słyszał!... O, mieszka tu, nad piątem piętrem, w nadbudówce!— wskazywał drogę.

Niekrajewski w napływie poświęcenia wlaź na piąte, potem na szóste piętro warszawskiego „drapacza“. Na strychu było jakieś mieszkanko, komórka z desek.

Wiedziony ostatecznością, zapukał do omotanym ścierkami drzwi. Było już późno. Nikt długo nie odpowiadał.

Wreszcie odezwał się kaszlący głos kobiecy:

— Kto tam, do kogo!?

Niekrajewski już unikał tego fatalnego, nikomu nieznanego nazwiska, odpowiedział więc ogólnikowo:

— Ja tu ze związku. Mam pracę dla tego bezrobotnego pana, co tu mieszka!

Po chwili drzwi otworzyły się. Ukazał się ma-  
lutki schron pod ukośnie leżącym sufitem. Przy jedy-  
nej szybie okna wisiała kopczą lampka. W kącie Nie-  
krajewski dostrzegł kobietę, ukrywającą się pod łach-  
manami starych, cieplejszych brudnych rzeczy.

Kobieta trzymała przy piersi dziecko. Obok niej, skulona jak pies, spała kilkuletnia dziewczynka.

Robotnika nie było. Niekrajewski nie wiedział, co ma teraz zrobić.

Wtedy podpełzła ku niemu obudzona dziewczynka.

— To do tata — objaśniła matce. — Pan do tata przyszedł!! — zachichotała do rozpuku.

Niekrajewski nie mógł dłużej tego znieść. Wyjął notes, napisał kartkę, polecającą Piskorzowi *vel* Piskorskiemu udać się nazajutrz do takiej a takiej fabryki, wskazanej przez dyrektora Orłowskiego.

żałował tylko jednej rzeczy — straconego, zdało mu się nazawsze — uczucia poświęcenia. Tu, w tej norze na strychu, w obliczy tej kaszlącej kobiety, wobec tego śmiechu chochlika — dziewczyniny!

Mówił rzeczowo, oschle, szybko:

— Niech pani powie mężowi, żeby jutro udał się z tą kartką do fabryki. Zgłosić się do dyrektora, którego nazwisko tu wypisałem... A wieczorem niech przyjdzie do związku. Już wie gdzie... — wychodził.

— Dobrze, dobrze, pan zostawi... Dziękuję panu! — dobiegł go przy drzwiach skrzeczący głos kobiety, która nagle „zanosła się“ od kaszlu. Akompanjował mu ten idjotyczny śmiech dziecka...

Niekrajewski, wbrew temu, co przedtem marzył o odwiedzaniu robotników, postanowił już nigdy nie pokazywać się w domu żadnego z nich, z temi sprawami związku...

Piskorz *vel* Piskorski nie zgłosił się z kartką do dyrektora i już nigdy odtąd nie przychodził więcej do sekretarjatu komitetu głównego.

## KREW PIERWSZA i OSTATNIA.

Wysoce dyplomatyczne rokowania, które w imieniu związku prowadził był z Tomaszewiczem poseł Bohdanowicz, jak należało się spodziewać, nie dały żadnych wyraźnych rezultatów. Prócz tego jednego—konsul był gotów do pewnych ustępstw, lecz pod warunkiem odbycia bezpośredniej rozmowy z prezesem związku...

Odkładając więc ją, aż do czasu powrotu do Warszawy hrabiego Rybińskiego, Giedymin i Sochaczewski uważali za konieczne spróbować jeszcze raz swej metody. W myśl koncepcji bezpośredniego oddziaływania na robotników, pozyskania ich nowymi pomysłami organizacyjnymi, szerokimi perspektywami rozwoju oddziału, hojnymi obietnicami w zakresie pośrednictwa pracy, protekcji, ułatwień, zapomóg...

Wyglądało to najwyraźniej na naśladowanie samego Tomaszewicza, któremu właśnie nic innego nie zarzucano. Lecz nie to uderzyło Niekrajewskiego.

Ugiął się był pod ciężarem czego innego. Oto — do przeprowadzenia tego ataku, mieli się zabrać tylko we dwójkę z posłem. Jakby za karę, że przedtem proponowali inne, jeśli nie rozwiązanie, to przetrwanie rozłamowej sytuacji...

Do zarejestrowanych członków oddziału, za pośrednictwem Dziewańszczaka, zostały więc wysłane zaproszenia na zebranie, kontrasygnowane przez konsula Tomaszewicza.

Konsul, jak „mądry lew“, cofał się, niby oddając pole przeciwnikowi, by potem tem bardziej zatriumfować.

Dla dodania sobie odwagi Bohdanowicz i Niekrajewski zaprosili do asysty drapieżnego Korwina.

Gdy w oznaczonym dniu zjawili się w oddziale, zdziwił ich przede wszystkim niewidziany dotychczas natłok robotników. Okazało się, iż członkowie zarządu, pragnąc podnieść frekwencję zebrania, rozpuścili pogłoskę, że będą na niem obecni i Rybiński, i Tomaszewicz.

Następną nowością było zdublowanie w sekretarjacie starego napisu „Niech żyje nasz Dziedek - Marszałek Piłsudski“ przez dopisek „I nasza Babka - minister Tomaszewicz“.

Robotnicy zachowywali się uprzejmie, nawet z niejaką przesadą. W tłumie ich panowało ożywienie, zainteresowanie i jakaś butna wesołość. Zwłaszcza wśród zarządu i jego sympatyków.

Indor, chociaż wiceprezes, oficjalnie do niczego nie wtrącał się. „Panowie“ korzystali więc z pośrednictwa zadomowionego tu „sekretarza“, Dziewańszczaka, który starał się pomóc im w zorganizowaniu zebrania.

W sekretarjacie było tak ciasno, iż uradzono przenieść się na wolną obecnie salę zbiórek kompanji przysposobienia wojskowego.

— Proszę panów! — krzyczał do robotników usługowy Dziewańszczak. — Prosimy na salę, zaraz pan poseł otworzy zebranie!!

Śród robotników przeszedł pomruk zawodu:

— Jak to, to nie będzie pana hrabiego, ani pana konsula!? Wszystkim mówiono, że dzisiaj przyjdą! że mają nam powiedzieć coś bardzo ważnego!!

Poza plecami robotników poszeptywała pomiędzy sobą, uśmiechając się złośliwie, „stara gwardja“ Tomaszewicza.



Blady, milczący, podpierał ścianę Piskorz vel Piskorski. Z jakimś bolesnym wyrazem twarzy...

Przeniesiono się na salę zbiórek. Przy stole, w centrum, zasiadł Bohdanowicz. Po obu jego stronach — Korwin i Niekrajewski.

Pośród robotników zapanowała jeszcze znacznie, butna ich wesołość, pobudzana, zdawało się, ztyłu — jakimiś konceptami, żarcikami, rubasznymi kuksańcami...

Blady poseł Bohdanowicz powstał, by to uciszyć.

— Proszę panów! — zaczął drżącym głosem. — W imieniu pana prezesa związku, nieobecnego hrabiego Rybińskiego, otwieram zebranie!

Robotnicy uciszyli się.

— I przywołuję panów do porządku!! — cieniutko zapał poseł.

Robotnicy odpowiedzieli głośnym śmiechem.

— Czy nie za prędko panie pośle!? — rzucił ktoś z dalszych ław. — Czy to można tak odrazu!? — puszczano się na figle.

Poseł dumnie podniósł bladą twarz i odparował:

— Proszę panów, występuję w imieniu pana hrabiego Rybińskiego! A proszę nie zapominać, że jestem jego stałym zastępcą, jako wiceprezes naszego związku wielkiej Polski mocarstwowej!!

Musiało to podziałać na siedzących na pierwszych ławach. Postanowili więc dopomóc posłowi i wszyscy zwrócili się nagle ku ławom tylnym, by uciszyć niesfornych.

Od strony nieszczęsnego prezydium sala przedstawiała w tej chwili dziwne widowisko...

Lecz poseł wytrwał przy swoim. Stopniowo porządek został przywrócony. Robotnicy byli gotowi wysłuchać przemówienia.

Poseł zaczął bardzo daleka. Był przekonany, że

przedewszystkiem musi podnieść w oczach robotników własną swą osobę. Pozyskać ich sobie...

Zaczął więc od tego, gdy jeszcze jako młody chłopiec, uczeń gimnazjalny, poświęcił się był w swem rodzinnem mieście — pracy społecznej, kulturalno - oświatowej, cichej walce rewolucyjnej o niepodległość ojczyzny...

Minął już w ten sposób przed robotnikami wiek chłopięcy posła, minęły lata młodzieńcze... Mówca zbliżał się ku punktowi kulminacyjnemu, gdy będąc dorosłym człowiekiem, w roku 1920, wziął ochotniczo udział w walce na froncie, jako szeregowy... Uważał, iż czyn ten wieńczył całą poprzednią pracę jego życia. Wierzył, że powinno to ostatecznie przekonać słuchaczy!...

Wtem z tylnich ław padł zgłuszony okrzyk robotnika, kryjącego się poza plecami innych:

— To może pan poseł też będzie przychodził na nasze zbiórki do kompanji pana Korwina!?

Towarzyszył mu gromadny, bezlitosny śmiech...

Przerwał go nagle okropny krzyk rozwścieczonego Korwina:

— Co to za dureń powiedział!?! Niech wyjdzie, to ja z nim pogadam!! Mordę zbiję!!! — ryczał w napadzie gniewu, wywołanego przedewszystkiem podrażnioną ambicją „komendanta“.

Przekraczało to znacznie „program“ zebrania w myśl ukrytych intencyj zarządu robotniczego. Indor z całym zarządem rzucili się, by uspokoić Korwina.

Incydent tak nagle wybuchł, załagodzono z niewiarogodną szybkością. Korwin jednak, mimo wyrzucenia za drzwi niesfornego robotnika, nie dał nakłonić się do dalszego pozostania na sali.

Pozostał więc robotnikom tylko Bohdanowicz, i miłozący przez cały ten czas Niekrajewski.

Poseł stał i czekał, aż się wszystko uciszy, daremnie ruchami rąk nakazując wprowadzenie porządku. Niekrajewski siedział sobie przy końcu stołu i pocichutku palił papierosa. Był w tej chwili bezmyślny, nieuchwytny nawet dla siebie samego, jak dym. Zdawało mu się, jak dym właśnie, rozwiewał się nad pustym prezydjalnym stołem, płynąc kołyszącą się falą w twarze najbliższych siedzących robotników...

Wreszcie poseł znów mógł zabrać głos.

— Proszę panów, — oświadczył robotnikom — wobec takiego zachowania się niektórych członków, rozwiązuję dzisiejsze zebranie i żegnam panów! — wstał i wychodził z za stołu wśród okrzyków, śmiechu, gwizdania i wszczętych, kilku naraz, mitygujących przemówień „lojalnych“ robotników.

— Panie kapitanie, — mówił, wymijając przy stole Niekrajewskiego — idziemy razem, co?

— Nie, panie pośle, — „postawił“ się nagle Niekrajewski. — Przepraszam, ale, ja tu jeszcze zostanę! — dawał do zrozumienia, że ma tu coś niezwykle ważnego do załatwienia. Zdawało mu się, że pozostanie w pojedynkę, wśród rozjuszonych robotników, powinno uchodzić za bohaterstwo, ofiarę, znów — poświęcenie się...

Zdziwiony poseł uścisnął mu dłoń z wylaniem.

— Niechże pan posłucha, co oni teraz o mnie powiedzą, co poniosą masom!?! — nie opuszczała go wiara w to, że stał się od dziś popularny nie tylko wśród zebranych, lecz wśród jakichś wyobrażanych, szerokich mas robotniczych.

Na sali nie było więcej nic ciekawego. Niekrajewski udał się do sekretarjatu. Wyszukał tam sobie



miejsce w pobliżu biurka i zasiadł bezradny, zdany na łaskę i niełaskę zebranych tu ludzi.

Wśród robotników wrzało. Ci, których podejrzewało o uniemożliwienie dzisiejszego zebrania, kłócili się teraz o coś pomiędzy sobą. Reszta napróżno usiłowała wziąć w tem czynny udział. Nieznacznie, wciąż opierając się plecami o ścianę, ku Niekrajewskiemu posuwał się Piskorz.

Dotychczas bolesny wyraz jego oblicza zastąpiła nieukrywana pogarda. Błyszczała w oczach, spływała ku dołowi twarzy dwiema żłobiącemi ją bruzdami, osiadając wokół ust w grymasie pełnym odrazy.

Gdy znalazł się tuż przy Niekrajewskim, zaczął mu zwierzać się jakby odniechceni.

— Chamy, było ze wsi! Nie uszanują człowieka!! Nijakiego honoru niema jeden z drugim. Pospijali się tu, u Dziewańszczaka... Indor przyniósł kilka butelek... A teraz rozrachowują się... Też się nie mogą pogodzić!! Świnie a nie ludzie! To pan Tomaszewicz ich tak nastroił...

Któryś z robotników, znajdujący się najbliżej, ruszył się nagle i jak wyszczuty wyskoczył, roztrącając innych...

Niekrajewski znalazł się w posiadaniu informacji, które, sądził, dają mu pewne prawo do pokuszenia się o opanowanie sytuacji.

— Jakże tam dziś popijało się u pana Dziewańszczaka? — zwrócił się niespodziewanie do zgrupowanej przy biurku paczki zarządu.

Strzelili ku niemu przekrwionemi oczyma z nabrzmiąłych czerwienią twarzy.

— A to pan kapitan już wie!?! — starał się pokryć to śmiechem Dziewańszczak. — To chrzciny były dzisiaj! Podlewaliśmy mego małego! — chciał wszystko obrócić w żart. — Pan Korwin też był za



kuma!! — usiłował nadać temu pozory legalności.

— A na jakąż wiarę chrzciliście go panowie!?! — bódł ich Niekrajewski. — Na wiarę pana konsula Tomaszewicza, czy też pana Giedymina!?! — umyślnie zrobił to drażniące ich przeciwstawienie.

Milczeli. Odwracali się. Szukali kogoś oczyma. Jakiegoś winowajcy, donosiciela. Tego, który oto wystawił ich w tej chwili na sztych nie do odparowania. I wszyscy nagle przesunęli się w stronę Piskorza. Jak zwarta, coraz mocniej ściskana pięść.

Niekrajewskiemu zdawało się, że poznaje wśród nich tego, który przedtem nagle odskoczył od niego i Piskorza, i wskoczył w tłum.

Wtem wzniosła się i opadła raz jeden pięść Jaskółki. Z rozluźnionego kułaka robotników wyrzały białe oczy Piskorza. Trzymał rękę przy ustach i nosie. Ręka była pełna krwi...

Niekrajewski podszedł do niego, dygocząc z oburzenia i strachu.

— Niech no pan pokaże? — powiedział. — Wody, panie, niech pan to obmyje! — wstrząsnął nim dreszcz wstrętu.

— To nic, panie kapitanie, — szeplenił krwią Piskorz. — To głupstwo, zaraz zaschnie... Chamy przekłete!! — obrócił bladą, aż białą twarz ku robotnikom.

Stał jeszcze długo przy ścianie, na dawnym swem miejscu. Stał już niepotrzebnie, wypełnił był bowiem na dziś swą rolę — „klapy bezpieczeństwa“. Trochę krwi z ust i nosa — oto wszystko, w czem utonęło bez reszty podniecenie adherentów Tomaszewicza i zarządu oddziału robotniczego...

Krew Piskorza, niewiedzieć dlaczego, dała powód do wyróżnienia się jednemu z bardziej pijanych robotników.

— E-ech! — wrzasnął ni stąd, ni zowąd. —  
Krew naszą długo leją kaci!! —  
zaintonował z nadmiernie wysokiego tonu.

Ni to z powodu tego tonu, ni to wyczucia oczywistego nonsensu słów pieśni w tej chwili, nikt go nie podtrzymał. Tyle było tej pieśni tego wieczora, ile krwi z nosa i ust Piskorza vel Piskorskiego...

Niekrajewskiego jednak to porwało. Zawróciło mu w głowie, zaszumiało, zakotłowało w piersi.

— Proszę panów! — odezwał się nagle tak głośno, jak tu nigdy jeszcze nie mówił. — Pal djabli wszystko!! Ja tu panom nareszcie wszystko opowiem... Całą prawdę!!!

Okrzyżła go ze zdziwieniem grupa zarządu. Reszta leniwie ściągała zboku.

— Pan kapitan, to nasz chłop! — krzyknął wesoło Dziewańszczak.

— Cicho ty, sekretarz! — przyციłi mu Indor i Adamczewski, jak najbliżej podchodząc do Niekrajewskiego.

— Proszę panów, — już mniej śmiało ciągnął Niekrajewski — mówiąc poprawdzie, ja, bezrobotny inteligent, który tu przyszedł zarobić przy was od panów — podkreślił — swoje 300 zł., ja was zupełnie nie rozumiem! Po cholere wam to wszystko się zdało! — usiłował trafić na wspólny z nimi język. — Panowie są panami, a wy robotnikami!! Czy sądzicie, że ja sobie nie zdaję z tego sprawy!? że nie rozumiem, że i im, i wam — chodzi o coś zupełnie innego!! Dłaczegoż wy się ich trzymacie, dlaczego nie pójdziecie własną, samodzielną drogą!? Myślicie, że nie wiem, że pan konsul Tomaszewicz, to w gruncie rzeczy taki sam, jak oni wszyscy, ci panowie!? — chciał podkopać w robotnikach najtrwalsze podstawy ich „wiary“.

— No, panie kapitanie, — zadrwił głośno Indor.

— To już c ó ś k o l w i e k za dużo! — śmiał się, szukając poparcia wśród otaczającej go grupy.

— Pan konsul Tomaszewicz to nasza babka!! — zakrzyknęli. — On nas nigdy nie opuści!

— A co do panów wogóle, to owszem, panie kapitanie! — wysunął się naprzód Adamczewski. — My wszystko wiemy!! Przed nami nic się nie ukryje... Wiemy, że pan tu nic, że pan jest tylko podstawiony przez komitet główny, przez księcia Giedymina... Ale jak co do czego, nie po naszej myśli, to my możemy wiele!! — zagroził.

— C ó ś k o l w i e k... tego! że na zdrowie nikomu nie wyjdzie!! — wtórował mu Indor.

— A wiecie wy, panowie, — szukał już deski ratunku Niekrajewski — że ja dziś jeszcze mam być u pana Tomaszewicza, żeby zdać sprawozdanie z przebiegu dzisiejszego zebrania!?! — odwrócił bieg ich myśli.

Robotnicy — zaskoczeni tem, zdetonowani, niemal wykolejeni — przycichli, rozchodzili się. Debato wali nad tem po dwóch, po trzech. Gdzieś kogoś wysyłali...

W pokoju sekretarjatu zrobiło się prawie pusto. Wszyscy, jakby umyślnie, omijali to miejsce, przy biurku, gdzie siedział Niekrajewski. Stronili od niego, jak od kogoś bezwzględnie wrogiego.

— Panie kapitanie, — skorzystał z tego Dziewańszczak. — Ja będę pana kapitana bardzo prosić!... Słyszałem, że panu księciem u Giedyminiowi to się nie podoba, że ja tu mieszkam teraz... To ja pana kapitana będę bardzo grzecznie prosić, żeby czasowo, póki tam mój mały, i taki silny mróz, — żebym ja tu mógł jeszcze pozostać! Nigdzie się podziać nie mogę, choć bierz — idź pod most i mieszkaaj!!

Z drugiej strony przysiadła się ku Niekrajew-

skiemu ociężały, flegmatyczny Jabłoń i coś tłómaczył rozwlekle, leniwie.

— Panu, panie kapitanie, ja tak powiem — zmienić to raz do czysta. Z nimi, z zarządem, pan nigdy nie dojdzie do ładu! Jak mówiono, pan ma zostać tu za kierownika, to ja panu radzę nikogo nie słuchać, tylko dobrać sobie starych, doświadczonych, co jak ja, już od początku w naszej organizacji... Ja rozumiem, panie kapitanie, pan mówił — panowie, pan Tomaszewicz, — nikomu wierzyć nie można... Trzeba, panie kapitanie, wszystko nanowo, w jak najtajniejszej konspiracji. I żeby broń była i od każdego jednego odbierać przysięgę na maszynę!! A ci co teraz, — to już zanadto dorwali się do wszystkiego, — do władzy, do pieniędzy... A chcieliby jeszcze więcej, tylko że oni nie wiedzą jak!! Nic nie umieją...

— No, a co dla innych, co dla oddziału, co dla robotnika!?! — triumfował teraz Niekrajewski, lekkim gestem ręki przecinając rozmowę.

Gdy już wychodził, podeszedł do niego Indor i jeszcze kilku.

— Pan kapitan kiedy będzie u pana konsula? — zapytał z lekkim uśmieszkiem. — My tu przed chwilą, c ó ś k o l w i e k, tam telefonowali. O tu — Jaskółka... Służąca odpowiedziała, że pana niema w domu!

— To nic, to jutro będę u niego! — śmiało partrząc w oczy, odrzekł mu Niekrajewski. Wiedział, że tak być musiało — tak Bohdanowicz umówił się z Tomaszewiczem.

Było już jednak późno. Gdy wyszedł z oddziału doszczętnie znużony, już nie pojechał do Tomaszewicza, lecz tylko zadzwonił.

— Zebranie świetnie udało się... Frekwencja robotników bardzo liczna... — musiał kłamać do telefonu.



— No tak, tak — zaskrzeczał w tubie głos Tomaszewicza. — Ale jakież rezultaty, co? Przekonał ich poseł Bohdanowicz! — chrypnął śmiechem. — Przeszli na stronę komitetu? Pogodzili się z Giedyminem!?

— No nie, co to, to nie! — odrzekł już szczerze Niekrajewski. — Ale, jeśli pan konsul pozwoli, to o tem już jutro. O której mogę stawić się u pana ministra? — wiedział, że Tomaszewicz lubi ten tytuł.

— To w takim razie jutro o piątej, panie kapitanie... Dowidzenia... dowidzenia... — chrypiał telefon.

Nazajutrz Niekrajewski udał się z tą wizytą. Uważał za niemożliwe uczynić to inaczej, niż taksówką, którą też podjechał do domu Tomaszewicza. Tu zaś stanął jak wryty przed drzwiami, obitemi szeregiem pozłacanych blach, głoszących w kilku językach, kim jest mieszkaniec znajdujących się za nimi dyplomatycznych apartamentów.

Otworzył sam konsul honorowy i „minister“ w jednej osobie. Przyjął, jak kogoś nader miłego, bliskiego, ukochanego...

Niekrajewski widział dotychczas Tomaszewicza tylko raz jeden. Wówczas, w oddziale, na zebraniu mężów zaufania. Wtedy wydał mu się groźny — w futrze, w wysokiej czapce... Obecnie był to, ubrany zupełnie po domowemu, w ciepłych pantoflach, — stary, schorowany człowiek. Z wypukłym brzuszkiem, roztrzęsiony, poźółkły, kaszlący...

Rozebrał Niekrajewskiego z płaszcza, wprowadził do gabinetu, usadowił w miękkim fotelu, częstował papierosami...

— Więc tak, panie kapitanie, więc ślicznie! Przekonałiście się wczoraj, że nic nie potrafcie zrobić z robotnikami!! Byli tu już oni dziś u mnie... Wszystko opowiedzieli, wszystko wiem!... Czasem takie

puszczenie krwi bardzo pomaga!! — dawał do zrozumienia, że wie o pobiciu Piskorza. — No, ale też będą teraz pamiętali panowie Giedymina i pan poseł, — podniósł głos — jak się takie rzeczy robi!! — A Giedymina nie było, ani porucznika Sochaczewskiego!? Cha... cha... Zwąchali pismo nosem... Muszę ja o tem pomówić z hrabią Rybińskim. Niech im wreszcie natrze uszu!! — triumfował zwycięski, napół leżąc w obszernym fotelu, zaobszernym na jego małe, chociaż dość pulchne, krótkie ciało.

— A zapraszają mnie do siebie, na konferencje, na uzgodnienia... Niech tu do mnie pofatygują się!!— zdawało mu się, że grzmi surowo swym rozbitym, skrzeszonym głosem. — A o panu, panie kapitanie, ja wszystko wiem!!

Niekrajewski był przekonany, że Tomaszewicz wie od robotników o jego „prawdomównem“ wczorajszym wystąpieniu...

— I wie pan, chciałbym panu dopomóc... Pan niema posady? Prawda! No, widzi pan, ja wszystko wiem!! — powtórzył...—No, no, no,—ogładał Niekrajewskiego, jeszcze bardziej rozkładając się w fotelu — młody, mocno zbudowany, wzrost dobry... Szkoda, że nie jest pan blondynem, natychmiast wysłałbym pana do swego Hondurasu! Tam, dzięki mnie, zrobiłby pan zawrotną karierę!... Ba, ale cóż, honduraski lubią tylko blondynów, a pan jest ciemny, szkoda!!

— Ależ, panie ministrze, — dostał się wreszcie do głosu Niekrajewski — ja wcale nie myślę wyjeżdżać z kraju! Ja chcę pracować w Polsce! Chcę poznać bliżej swą ojczyznę!! — sięgnął po najsilniejszy swój argument.

— A, to co innego! — ucieszył się Tomaszewicz. — To się da łatwiej zrobić... W Polsce jeszcze można mieć różny kolor włosów! — puścił wątpliwy dowcip.

— Ale, że też hrabia Rybiński nigdzie pana nie chce, czy nie może urządzić!? On, taki zamożny człowiek, przy takich stosunkach...

— Ja wcale nie szukam żadnej posady! — odgryzł się Niekrajewski. — Pracuję obecnie w sekretarjacie związku na odcinku robotniczym. To mnie interesuje i to mi wystarcza! Nie chcę rozpraszać się...

Coś się w tem Tomaszewiczowi nie podobało. Coś go w tem zabolalo...

— Jak to, i panu, młodemu, inteligentnemu człowiekowi, to wystarcza!? Myślałem, że to tylko temu Przechwalskiemu... — zasyczał — temu memu byłemu sekretarzowi, może wystarczyć!! No, ale to skończony człowiek, — ubolewał — człowiek bez ambicji i honoru... Pan wie, że przygarnąłem go, jak coś dobrego, zbliżyłem z robotnikami, podtrzymywałem... A on, jak mi się odplaca!? Sieje teraz różne plotki o mnie... — widać było, że mocno odczuł na sobie sprytne nastawienie Przechwalskiego przez Giedymina... — Ale, ale, panie kapitanie, — przerwał sobie — już mam myśl! Będę miał również coś i dla pana! Właśnie w związku z tą, pełną poświęcenia, — podkreślił ironicznie — jego pracą na odcinku robotniczym... Przecież pan nie wie, a to — prawdziwe poświęcenie!! Muszę pana uprzedzić, że najważniejsze w tem — to pośrednictwo pracy. Trzeba codziennie jeździć po fabrykach, biurach, warsztatach... Zabiegać, prosić, k l a n c z y ć o pracę!... Otóż, bardzo mi byłoby na rękę, żeby, uważa pan, zechciał pan podjąć się przytem pewnego ubocznego zadania. O, nie bez prowizji, nie bez wynagrodzenia!! Boże uchwaj... Widzi pan, ja posiadam udział w pewnym biurze technicznym... Wyrabiamy różne kawałki, oto jest prospekt — czytał litanję tych fabrykatów... —



Więc, rozumie pan, połączenie pięknego z pożytecznym! — klepał Niekrajewskiego po kolanie. — Połączenie wyszukiwania pracy dla robotników z akwizycją tych właśnie wyrobów z mego biura technicznego... To się panu dobrze opłaci! W ten sposób opłacą się panu i robotnicy!!... Ach, idealista z pana! — zawołał na uporczywe milczenie Niekrajewskiego. — Cóż robić, rozumiem pana, tacy już jesteśmy... Sam jestem niepoprawnym idealistą!

Niekrajewski pożegnał Tomaszewicza, trzymając ten prospekt w jednej ręce, a w drugiej, na znak przyjaźni — paczkę świetnych, honduraskich papierosów...

Miał tu wkrótce znowu zawitać, ale już z hrabią Rybińskim, jako ostatecznym atutem związku w sprawie załagodzenia rozłamu pomiędzy nim a robotnikami.

Nieudane, ostatnie zebranie w oddziale stało się kulminacyjnym punktem kryzysu rozłamowego. Krew Piskorza i Piskorskiego była pierwszą i ostatnią, która w tej sprawie została przelana...

## M I E C Z D A J A K Ó W.

Zbliżyła się wreszcie chwila zdecydowanego zakończenia rozłamu pomiędzy związkiem macierzystym a oddziałem robotniczym...

Witek przyszedł po Niekrajewskiego. Była przed nimi niebylejaka rzecz. Wstąpić do hrabiego - prezesa, który był właśnie powrócił do Warszawy. A następnie, razem z nim, udać się na walną rozprawę z konsulem Tomaszewiczem.

Miała to być już ostateczna rozprawa, po odmówieniu przez niego stawienia się w sekretarjacie



komitetu, na zaproszenie hrabiego Rybińskiego. Miała ona prowadzić do całkowitego unieszkodliwienia „babki“, a natomiast, wynieść Niekrajewskiego i Witka na czoło mocarstwowego ruchu robotniczego. Dwa liktorskie obuszki — symbol pieczy nad „realną pracą“.

Witek wszedł z rozmachem do pokoju Niekrajewskiego.

— Witam, pana kierownika! — już od drzwi „robił“ dobry humor.

— Cześć, panie sekretarzu! — dworował z niego Niekrajewski.

I dodając sobie nawzajem odwagi, udali się do hrabiego.

Im bardziej jednak zbliżali się do jego „apartamentów“, tem coraz poważniejszy stawał się Witek. Poprostu — bał się!

Cóż dopiero, gdy na schodach, stojąc przed drzwiami, na czerwonym (może aksamitnym!?) dywanie, usłyszeli śpiew.

— To hrabia tak śpiewa — nastawił ucha Niekrajewski.

Witek aż się cofnął.

— To może my poczekamy... Niech pośpiewa... Może nie wolno przerywać! — starał się zatrzymać na schodach, jak najdłużej.

— Ale co jest! — z przesadną swobodą zawołał Niekrajewski.—Albo robota, do cholery, albo śpiew!! — zadzwonił.

Otworzył lokaj, którego ukazanie się znacznie zrównoważyło wyzywający nastrój Niekrajewskiego. Gdy weszli, za nic nie chciał zdjąć swej jesionki i namówił do tegoż Witka. Tak też zostali w przedpokoju, gdy lokaj meldował ich hrabiemu. Niczem jakichś „potrzebujących“!

Hrabia wypadł do nich ze szpadą i ostatnią nutą arji toreadora. Jak dwa byczki stanęli przed nim Niekrajewski i Witek.

— A, to panowie! — zawołał uprzejmie. — To już na nas czas!? Chodźmy więc, chodźmy... Czy pan już tam był kiedy? — zwrócił się do Niekrajewskiego.

— Owszem, byłem. Lecz pan Witek jeszcze nie był. Jeśli pan pozwoli, niech idzie z nami. Będzie więcej świadków tej rozmowy! — podkreślił.

— A, dobrze, dobrze — odrzekł hrabia. — Rozmówiny się! — przeciął powietrze szerokim świśnięciem szpady...

Do Tomaszewicza udali się pieszo. Było niedaleko. I już za chwilę dzwonił do drzwi, obwieszonych różnorodnymi napisami.

Tomaszewicz, zajęty właśnie honduraskimi sprawami, nieodrazu ich przyjął. Pokręcili się więc przez chwilę w saloniku, gdzie jeszcze raz, jakby dla zabicia czasu, przepowtórzono plan zamachu na honorowego konsula.

— Więc jak my to zrobimy? — spiskującym tonem zaczął Niekrajewski, przysuwając się wraz z Witkiem ku hrabiemu.

Z hrabiego jeszcze nie ulotnił się toreador:

— A no, postaram się go przekonać, że dla dobra wspólnej sprawy, sam powinien zrzec się stanowiska prezesa oddziału!

— A jeśli on nie da się przekonać? — podjudzał Niekrajewski. — Przecież po nim wszystkiego się można spodziewać.

— To nastraszę go konsekwencjami! — wyzywająco uśmiechał się Rybiński. — Powiem, że zerwie z nim cały nasz obóz!!

Niekrajewski udał, że te pogróżki, uważa za całkowicie wystarczające.

— Proszę tylko jak najmocniej podkreślić, że pan Witek jest nowym sekretarzem. Fachowa siła, organizator... — prosił dodatkowo, gdy do saloniku już wbiegał Tomaszewicz.

Zachrypiał, zasyczał zduszonym, astmatycznym głosem, — od pogu:

— A, moje uszanowanie panu prezesowi! Przepraszam, że hrabia musiał czekać. Musiałem pozabawiać niecierpiące zwłoki sprawy z moim honduraskim sekretarzem! Jak się pan miewa, panie kapitanie!... A to kto? — nagle ostygł w zapale powitań przed Witkiem.

— To pan Witek, nowy sekretarz oddziału — odrzekł hrabia. — Fachowa siła, pierwszorzędny organizator... — oglądał się za Niekrajewskim, co ma jeszcze powiedzieć.

— A witam, witam! Bardzo mi przyjemnie... — Tomaszewicz powrócił do poprzedniego tonu.

Witek wykonał salonowy ukłon.

— Moje uszanowanie panu ministrowi!! — zawołał na cały głos.

— E, jaki tam minister! — niedbale machnął ręką Tomaszewicz. — Ale co, co!? Jakaż to ważna sprawa sprowadza hrabiego aż do mnie!? — udawał, że nie wie o co im chodzi. — Przepraszam, że nie mogłem przybyć na zaproszenie do sekretarjatu, ale przyziębilem się, w gardle mnie dusi! — chwycił się ręką za zachrypniętą grdykę, stałą przyczynę wszelkich jego politycznych niedyspozycji, wymówek, wykrętów. — Ależ proszę do gabinetu! — nikomu nie dał przyjść do słowa. — Niechże hrabia pozwoli... Proszę panów! — obrócił się plecami do pozostałych.

Weszli do gabinetu i usiedli. Tomaszewicz nie przerywał sobie ani na chwilę. To wymownie zachęcał do palenia papierosów i cygar, to pokazywał jakieś



fotografje, lub tłukł pięściami w nagromadzoną na biurku kupkę aktów hunduraskich.

Powracał znów do gardła, chwycił się za brzuch, za głowę. I po tym wstępie, jakby obliczonym na zabicie z tropu, kompletne otumanienie słuchaczy, zaczął nadobre:

— Tak, tak, panie hrabio, panie prezesie kochany! Jestem już starym, steranym człowiekiem... Czas już odpocząć... Niech inni pracują, młodszy, silniejsi, energiczniejsi! Ale cóż tu zrobić, kiedy ani rusz nie potrafią! Młodzi, zamłodzi, niewyrobieni... Ot i teraz — ta cała heca z Giedyminem! — wykluczał z tego zamętu swoją osobę. — To bardzo zdolny, dobry, miły chłopak... Ale nie wie, że niewolno postponować starszych! To już, zresztą, nie postponowanie, to już, panie, kawał! Wprost gruby ka—wał!! — przeciągnął. — Pan sekretarz generalny poleca mnie, jako prezesowi komisji rewizyjnej przybyć na zebranie komisji. A, jednocześnie, bez mojej wiedzy, rozpisuje listy do poszczególnych członków mojej komisji. Sprowadza ich, panie, do Warszawy, i wtedy dopiero r a c z y łaskawie zawiadomić o tem mnie. Mnie, panie hrabio, prezesa komisji! Człowieka doświadczonego, starszego, na stanowisku, stanowisku d y p l o m a t y c z n e m !! Człowieka, który niejedno już widział. Niejedno przeszedł, przeżył... Tak to się zdaje, panie hrabio — prezesie, a ile to już czasu minęło, jakeśmy założyli podwaliny pod nasze ugrupowanie!? Pamiętam jak dziś, w maju 1926, zebrali się u mnie pierwszy raz wszyscy nasi — wymienił długą, niby z trudnością przypominaną, zmyśloną listę głośnych, co najgłośniejszych arystokratycznych nazwisk. — Pamiętam, siedzimy tak sobie u mnie już ze trzy dni... Trzy doby, jak Pana Boga kocham! — zakrakał zduszonym śmiechem w kierunku sufitu. — Radzimy



nad wytworzoną sytuacją. Zastanawiamy się, czy wydać odezwę, czy też nie wydawać... Przewodniczę ja, że to mnie wśród swoich — przypomniał Rybińskiemu — nazywają polskim Bismarckiem!!... Stawiam, panie, wniosek. Już mają głosować. Rezultaty trzydniowych obrad!... A tu w progu staje hrabia Słomiński, wówczas adjutant marszałka. Podnosi w górę rękę — rozkaz z Belwederu!... Do mnie, panie hrabio, do mnie rozkaz personalny od samego marszałka Piłsudskiego!! Hrabia Słomiński nam go przywiózł, nasz członek, nasz, że tak powiem, przedstawiciel w Belwederze... Jedno, jedyne słowo, a ileż w tem znaczenia, ukrytego głęboko sensu!... R o z e j ś ć s i ę!!!... I co panowie powiedzą!? — zwracał się już do wszystkich trzech. — Ze mną już tak zawsze! Zawsze na czele, na eksponowanym stanowisku!! Zawsze, panie, ta historia chodzi koło człowieka, obnosi się z nim jak z jajkiem!!!!... Pamiętam z moskałami... Na początku wojny światowej wstąpiłem do wojska rosyjskiego... Póty prosili, błagali. Dowódca okręgu, generał-gubernator... Aż wreszcie zgodziłem się — pał was djabli! Nie możecie obejść się beze mnie, dobrze — będę z wami pracował, ale mniej niż pułkownika nie przyjmę!! I, proszę sobie wyobrazić, dali mi zaraz rangę pułkownika!!! A jako technika, naznaczyli dowódcą wszystkich wojsk technicznych na terenie Kongresówki... Panie! — mlasnął ręką hrabiowskie kolano. — Co się wtedy wyrabiało!! Za każdym razem, jak coś się stanie, wszyscy lecą do mnie... Pułkowniku Tomaszewicz radźcie! Pułkowniku Tomaszewicz, wskażcie co należy czynić!! A ja nic, tylko uparłem się — brońcie juchy Warszawy, nie dajcie Polski Niemcom!! Inaczej, mówię, puszcze was w trąbę... Polakiem jestem, wy idźcie sobie choć do diabła, a ja zostanę tu! I co, — nie

sprowadziliż aż z Syberji kilka korpusów strzelców!?!... Lecz potem, nie było rady — odwrót, odwrót... Co do mnie, rzeczywiście, myślałem z początku — rzucę ich do diabła, głupich moskali! Ale jak zaczęliśmy się cofać, to oni znów do mnie, jak w dym... Pułkowniku Tomaszewicz, gołubczyku, nu po- bądzcie z nami choć jeszcze trochę!... Na kawo wy nas pokidajecie!? A woś, powiadają, jeszcze damy Niemcom radę!! Dopomóżcie nam, proszą, w tej biedzie... No i co? Miałem ich opuścić!? Proszę sobie wystawić, zostałem z moskalami!... Z początku odwrotu, niby jeszcze wszystko dobrze — jeszcze jesteśmy w Polsce. Ale widzę, im dalej — tem gorzej, idziemy coraz bardziej na wschód.. E, myślę sobie, jakoś niema nadziei, na to wasze rosyjskie a woś! Niema głupich!! Trzeba teraz pomyśleć o sobie... Ale, że to człowiek z nimi zżył się, jakże ich tak na pastwę losu zostawić!? Trzeba, myślę, coś dla nich wykombinować! I postanowiłem zrobić mały wynalazek...

— O! — zdążył wstawić Niekrajewski. — To pan konsul, jest twórcą tego sławnego...

— Tak jest, panie kapitanie, tego rewolweru- bagnetu-nożyc, który jednocześnie mógł kłóć, ciąć drut kolczasty i strzelać z djabłami! Co tam, panie, karabin maszynowy — furda!... A tu, tymczasem, — przepraszam, że przerwałem, — dążył do zaspokojenia ciekawości słuchaczy — doszliśmy już aż pod Rygę. Więc, myślę sobie, dość już ze mnie dla was! Nawojowałem się z wami, b r a t u s z k a m i!! Teraz zaś, gdy dałem wam wynalazek... Dzięki temu właśnie zatrzymali Niemców, jak Boga kocham!—wybuchnął śmiechem... — Jednem słowem postanowiłem wiać. Tem bardziej, że tu już morze wchodzi na pięty, a z morza, panie, zaraz jakiś desant! My, wojskowi, na

tem się znamy! — mrugnął w stronę Niekrajewskiego. — To ja do samochodu i jazda naprzód. Spotykam po drodze znajomego generała, dowódcę korpusu... Błaga, na klęczkach nieomal błaga, bym nie jechał dalej. Kawalerja, krzyczy, niemiecka! Kawalerja zprawa i zlewa!! Cofać się na miły Bóg!! Dureń, nie wie, że mi w to graj... A tu kule już zaczynają bzykać... Ale mnie niecierwyszyna! Szablę z pochwy, szofera w kark i hurra, hurrra!! Niby naprzód — na nieprzyjaciela... A wokoło seciny kozackie szmygają jak przepiórki. Kule, to mówię panom, samochód nawylot podziurawiły!... A ja stoję w aucie, szabla w dłoni. Jazda, krzyczę do szofera, jazda!! Jak szurniemy od kozaczków, aż się zakurzyło... I proszę sobie wyobrazić, co dalej było... Pędzimy jak szaleni, ja wciąż stoję w aucie i nagle — wzittt, — śmierć! Ale jakaś dziwna!! Szabla w dłoni jest, widzę jak samochód wali drogą, z lasku opodał wyłaniają się niemieccy ułani, a ja stoję w miejscu... Nie stoję — wiszę! I co najważniejsze — nie mogę gęby otworzyć!!... Próbuję rękę, ręka szabłą macha. Próbuję nogami, nogi latają w powietrzu... Co jest u diabła!? A ja, panie, zawisłem na drucie polowym, drucie telefonicznym, zanisko przeciągniętym nad drogą! Na samej szyi trzymałem się, aż zdjął mnie patrol niemiecki... Od tego czasu, mam takie stałe niedyspozycje gardła — brał je obiema rękami. — Tak to, panie, bywało... Pan przecież wie najlepiej, — zwrócił się do Niekrajewskiego — jako były wojskowy...

— Ale że pan konsul z tym wynalazkiem! — Niekrajewski wołał podziwiać tamto.

— A jakże, panie, a jakże! Nie takie się rzeczy robiło!! Szesnaście języków posiadam, a wszystkie expedite!... Co mnie tu, proszę pana, — obrócił się do Rybińskiego — codziennie głowy nazawracają!



Ze wszystkim do mnie łąą... Ja i w izbie przemysłowo-handlowej, ja w bankach, komisjach różnych, ja i w ministerstwach... A wie hrabia, — rzekł konfidencjonalnie — w tych dniach miałem telefon od samego premiera! Tak i tak, powiada, jest źle, będzie jeszcze gorzej! A czy nie zechciałby pan od dziś, od zaraz, objąć teki ministra skarbu!? Nie, panie, mówię, mam ważniejsze sprawy na głowie z moim Hondurasem! A ten się uparł i uparł. A może, powiada, tękę spraw zagranicznych, a może sprawy wewnętrzne!? Pan, mówi, przecież wszystko potrafi!! A ja mu na to — zgoda, premierze, jak już pan, powiadam, wymieni wszystkie resorty, to proszę na końcu nie zapomnieć i o tece premierowskiej. Wezmę wszystko na siebie, albo nic!! Jak Mussolini jaki, wszystkie teki w jednym ręku. Wszystko ta jedna głowa...

Hrabia, coraz bardziej czerwony, jak toreador przyściśnięty przez byka do piasku areny, siedział z zaskrzepłym na ustach uśmiechem podziwu. Po drugiej stronie Tomaszewicza — Niekrajewski, ssący bez przerwy darmowe honduraskie papierosy, i pochłonięty do zapamiętania Witek.

Gdy już ich widział tak urobionych, Tomaszewicz jak najspokojniej powrócił do spraw aktualniejszych.

— No, i jak my teraz z tego wybrniemy? — udając zakłopotanego, pokornym tonem podszeptął pytanie hrabiemu.

Rybiński, całkowicie odurzony, zdobył się jedynie na kilka jęków.

— Jak!? Chcemy panu dopomóc... Przy jego ogromnej pracy... Przy pańskich niezliczonych zajęciach... — ciągnął za połkniętym haczykiem jakiś nieskończony sznurek.

— Otóż właśnie, panie hrabio, otóż właśnie!



Proście mnie, błagajcie, a ja za nic nie mogę już teraz poświęcać się tej pracy tak, jak dotychczas. Jest przecież tylu młodych, zdrowszych, swobodniejszych, bardziej niezależnych materialnie — przytykał hrabiemu. — A mnie już należy się odpoczynek. Na lato wyjeżdżam do swojego Hondurasu — mówił o tem, jak król, lub jakiś udzielny książę. — Przytem, jakże ci robotnicy mnie zamęczają!! Zbierają się tu do mnie, głupcy, wysiadują, gadają i gadają. Skarżą się na wszystko... Na cały związek, na komitet, a zwłaszcza na pana Giedymina!... Poprostu, widzę, że nie możecie dać sobie z nimi radę! A ja, stary technik, ja go, takiego robotnika, odrazu przejrzę nawylot. Ja do nich wyjdę, to to, to owo opowiem, zajmę, zabawię, pouczę... I już zadowoleni, już są uszczęśliwieni! Potem proszą, żeby jeszcze im coś opowiedzieć... Słuchają, jak małe dzieci... A głupiec to bardziej od takiego dziecka! Przyłazą do mnie, czekają godzinami, gdy służąca umyślnie im mówi, że mnie niema w domu... I z czem przychodzą — z plotkami! — oburzał się stopniowo. — Na mnie przynoszą różne plotki, rozsiewane przez sekretarjat związku, przez Przechwalskiego! Jeden przez drugiego gada mi o tem. A ja muszę tego wysłuchiwać, i potem wszystkim umizgać się jeszcze do jaśnie oświeconego Giedymina! — już się wściekał, już przestał żartować... — E, co tam, niech tam! — zmienił się nagle znów w potulnego dobrodzieja. — Ostatni raz wdam się w te sprawy. Pomogę... Wprowadzę kapitana Niekrajewskiego na kierownika, jako przedstawiciela związku, a od siebie — pana, — wskazał na Witka — jako mego człowieka, fachowca, niezbędną siłę... Co, panie hrabio, jak, zgoda? Tak, czy nie!? — filuternie zmrużył oczy.

Wszyscy trzech siedzieli wokół niego z otwartymi

do wydania okrzyku ustami. Skąd Tomaszewicz już o wszystkim był się zgóry dowiedział? Na podstawie czego ułożył swój manewr? Kto mu o tem wszystkim doniósł!?

— Tak, tak będzie najlepiej! — rzekł wreszcie hrabia. — Z tem właśnie przyszliśmy do pana i należy podziwiać...

— O, p a r d o n — zawołał rozpromieniony Tomaszewicz. — To jeszcze nie wszystko! A z Giedyminem, jeszcze nie załatwiliśmy z Giedyminem!! Otóż, umówimy się tak. Giedymin wystosuje do mnie list z przeproszeniem. Albo wie pan co, niech najlepiej sam do mnie przyjdzie. Pogadamy, oświecę go, przekonam... Panie hrabio, ja lubię tego chłopca! Tylko że to młodzik, młodzik...

Już trochę otrzeźwiony Rybiński, powrócił do sprawy z robotnikami:

— Więc jakże my się umówimy, co do tego wprowadzenia obu panów!?

— Bardzo prosto, trzeba będzie tylko zwołać mężów zaufania na jakiś określony dzień, o ustalonej godzinie... Niech przyjdą tam panowie, ale każdy z osobna, jakby się wcale nie znali. A ja przyjadę z panem i odrazu puścimy to wszystko w ruch!

Hrabia już nic więcej nie miał do powiedzenia. Stał i kiwał się, zgadzając się na wszystko. I nagle puścił dłoń w pożegnalny ruch. Uczepił się gestykulującej ręki Tomaszewicza i z serdecznością zęgnął „polskiego Bismarcka“.

Niekrajewski i Witek służbowo poderwali się ze swych foteli. Hrabia już szedł obok nich ku drzwiom, wciąż trzymając niepuszczającą mu ręki dłoń Tomaszewicza.

Przechodząc obok małej niszy, za szafą, nagle zawołał z podziwem:

— Boże, co tu pan ma broni!!

Ręce się rozłączyły. Obie dłonie Tomaszewicza spoczęły na gardach dwu szabel. Lecz zanim szable się skrzyżowały ponad ich głowami, hrabia już wy dostał z niszy stary, zakurzony, zardzewiały, długi, zakrzywiony miecz.

— A co to pan ma takiego!?

— A to jest miecz dajaków! — zawołał konsul.  
— Jedyne egzemplarz w Polsce, a może nawet w Europie!! Ja, panie, podczas jednej z mych egzotycznych podróży, dawno już, przed wojną, odkryłem nikomu nieznanie plemię. Obrali mnie tam królem. Ale rzuciłem ich, zatęskniłem za krajem... Stąd ten miecz królewski, miecz dajaków, tak jak u nas „Szczerbiec“!!

Hrabia, Niekrajewski i Witek byli już za drzwiami. W milczeniu szybko schodzili po schodach, kręcąc głowami z podziwu nad bystrością i wszechstronnością Tomaszewicza. I dopiero na ulicy, na ostrem, mroźnem powietrzu, Rybiński odezwał się:

— A co to naprawdę znaczy ten miecz dajaków?

— To taki miecz dzikusów! — nie mógł sobie dokładnie przypomnieć Niekrajewski. — Widziałem to kiedyś na zdjęciu w „Illustration“. Stoi taki jeden magik, a przed nim trzech innych i on pociąga macha nad nimi tym długim, krzywym mieczem...

— To coś tak, jak Tomaszewicz nad nami! — uśmiechnął się hrabia i zanucił z arji toreadora — „Teraz mi dajcie go!“...

Witek szarpnął Niekrajewskiego za rękaw. Pożegnali Rybińskiego i odeszli czempredzej.



## POJEDNANIE.

Fo wielokrotnem zapowiadaniu i odwoływaniu, — to z winy wciąż ociągającego się konsula Tomaszewicza, to hrabiego Rybińskiego, niemogącego, widocznie, wywołać w sobie znów bojowego nastroju toreadora, — umówione zebranie mężów zaufania doszło wreszcie do skutku.

Tomaszewicz, jak oznajmił w ostatniej chwili, poświęcał „całe życie“, opuszczając łóżko wbrew zakazowi lekarzy. Hrabiego, który poprostu uciekł z Warszawy, miał zastąpić poseł Bohdanowicz.

Tego dnia Niekrajewski nie opuszczał posła ani na krok. Już od rana nachodził go w Sejmie. Potem — w mieszkaniu. Wreszcie, wieczorem, warował przy nim w sekretarjacie komitetu głównego.

Bohdanowicz — dumny, że w tak ważnej chwili hrabia Rybiński porucił mu występować w zastępstwie prezesa związku, — cały ten dzień biedził się nad wyszukaniem pewnej formułki. Takiej, któraby w jak najwłaściwszy sposób zapewniała nadal funkcjonowanie oddziału robotników mocarstwowych.

To też, ułożył sobie następujący, dość skomplikowany deseń.

Całość pracy na odcinku robotniczym, komitet główny, niezależnie od osoby sekretarza generalnego związku, powierza jego, Bohdanowicza, pieczy. Kierownik oddziału, kapitan Niekrajewski, w porozumieniu z sekretarzem generalnym, a za wiedzą Bohdanowicza, sprawuje w oddziale rządu „silnej ręki“. Nowy sekretarz, Witek, rzekomy „człowiek“ konsula Tomaszewicza, jako płatny funkcjonarjusz, jest siłą wykonawczą wszelkich powziętych zgóry zarządzeń,



a jedynie dla oka „przeprowadzanych“ przez zarząd robotniczy. Komendant Korwin, wraz ze swoimi pomocnikami, oraz szczególnie oddanymi sprawie p. w. kilkoma robotnikami, pełni funkcję przedewszystkiem „pogotowia“ — na wypadek oporu pozostałych członków zarządu oddziału...

Nowy zarząd, który miał składać się z robotników, wskazanych przez Niekrajewskiego, przeznaczony więc był w tem wszystkim do jakiejś dziesięciorzędnej roli! Lecz — najważniejsze, Tomaszewicz miał zachować nadal godność prezesa, pod warunkiem, że do niczego nie będzie się wtrącał!!

Cały, tak śmiało pomyślany plan, był właściwie wynikiem kompromisu dwu stron: Giedymina i Sochaczewskiego z jednej, posła Bohdanowicza i Niekrajewskiego z drugiej.

Niekrajewski chętnie popierał wysuwane przez Bohdanowicza postulaty, pragnąc chociaż częściowo zrównoważyć zbyt radykalne metody pierwszych. Stąd to rozszerzenie kompetencyj posła na oddział robotniczy. Stąd nawet utrzymanie się Tomaszewicza przy nominalnem prezesostwie.

Na jedno zgadzali się bezwzględnie wszyscy — na zamaskowany udział w pracy na odcinku robotniczym „ratowniczej“ drużyny Korwina...

Debaty nad tem trwały w sekretarjacie związku tak długo, że Niekrajewski, który miał wygłosić do robotników powitalną mowę, wciąż z dnia na dzień, aż do ostatniej chwili, musiał odkładać przygotowanie tych kilku słów. Prostu, nie wiedział do ostatniej chwili, w jakim „sosie“ poda to robotnikom. Jak w kilku zdaniach ująć potrafi wyniki tych wszystkich przemian. I jak powinien przemycić wśród nich swój własny do tego stosunek!?

Gdy przybyli z posłem Bohdanowiczem, szczupła

izba sekretarjatu oddziału była już szczelnie wypełniona. Prócz robotników, cały jeden kąć zajmowali „przysposobieńcy“ Korwina.

Pomiędzy robotnikami, jak w swoim żywiole, szastał się Witek. Z niedającym się ukryć wylaniem, ale też — zachowując odpowiedni do dzielącej ich umówionej „nieznajomości“ dystans, — witał się z Niekrajewskim, gdy ich nawzajem przedstawił Bohdanowicz.

Z dużem opóźnieniem, lecz zato w asyście zbrojnego Korwina i kilku najsilniejszych „komendantów“ zjawił się wreszcie Tomaszewicz.

Jak zwykle witał się ze wszystkimi, znanymi mu i nieznanymi, często nigdy niewidzianymi robotnikami. Skrzeczał swym zdartym głosem, rozdawał na wszystkie strony papierosy, rzucał wszędzie szybkie, nieuchwytnie, badające spojrzenia.

Zasiadło wreszcie prezydjum, złożone z posła, konsula i Korwina. Sekretarzował Witek.

— A, pan Witek! — świetnie w stosunku do niego odegrał swą rolę Tomaszewicz. — Jak się miewamy!? No, do roboty, do roboty, braciszku! — zasaadzał go przy stole, częstował papierosem. — Mój najwierniejszy współpracownik od najdawniejszych lat... Otwarta głowa! — toczył małemi oczkami po wszystkich zebranych.

Niekrajewski stanął samotnie, poza prezydjum i kołem robotników.

Po chwili Witek zawołał:

— Wszystko gotowe, panie ministrze! — uklonił się w kierunku konsula.

— A, to dobrze — zacharczał Tomaszewicz. — Możemy zaczynać? — zwrócił się ku Bohdanowiczowi. Poseł skinął głową.

— Proszę panów, — podniósł głos Tomaszewicz.

— Bracia kochani, robotnicy i bezrobotni, członkowie oddziału robotniczego związku wielkiej Polski mocarstwowej! Za zezwoleniem obecnego tu pana posła Bohdanowicza, reprezentującego pana prezesa, hrabiego Rybińskiego, otwieram zebranie mężów zaufania! Kto nie mąż—proszę wyjść!! — wrzasnął nagle.

Wśród robotników nastąpiło zamieszanie. Ogdawna zatracono tu wyraźny „przydział“ do kategorii mężów zaufania.

Kuksańcami, wzrokiem, urywanym, głośnym szepciem napróżno starali się wydzielić z pośród siebie zwyczajnych członków oddziału.

Lecz Bohdanowiczowi wydało się to podejrzane. Jakimś nowym „manewrem“ Tomaszewicza.

Kto wie, może już zgóry to sobie ułożył!? Umówił się z „mężami“, żeby móc nie dopuścić do niczego, coby nie było po jego myśli!? „Położyć“ te ostateczne uściłowania ku pojednaniu!?

— Panie konsulu, — odezwał się pocichu — niech już lepiej wszyscy zostaną. Nada to sprawie większego rezonansu! — bredził o wyobrażanych przez siebie „masach“.

Tomaszewicz już to podchwycił:

— Halt, odwołuję!! Wszyscy zostają z nami, na specjalne życzenie pana posła Bohdanowicza, pełniącego chwilowo obowiązki prezesa związku! Naszej najwyższej władzy!! — przesadnie korzył się przed posłem.

— Moi drodzy, — rozpoczął odnowa, wpatrzony w podwójny napis na transparencie: Niech żyje Dziadek — Marszałek Piłsudski i nasza Babka — Minister Tomaszewicz!!! — Moi kochani, mam tu wam zakomunikować wiele różnych nowości!... Ostatniemi czasy, jak sami widzieliście, zawałona pracą wewnętrzną-państwową

i dyplomatyczną, — biedna, schorowana, nadewszystko miłująca was, wasza rodzona babka — nie dopisywała!... Rzeczywiście, — schwycił się za gardło, zwracając się do Bohdanowicza — już ledwie zipię!... Więc nie bywałem tu u was, — ciągnął — a, gdy niektórzy z was przychodzili do mnie, często nie byłem w stanie ich przyjąć... Otóż, w związku z tem, już oddawna, jak zaczęły dochodzić mnie słuchy, — praca w naszym oddziale robotniczym pozostawiała wiele do życzenia!... Nie to, co za dawnych czasów, — nie mógł uniknąć tej dygresji — gdy, pamiętacie, szast-prast, wszystko szło jak z płatka! Co, nie tak bywało!? — zwracał się kolejno do wysuniętych na czoło swych ulubieńców z zarządu... — A to kto taki!? — zawołał w kierunku poważnego, starszego robotnika, stojącego w pierwszym szeregu, tuż przed stołem przydzielonym.

Nikt mu nie odpowiedział. Robotnicy przerzucali się pytającym wzrokiem i milczeli.

Wtem odezwał się tamten:

— Ja tu pierwszy raz, towarzyszu - prezesie... Jeszcze nie jestem członkiem oddziału!...

— Co!? — wrzasnął Tomaszewicz, podskakując na ławie. — Co pan powiedział!? Towarzyszu!!! Jaki towarzyszu!? Cóż to za hece!? Co za porządki!! Ja ci, bracie, wykurzę ze łba towarzysza, aż ci się w nim rozwidni!! Towarzyszu! towarzyszu!! — przedrzeźniał robotnika w ostatniej pasji. — Idź pan sobie z tem do swoich pepeesów! Idź pan sobie do komunistów!! Co to za porządek!? — rwał się ku robotnikowi, patrząc przenikliwie w stronę Korwina. — Wynoś się pan stąd, pókim dobry! Ja ci dam towarzysza!!

Krzyczał tak, dopóki kilku Korwinowych drabów



nie zdążyło przedostać się ku robotnikowi. Gdy zaś wzięli go z obu stron pod ręce, tamten wykrztusił:

— Panie prezesie! Przepraszam, ja najmocniej przepraszam!! To stare przyzwyczajenie... Kilka-naście lat, panie prezesie, czy panie ministrze, — poprawił się — pracowałem w je ich organizacj:!!

— Tfu, tfu! — pluł z obrzydzeniem Tomaszewicz.

Wtedy poruszyli się i inni. Półgłosem wstawiali się przed konsulem, prosząc o łaskę dla winnego.

— To dureń! Stary dureń!! Niech pan konsul nie uważa na niego! Też wyjechał, cholera — towarzyszu, towarzyszu!! — czynili chóralny pogwar.

Z kąta drużyny Korwina zagrała już prawdziwa orkiestra:

— Niech żyje nasza babka, minister Tomaszewicz. Wypluń to słowo, draniu jeden!! My cię tu w try mi gi nauczymy rozumu, parszywy towarzyszu!!!

Tak rozgorączkowanych uciszał swym astmatycznym głosem Tomaszewicz:

— Ot widzicie, bracia kochani, nigdy tego przedtem wśród nas nie bywało! A wystarczyło, żeby wasza babka przez pewien czas nie mogła być z wami, i już wkradła się parszywa owca, już, panie, towarzyszu!!... Nie, nie, zostawcie go! Niech zostanie tu z nami — posłucha, nauczy się, nabierze na starość rozumu!! No, już dobrze, dobrze — zwrócił się do nieomal płaczącego robotnika. — Darowuję wam na pierwszy raz... Ale, żeby mi się to już nigdy nie powtórzyło! — zawołał groźnie.

Poczem ponownie powrócił do właściwego tematu:

— A więc, moi drodzy, już teraz nie mogę, nie jestem w stanie pracować z wami tak jak dawniej.

Tyie mi spraw ze wszystkich stron zwałają na głowę! Tak się niedobrze teraz czuję... Choroba, starość nie radość!!... Więc nie mogę brać jeszcze i tego kłopotu — z oddziałem robotniczym... Zebrałem was w swoim czasie, zorganizowałem, nauczyłem! Wielu z was zawdzięcza mi swój byt, a już cała organizacja — to, że postawiłem ją na nogi!!... Cóż za to zyskałem!? A ot to, że taki Przechwalski, były nasz sekretarz, robi teraz co może, żeby mnie oszkalować!... Przyhołubiliśmy go, przyjęliśmy do siebie, jak kogo dobrego... Pobierał za parę godzin pracy krwawym potem zdobyte przez was pieniądze, a teraz macie — wyrzekł się i was, i mnie!! I jeszcze szkodzi!... Albo i w samym Komitecie głównym — nie mógł wytrzymać, by i tego nie wyśpiewać — niebardzo liczą się ze mną, ze starym... No, cóż!? Pan Giedymin — młody, zaczyna dopiero... A inteligentny to człowiek, a dzielny! — łagodził, nachylając się ku Bohdanowiczowi. — Więc, jednym słowem, — przeskoczył — uradziliśmy z panem hrabią Rybińskim, który wielokrotnie mnie w tym celu odwiedzał i z panem posłem, — skłonił się przed Bohdanowiczem — żeby temu jakoś zaradzić... Otóż, związek, komitet główny, wydelegował na stanowisko kierownika oddziału obecnego tu, pana kapitana Niekrajewskiego...—Niekrajewski, pod wpływem spojrzeń robotniczych, osunął się bokiem na ścianę. — A ja ze swej strony postawiłem swego najwierniejszego, od niepamiętnych lat, współpracownika, pana sekretarza Witka.

Witek zerwał się i kłaniał wokoło.

— Znam go od dziecka! Do chrztu trzymałem!! Jakże ci to, dziecko, na imię!? — udawał, że usiłuje sobie przypomnieć. Odpowiedź Witka zginęła, słuchmiona rozradowanym, aprobującym śmiechem robotników.

— No, a ja, ja zawsze zostanę z wami. Jako wasz prezes. I niech mi choć cokolwiek będzie nie tak! — groził palcem Niekrajewskiemu i Witkowi. — To się jeszcze stary Tomaszewicz, babka robotnicza, z wami za swych wnucząt policzy!!

Robotnicy rozruszali się do oklasków i okrzyków, lecz wzruszony Tomaszewicz stłumił je podniesieniem ręki:

— A teraz przemówi pan poseł Bohdanowicz! — zapraszał posła gestem dłoni, drażniąc triumfującym uśmiechem.

— Prosimy, prosimy... — na wiele niższą nutę niż poprzednio, rozległ się zbiorowy pomruk.

Po bohaterskiej arji Tomaszewicza, Bohdanowicz zaśpiewał jak drugi, lub trzeci tenor.

— Proszę panów, jako przedstawiciel komitetu głównego, i w zastępstwie nieobecnego w Warszawie hrabiego Rybińskiego, prezes związku wielkiej Polski mocarstwowej, — starał się do znudzenia chociaż tem podnieść tu swe znaczenie — wzywam panów do lojalnej, solidarnej pracy z panem kierownikiem Niekrajewskim i sekretarzem, panem Witkiem!

Robotnicy milczeli.

— Wzywam was do natychmiastowego uformowania nowego zarządu!! — nawoływał Bohdanowicz.

— Zarząd przecież jest... — rozległy się wołania.

— Proszę się uspokoić! — starał się przekrzyczeć je Bohdanowicz. — Tu, proszę panów nie Sejm!! — wyrwało mu się ostrą nutą. — Zarząd będzie wybrany z pośród panów, których wskaże pan kapitan! — forsował przeprowadzenie swej formułki, dekonspirując tem całe „podejście“.

— Ależ zarząd jest w komplecie, panie pośle! — wysforował się Indor. — Tam, c ó ś k o l w i e k , in-

ne władze niezupełnie tego... — myślał o komisji rewizyjnej, sędzi koleżeńskim itd.

— Tak jest! — przywodził zapalczywy Adamczewski.

— Tak jest!! — flegmatycznie ale zdecydowanie wystąpili inni.

— Zawsze jest, ale zawsze ten sam!! — przeciwstawiło się im zaledwie kilka nieśmiałych głosów...

Bohdanowicz już nie mógł tego opanować. Wybił się więc znów ponad inne głos Tomaszewicza.

— Tak jest, panie pośle, niech narazie tak wszystko zostanie, jak jest... A my sobie potem sami już, w ściślejszem gronie, te sprawy rozważujemy — mrugnął ku Bohdanowiczowi.

Bohdanowicz odetchnął.

— W takim razie, proszę, może pan kapitan coś nam powie...—chwycił się tej ostatniej deski ratunku.

Miało to być powitalne przemówienie Niekrajewskiego, do którego szykował się był oddawna, wciąż odkładając — do ostatniej chwili. W tej jednak chwili przejrzał wyraźnie — na nic te zamiary! Nic z tego nie wyjdzie!! Wszystko i tak zostanie podawanemu...

— Panie prezesie—posłe, panie prezesie-konsulu, — stopniował — panowie mężowie zaufania! — łatwo mu szło z wyuczonym wstępem. — Obejmując dziś tak wielce zaszczytną dla mnie funkcję kierownika oddziału, muszę, przede wszystkim, wyrazić podziękowanie panu posłowi Bohdanowiczowi, który jako członek komitetu głównego związku, ma teraz powierzoną wyłączną pieczę nad oddziałem robotniczym! — starał się przemycić również cośnecóż z formułki posła. — Z drugiej strony muszę szczerze podziękować waszemu doświadczonemu prezesowi, panu konsulowi Tomaszewiczowi, za wprowadzenie mnie na ten, tak dla mnie nowy i trudny odcinek pracy... Poza



tem, proszę go, jako w dalszym ciągu naszego prezesa, — Tomaszewicz rzucił ku niemu łagodny uśmiech z pod przymkniętych powiek — by i nadal nie opuszczał mnie i nie odmawiał swej światłej rady i pomocy!! Wreszcie, witam, jako świeżo wyznaczony kierownik, naszego nowego sekretarza, pana Witka, cieszącego się tak wielkiem zaufaniem pana konsula Tomaszewicza, a więc, sądzę, i waszem...

Nie wiedział co im ma powiedzieć dalej, po tem uprzedniem zrezygnowaniu z obiecywanych sobie od dawna wynurzeń... Coś ważnego, solidnego, realnego, — przypomniał sobie Giedymina z jego „realną pracą“.

— A, prawda! — ożywił się spojrzawszy na Korwina. — Oraz wyciągam dłoń ku komendantowi naszej kompanji robotniczej przysposobienia wojskowego, który wnosząc do naszej organizacji pierwiastek militarny, podkreśla tem samem jej dążenie ku służbie państwu... — już sam nie mógł tego znieść dłużej. — A stary zarząd — miotnął z siebie, pod wpływem zachęcających spojrzeń Bohdanowicza — zwołuję na dziś, po zakończeniu obecnego zebrania!

Na tem porządek dzienny został wyczerpany. I z tą chwilą, gdy Niekrajewski umilkł, ku przyzdyjmu rzucili się robotnicy, chcąc jeszcze o czemś rozprawić.

Powstrzymał ich jednak Tomaszewicz.

— Co!? Boga nie macie w sercu!? Ja ledwo żywy, taki jestem chory, a wy tu mnie jeszcze chcecie zatrzymywać!... Chodźmy już, panie pośle, dowidzenia, panie kapitanie, dowidzenia Witek! — wciąż nie mógł przypomnieć sobie imienia swego „chrześniaka“. — Idziemy!! — dał znak głową Korwinowi i swej poprzedniej asyście.

Gdy wyszli, wysypali się z sekretarjatu również

wszyscy robotnicy. Pozostał tam tylko Niekrajewski, Witek i Dziewańszczak, któremu pilno było przekazać „sekretarjat“...

Było gorąco i dymno. Z pokoju Dziewańszczaka niosło jakimś czadem od szalenię nagrzanego piecyka.

Niekrajewski przypomniał sobie, jak Bohdanowicz, żegnając się z nim, pochwalił go:

— Świetnie pan mówił, panie kapitanie! Nie spodziewałem się, tak dyplomatycznie...

Siedział teraz, przeżywając jeszcze raz, ten swój pierwszy sukces, lecz prawie zupełnie pozbawiony audytorjum. Zarząd gdzieś się rozlaźł. Zostali mu tylko Witek i Dziewańszczak, gospodarujący przy biurku.

Nagle zwrócili się ku Niekrajewskiemu:

— Panie kierowniku, a oblać tego wszystkiego to nie należy się, co!? — Dziewańszczak wy dostał z kieszeni pół butelki wódki i maleńkie pudełko sardynek. Chleb przyniósł ze swego pokoju.

— A inni gdzie są? — smutnie potrząsnął głową Niekrajewski. — Przecież zarządziłem na dziś jeszcze zebranie zarządu!

— Zaraz będą, panie kapitanie! — wykrzyknął wesoło Dziewańszczak, pukając w ścianę swego pokoju.

Za chwilę zjawili się przy sekretarskim biurku — Indor, Adamczewski, Jabłoń, Czajkowski, Jaskółka i jeszcze kilku robotników. Cały zarząd!

Wypili zgodnie, wszyscy razem, tę pół butelkę. Posłali po drugą. I tak pili ze sobą na pojednanie, aż przezorny Witek zmiarkował — na dziś wystarczy.

— Panie kierowniku! — zawołał urzędowo. — Ale musimy jeszcze dziś być w komitecie, złożyć sprawozdanie z posiedzenia! — kłamał napoczekaniu.

— A posiedzenie zarządu — zatoczył ręką po zebranych robotnikach — odłożył aż do odwołania!

— A, prawda, prawda,—powtarzał Niekrajewski ścierpniętymi od wódki wargami — musimy już iść!... Dowidzenia panom!! — machnął ręką na wszystko.

Wynieśli się szybko z Witkiem, a po drodze Niekrajewski rozwodził się:

— Swoją drogą nie zazdrozczę panu tego całego interesu. Ja, chwała Bogu, już tu długo nie będę... Jednego mi tylko szkoda! — był podniecony wódką. — Lenki mi szkoda, Lenki! — zaczął marzyć o Bławatkównie. — Taka dziewczyna w sam raz!... Cóż, kiedy ona kocha tego swego Ja—gie—łłę... — zrobiło mu się niewyraźnie.

— To nic, panie kapitanie, — dodawał mu otuchy Witek. — Jak dobrze pójdzie, i Lenka będzie nasza! Będzie pańską, — poprawił się. — Już ja teraz naprawdę wszystkim się zajmę!! — starał się pojednać Niekrajewskiego z wytworzoną sytuacją. — A jak pan myśli, panie kapitanie, kiedy mi wypłacą te moje 200 zł.!? Muszę ja tego dopilnować!!

A potem przypomniał sobie:

— Dlaczego to mnie pan nabujał!? Co do Giedymina... On przecież jest całkiem małym urzędnikiem, chociaż coprawda w Prezydjum rady ministrów! A tutaj, w związku, jak się dowiedziałem, to nic nie pobiera!! Znaczy się, honorowo pracuje... No, dobrze! — westchnął, kręcąc z powątpiewaniem swą podrófenką głową.

## HERBATA I POLITYKA.

Od kilku już dni Niekrajewski żył tylko myślą o zapowiedzianej u hrabiego Rybińskiego „herbatce politycznej“. Obok zachłystującej satysfakcji (czego już na ten temat był nie nagadał swemu leżącemu koledze!), gdzieś w głębi czuł się jednak urażony.

Nic mu o tem sam hrabia nie mówił, tylko, jak zwykle rozrywany Giedymin, bąknął kiedyś odniechcienia:

— Panie kapitanie, ale niech pan nie zapomni, będzie herbatka u pana Rybińskiego!

O „herbatkę“ tę Niekrajewski zapytywał i Bławatkównę, — nic bliższego o niej nie wiedziała. I Sochaczewskiego, — coś zaczął mówić o głupstwach, faramuszkach, pańskich wymysłach!

Dopiero w przeddzień udało mu się mocniej przyłapać Giedymina. A wciąż myśląc o jakimś wielkim, arystokratycznym salonie, z damami, z gromadą osób, z całym światem politycznym, z masą światła, przestrzeni i blasku, — szepnął Giedyminowi swą największą tajemnicę. Że niema w czem tam się pokazać. Niema odpowiedniego stroju. Właściwie niema nic innego, prócz tego co na sobie — starego, wyświeconego garnituru!

Giedymin spojrział smutnie, wywrócił swe piękne oczy i zagruchał:

— Ależ, panie kapitanie, to nic nie szkodzi! Ja też będę w tym swoim — rzucił okiem na prawe i lewe ramię. — Niech inni przychodzą w czem chcą, we frakach, w smokingach! A w czemże ma jeszcze chodzić w Polsce uczciwy człowiek, jak nie w codziennym, jedynym garniturze!?

Podrażniło to trochę Niekrajewskiego (bo cóż to



za nauzki!?), ale jednocześnie uspokoiło. W dodatku zjawił się z pomocą jakiś urwisowski nastrój: a niechże tam inni jak chcą, wciąż myślał o przedstawicielach „wyższego świata“, — a on byle jak, oberwańcem, andruszem, apaszem!!... Pasowało mu to do roli kierownika oddziału robotniczego, jedyne go z pewnością rzecznika świata pracującego w tem wyobrażanem wielkopańskim kole.

Witek, wiedział, nie był proszony. Z tego też powodu, — jednoosobowości przedstawicielstwa robotniczego, — Niekrajewski podsumowywał w myśli to wszystko, co wypadnie mu wygłosić w razie zбочenia ogólnej rozmowy, lub przynajmniej jakiejś doraźnej pogawędki wysokich gości hrabiego, — na padół odcinka robotniczego.

Przytem w miarę, jak się czuł coraz bardziej urażony, tem niezaproszeniem go osobiście przez gospodarza, nabierał coraz większej chęci wywalenia tam — na sali — wszystkiego, co naprawdę wiedział i myślał. O robotnikach, o oddziale, o pośrednictwie pracy, o bezrobociu, o tej biedzie i nędzy, w której się obracał. Sam, najzupełniej sam, skazany na to wszystko, wówczas gdy inni pozostawali w jakże innym, lepszym świecie.

Tak, stopniowo, coraz bardziej źle usposobiony, gdy nadszedł wieczór, na który była wyznaczona „herbatka“, Niekrajewski z mocno bijącym sercem stawiał się punktualnie u hrabiego.

Dziś już nie słyszał śpiewu. Lecz też inaczej przyjął go lokaj, zdejmując z namaszczeniem z jego ramion wyrudziałą jesionkę, by zamknąć ją w szafie z wieszakami.

W szafie tej, którą przez chwilę obserwował z nabożeństwem, dostrzegł był jeszcze kilka „nie-szczególnych“ płaszczy.

Wzbudziło to w nim pewne podejrzenie.

Jakże słusznie, gdyż za chwilę witał się w małym, bocznym saloniku, z samymi swoimi. Korwinem i falangą jego pomocników, całym szeregiem „komentantów“ najrozmaitszych stopni.

A gdy wyszedł do nich sam hrabia i z jednakowo grzecznym uśmiechem witał wszystkich, Niekrajewski wręcz oburzył się.

Cóż dopiero, gdy przeszli do wielkiego salonu, do którego, jednocześnie z nimi, wyłonili się z jakichś dalszych apartamentów — Giedymin, Sochaczewski, poseł Bohdanowicz i jeszcze pewien szczupły, młody blondynek!!

— Więc to tak! — pomyślał. — To tu — ja z tymi komendantami, z tą nic nieznaczącą hałastrą!! A tam, zosobna, sami swoi, cała śmietanka, sztab związku!!!

W dodatku nie było już więcej nikogo. Ci sami, zawsze ci sami ludzie, z którymi już nic nie miał sobie nawzajem do powiedzenia.

Jedyną otuchą okazało się to, że prócz umundurowanego Sochaczewskiego, tylko ich trzech było ubranych jak na codzień — hrabia, Giedymin i on sam, Niekrajewski! Reszta — wszyscy w smokingach, ze sztywnymi gorsami, wysokimi kołnierzykami, „muskami“. I to pod temi nieszczególnymi płaszczami, którym podejrzliwie przyglądał się był przez chwilę w przedpokojowej szafie!

Goście zachowywali się niezbyt swobodnie. Jedynie Sochaczewski nic sobie z tego wszystkiego nie robił, zajęty jakimś okazałym rękopisem. Prócz niego, tylko ten szczupły, młody blondynek, jak się okazało — poseł na Sejm, również czuł się jak u siebie. Mówili sobie z hrabią p e r ty.

Gdy wreszcie wszyscy usiedli, po długich ku temu

nakłanianiami giętkim ramieniem poczynającego sobie rubaszenie hrabiego, Niekrajewski mimowoli znalazł się jakby w centrum utworzonego koła.

Przed sobą miał hrabiego z przyjacielem i posła Bohdanowicza. Na lewo, pod jakimś portretem rodowym — zadumanego Giedymina. Ztyłu — zaczytanego Sochaczewskiego. Na prawo — ściśniętych w zwartą grupę — Korwina i jego podkomendnych.

Papierosów było wbród. Tu i tam, na małych stolikach, leżały nagromadzone zapobiegliwą ręką, całymi stosami. Pal ile chcesz! A wszystko w co najprzedniejszych gatunkach!!

Wkrótce więc obszerny salon hrabiego był zadymiony, jak palarnia.

Gdy się tak usadowili i rozgościli, ujrzał nagle Niekrajewski swe stopy wysunięte na dywan, na środek koła. Stopy w starych, mocno schodzonych, zdeptanych żółtych półbutach na gumach.

Wydały się mu tak tu obce, że poprostu bał się do nich przyznać. Ruszyć je z miejsca. Ukryć gdzieś pod sobą, pod fotelem, pod tym kosztownym dywanem!

Wówczas hrabia dał znak. Nie wiedzieć poci? Może wejść jakieś panie!? Może zagra orkiestra!?

Nogi Niekrajewskiego zamarły na środku dywanu, jak obcięte. Oddzielone od reszty ciała, które grzęzło w miękkim fotelu i wdzięczyło się towarzysko, przyjmując wręcz niedbałe, niewymuszone pozy.

Skrzypnęły, zaszeleściły drzwi, uchyliła się kurtara i do salonu wjechały olbrzymie tace z przylepionymi, przykutymi do nich rękami wyfraczonych lokajów. Na tacach była herbata i fury małych „kanapeczek“, jakichś smakowitych, najróżnorodniejszych ździebek.

W miarę bezszelestnego posuwania się eleganc-



kich lokajów, stopy Niekrajewskiego same jęły spełzać z dywanu, kurczyć, kryć się w cieniu fotela. Tak, że gdy z obu stron podpłynęły do niego tace, już był pod fotelem do kolan. A zapadając się coraz bardziej, ledwo mógł uchwycić się rękami — filiżanki i jednej „kanapki“. Jak tonący.

Gdy lokaje oddalili się, już był spożył co wziął z tacy, i ku wielkiemu swemu przerażeniu usłyszał głos hrabiego:

— Janie! Cóż to Jan nie uważa!?! Pan jeszcze nic nie wziął do herbaty.

Z miną winowajcy, ściągnął na swój talerzyk przy pomocy Jana kilka ździebek. Miał ochotę uściśnąć mu dłoń. Ale jakby to wyglądało!?

Tymczasem delikatnie, z jakąś rozwiemożnioną tu, nawet wśród wszystkich korwinowców, dystynkcją — spijano herbatę, jak ślinę połykano te niedostrzegalne ździebka — kanapki.

Niekrajewski, widząc, że wszyscy zabierają się do rozmowy, zwrócił się do najbliższej siedzącego Sochaczewskiego.

— No i cóż, panie poruczniku, jakże się tam pisze!?! — starał się wpaść odrazu na to, co tamtego najbardziej, zdawało mu się, interesowało.

W odpowiedzi, sumiennie posilający się Sochaczewski wsunął mu cały zwój rękopisu, zachęcając do przeczytania natychmiast najciekawszego, według niego, ustępu.

Był to niewiele mówiący wzorek „stylu“. Stylizacji na wizualną modłę. Pozwalający zapełniać całe strony biegnąciami ku czytelnikowi, jak z ekranu, — słowami, napisami, wykrzyknikami... Prostemi, ukośnemi, małemi, coraz zwiększającemi się, ogromnemi...

— Jak się to panu podoba!?! — z zadowoleniem pytał Sochaczewski. — Całą książkę chcę napisać



w ten sposób! Trafia to panu do przekonania!?

Zanim Niekrajewski zdążył mu odpowiedzieć, złów rozległ się głos hrabiego.

— Proszę panów, — powstał ze swego miejsca i zrobił kilka kroków tam i zpowrotem. — Nie umiem mówić! Ale właśnie prosimy tu pana posła, — zwrócił się do zawczasu uśmiechniętych binokli Bohdanowicza — by zechciał wygłosić nam swój referat!

Binokle jeszcze bardziej zabłysły uśmiechem. Głowa posła skłoniła się przed hrabią, a potem dalej wokoło.

— Proszę panów, — zaczął. — Panie prezesie, — poprawił się — panowie! Mam zamiar powiedzieć panom to, co już oddawna zostało omówione i nawet przesądzone przez wyższych, znacznie wyższych od nas!! — spojrzał w górę ponad głowę Rybińskiego.

Z powodu sztywnego, ciasnego i wysokiego kołnierzyka, najłatwiej było mu mówić, trzymając głowę wprost przed sobą. Przytem musiał stale patrzeć na siedzącego naprzeciwko Niekrajewskiego, co temu sprawiało prawdziwą przyjemność.

— Przynajmniej wie poseł do kogo należy mówić — myślał sobie, zapominając o doznanych tu przed chwilą przykrościach. — Przecież nie będzie się zwracać do tych tam, wysmokingowanych pretorjanów Korwina!!

— Proszę panów, — ciągnął dalej poseł, nie zwracając uwagi na przelotne, złośliwe spojrzenia Giedymina i Sochaczewskiego — już od najdawniejszych czasów ludzkość zajmuje się problemem ustroju państwa...

„Ludzkość“ zbita w ciasną gromadkę „smokingowców“ jeszcze bardziej zwarła się w sobie wokół Korwina. Ale z jakimi minami!

— Oto jest to, pociśmy tu przyszli! — mówiły

one, a sztywne gorsy wypięły się jak wzdęte żagle. — Naprzód herbatka, jak się należy, frygnać trochę! A potem, uwaga — polityka!!

Bohdanowicz biedził się nad chronicznymi, odwiecznymi troskami ludzkości o utrzymanie z pośród różnych rodzajów ustrojów — tylko ustroju monarchistycznego. Tylko tego jednego — najprostszego, najzdrowszego, najnaturalniejszego systemu, w którym, według niego, leżała przeszłość i przyszłość rządzenia... Była, w jego wywodach, ta monarchja, wiecznie powracająca do życia — jakimś ustawicznie jedynym wyjściem z sytuacji, w jaką niebaczenie pogrążały się od czasu do czasu różne narody... Zwalczając ją, obalając i znów powracając do niej... W perspektywie dziejów przedstawiała się, jak uparta zabawka, *W a ń k a - w s t a ń k a*, bita po głębie, potrącana, przewracana, a przeto wciąż powracająca do swej zasadniczej, pionowej pozycji...

Niekrajewskiemu, pod wpływem tych rozważań powstał nad odwiecznym prawem upadku i wznoszenia się monarchji, przyszła do głowy nawet myśl o Chrystusie. Niedarmo — królu żydowskiemu. Nie na próżno — wieńczonemu cierniowem wieńcem — wcielaniem *k r ó l e s t w a* bożego!!

Bohdanowicz był jednak daleki od tej odkupicielskiej roli monarchji. Historyczne swe wywody prowadził ostatecznie do jedynego, żywego, wojującego celu.

— W Polsce może, musi być monarchja!!... I, proszę panów, — kończył — jakby kto z was nie był daleki od tej idei, — uśmiechnął się z politowaniem — zczasem musi przyjść do przekonania, że w tem nasz jedyny ratunek!! Tu zaś, muszę zwrócić się do podstaw ideologicznych naszego związku jagiellonidów. Cele nasze są jasne i wyraźne — ma-

my za zadanie wprowadzić w Polsce ustrój monarchistyczny! Ale jak to zrobić!? Kto w Polsce może zostać królem!? Komu uwieńczymy czoło koroną mocarstwowej Polski, spadkobierczyni Polski Jagiellońców!? — dręczył słuchaczy postawieniem „personalnego zagadnienia“. — Otóż, proszę panów, — sam ich z tego wyzwalał — w Polsce może być królem jeden tylko człowiek... marszałek Józef Piłsudski!

— Nie zechce! Ja wiem!! — odezwał się głośno nieproszony Sochaczewski.

Poseł skinął potakująco i niestrudzenie ciągnął dalej:

— Otóż, mogą tu zachodzić tylko dwa wypadki — albo zrobimy go królem, albo nie, — albo on zechce, albo nie zechce!

— Tak jest! — głośnym szeptem wypuściły powietrze gorsy-żagle świty Korwina.

— Proszę panów, proszę panów — łagodził poseł kiwaniem rąk i głowy, oraz błyskiem natchnionych binokli. — Wiemy, że on nie zechce, wiemy, że nie włożymy mu koronę na głowę! Ale to nie zmienia zasadniczej postawy naszego związku. A od czegoż mamy pana Romualda Jagiełłę!? — dźgnął w nich nagle. — Od niego zaczniemy nową dynastję neo-Jagiellońską! Od protoplastów, aż do tego ostatniego potomka, to jedna prosta linja!! — brzmiał jego głos, jak prorocze objawienie. — Skończyłem — zwrócił się z ulgą do Rybińskiego.

Młody przyjaciel hrabiego podniósł w górę dwa palce.

— Ma głos poseł żwirski — oznajmił hrabia.

— Przepraszam bardzo! — oburzył się Sochaczewski. — Już oddawna prosiłem o głos!! Podnosiłem rękę... W związku z referatem posła Bohdanowicza!



— A, to ja ustępuję... Proszę, panie poruczniku!  
— wyprężył się, siedząc „na baczność“ młodociany poseł.

— Panie pośle, — zwrócił się Sochaczewski do Bohdanowicza, po przerzuceniu się wzrokiem z Giedyminem — jestem zmuszony sprostować jedno z pańskich założeń historycznych. Grecy, starożytni grecy, nigdy nie stawiali monarchji tak wysoko, jak to nam pan przedstawił! Przeciwnie, wiemy, że jedyna na świecie tragedia grecka dała nam, jakże symboliczny obraz bezwładności monarchji, w postaci ślepego króla Edypa!! — potrząsał nad głową zwiniętym w rulon rękopisem.

— Zgoda, panie poruczniku, — machał na niego ręką „złapany“ Bohdanowicz — jeśli pan pozwoli, podyskutujemy o tem później! — dał mu do zrozumienia niemożliwość odchylania się, wobec niewtajemniczonych, od swej przewodniej myśli o monarchizmie w dziejach ludzkości.

— Ty więc masz głos! — przewodniczył hrabia, zachęcając posła Żwirskiego.

— Proszę panów, — stanął przed nimi malutki Żwirski. — Pragnąłbym wyjaśnić pewne możliwości, istniejące dla nas w danej sytuacji wewnętrznej! — szybko ustawił pięty przy sobie pod bystrem okiem Sochaczewskiego. — Sytuację tę, proszę panów, charakteryzuje dobitnie to jedno — jesteśmy żołnierzami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej!! — wyprężył się po wojskowemu, wysuwając naprzód swą szczupłą pierś.

— Czem on był w wojsku!? — zainteresował się pocichu Niekrajewski.

— Niczem! — Sochaczewski wykonał gest politowania. — Nigdy w wojsku nie służył! To gó...arz!!

— Prawda, panie poruczniku!? — rozdzieliło ich nagle zadzierzyste pytanie przemawiającego.



Sochaczewski niedbale skinął dłonią.

— A więc, należy według mnie wybrać tylko jedną drogę — perorował Żwirski. — Jedyłą, zresztą, wogóle możliwą dla nas drogę! Oprzeć się na tem, co jest u nas wszystkim — siłą, decyzją, wykonaniem. Oprzeć się na wojsku, jak na trzonie, wokół którego wszystko się skupiło. I tak trwać, trwać, jak twarda masa żołnierska, posłuszna jedynemu rozkazowi... I wtedy, siłą rzeczy, samo przez się, stanie się to do czego dążymy... Marszałka Piłsudskiego wojsko obierze królem... Tylko wojsko może sobie na to pozwolić... Prawda, panie poruczniku!? — znów odwołał się do Sochaczewskiego, jedyne go tu oficera w mundurze. — A co się tyczy dynastji, to też może być mowa tylko o dynastji wojskowej... Po marszałku Piłsudskim jeden generał, po tym jeszcze inny, i tak dalej... Wszystko oparte tylko na wojsku! Niech żyje armja!! — wykrzyknął niespodzianie jakimś kcgucim głósikiem. Zapiał samotne solo, burząc sobie, nie wiedzieć poco, włosy na głowie.

— Niech żyje! Niech żyje!! Niech żyje!!! — buchnęło po chwili z Korwina i jego otoczenia.

Sochaczewski wstał jak wszyscy i kłaniał się, przyjmując ten hołd w imieniu wojska.

Od tej chwili już nikt nie siadał zpowrotem. Przelamywali dotychczasowy porządek i brali siebie w jakieś niedźwiedze uściski radosnego, oburęcznego porozumienia.

Jedynie poseł Bohdanowicz, zatroskany o losy dynastji Jagiellonów, stanął nauboczku przy Niekrajewskim i smutnie przecierał binokle, jak stwardniałe, płaskie, przejrzyste lzy.

Prócz niego, również Giedymin stał smutny pod portretem rodowym ze skrzyżowanemi na piersiach

rękami, "puszczając" jedno z najczarowniejszych swych spojrzeń „słodkiego“ amanta filmowego.

Wtem zabrał głos hrabia, spacerując po wolnym skrawku dywanu.

— Proszę panów — przywoływał wszystkich do zwrócenia uwagi. — Nasze dzisiejsze zebranie, które przyniosło tak nieoczekiwane, doniosłe rezultaty, — uważam za skończone. Bardzo panom dziękuję! — uśmiechnął się uprzejmie. — I zapraszam na następne, które postaramy się urządzać jak najczęściej! — szukał wzrokiem generalnego sekretarza Giedymina.

Lecz zamiast niego Korwin wysunął przed hrabiego jednego ze swych pomocników.

— Panie prezesie! — zawołał. — On za nas wszystkich chce! On za nas wszystkich wypowie się!!

— Proszę, bardzo proszę! — odwołał hrabia ruchem ręki zdążających już ku drzwiom do przedpokoju.

— Panowie! — ryknął wysunięty na czoło "komendant", uczepiwszy się obiema rękami za poręcz fotelika. — Zabieram głos nie tylko we własnym imieniu i nie tylko od grupy dowódców naszego przysposobienia wojskowego, lecz również w imieniu korporacji *M a r e n o s t r u m*, której mam zaszczyt być prezesem! — rozpiął smoking, ukazując pod nim opasującą gors wstęgę. — Panie hrabio, panowie posłowie, koledzy! — wciąż ryczał w zapamiętaniu. — Stwierdzam jako prezes korporacji akademickiej *M a r e n o s t r u m*, że wszyscy, jak jeden mąż, będziemy się stawiali na herbatkę do pana hrabiego! Może pan hrabia na nas polegać!! Zapewniam pana, jako prezes! Tak samo jak pan, panie prezesie! — Na herbatę stawimy się jak mur! Jak mur piersi polskich, który wyrasta nad naszym wybrzeżem!! — płynął już ku przedpokojowi, popychany przez Korwina i kolegów.

Niekrajewski wyszedł ostatni. Ostatni, trzymając w ręku część rękopisu Sochaczewskiego, wciąż otwartą na wskazanem mu miejscu, przyciskał się do lokaja piastującego jego wyrudziałą jesionkę.

Hrabia położył mu rękę na ramieniu.

— Dlaczego pan nie zabierał głosu, panie kapitanie!? Jestem bardzo ciekaw pańskiego zdania!

Niekrajewski przystanął zażenowany. Z obu stron podparli go Sochaczewski i Korwin. Gdzieś, pomiędzy głowami, błysnęły binokle Bohdanowicza. Zboku Giedymina wywracał oczy nad uprzejmością hrabiego.

— Nie mogę zabierać głosu w tej sprawie — odrzekł wstydliwie. — Nie mam na to moralnego prawa! W roku 1917, przypadkowo, brałem udział w Grecji, w desancie aljanckim, mającym na celu detronizację króla Konstantego. Więc jakby to wyglądało!?

— Aha! To tego którego ugryzła małpa!? — dopytywał się hrabia. — Nie, nie, to z pewnością jego ojca! — zaprzeczał sam sobie, imponując znawstwem stosunków panujących domów.

Do domu wracał Niekrajewski, prowadzony pod obie ręce przez posła Bohdanowicza i porucznika Sochaczewskiego, który w sporze o stosunku starożytnych Greków do ustroju monarchistycznego, wybrali go sobie na arbitra. Sam przecież przyznał się, że podczas wojny był w Grecji!

Więcej już nigdy nie zapraszano Niekrajewskiego na "herbatki polityczne". Co więcej, jak słusznie domyślał się, hrabia, w obawie przed najściem członków korporacji akademickiej *Mare nostrum*, zaniechał tego sposobu agitacji na rzecz dziedzicznej monarchji, mającej się odrodzić w mocarstwowej Polsce.



## BÓG SIĘ RODZI!

Idąc po ciemnych schodach do lokalu oddziału, hrabia Rybiński rozkrwawił sobie dłoń. Krew pańska, ku zdumieniu Niekrajewskiego, zrobiła na robotnikach bardzo silne wrażenie.

Byli oni zgromadzeni w dość znacznej ilości, z powodu „choinki“ urządzonej kosztem komitetu głównego.

Pomimo tego stanu wojny, w jakim znajdował się on w ciągu ostatniego czasu z oddziałem, o choinkę tę robotnicy zabiegali oddawna. Przesyłali pocichu delegacje, wystosowywali nawet pretensje na piśmie!...

A wobec jeszcze nieobjęcia przez Niekrajewskiego, przed pojednaniem, kierownictwa oddziału, — nabycia choinki oraz niezbędnych ozdób i poczęstunku podjął się załatwić Korwin. Przytem, chętnie rozgłaszał, że czyni to jedynie, jako komendant robotniczej kompanji przysposobienia wojskowego. I że tylko dzięki jego wstawiennictwu, — udało się uzyskać na ten cel subsydjum z kasy związku!!

Niekrajewski był zły na siebie. Kilka godzin oczekiwania na przybycie hrabiego spędził przeważnie przed furtką, w podwórzu. Gdzie chciał jak należy, spotkać i powitać Rybińskiego.

Chwilami tylko, gdy z zimna nie mógł już dłużej wytrzymać, wracał na górę, do sekretarjatu. By potem znów marznąć, zdawało się, już napróżno...

W jednej z takich chwil, nieobecności Niekrajewskiego przy furtce, zjawił się właśnie Rybiński. Z nim — Giedymina, dla ostatecznego już zamanifestowania zapanowanej z robotnikami zgody.



Pomimo to, że byli oczekiwani, przybycie ich było tak nagłe, iż gdy Rybiński tknął w dodatku w zebranych tę okrwawioną swą dłoń, robotnicy zupełnie potracili głowy. Zaczęła się wśród nich jakaś biegania, krzątanie się, gwałtowne, gorączkowe poszukiwanie środków opatrunkowych.

Widząc to, Rybiński omotał sobie rękę własną chustką do nosa, i śpiesznie przystąpił do rozpoczęcia uroczystości.

Drzewko, różnobarwnie przybrane przez Witka i Dziewańszczaka, tkwiło na środku sali zbiórek przysposobienia wojskowego, dotykając wierzchołkiem niewysokiego, brudnego sufitu.

Wszyscy zebrani stanęli naokoło stołu, zastawionego, ku zgorszeniu oszczędnego Giedymina, — słodką wódką i ciastkami.

• Pierwszy przemawiał hrabia.

— Proszę panów, — oglądał się za Giedyminem, który pomagał mu w układaniu tego przemówienia. — Nie umiem mówić, ale właśnie zebraliśmy się tu dziś, by, jak wszyscy chrześcijanie-katolicy, — rzekł z naciskiem — mieć tę satysfakcję stwierdzenia, że w chwili, kiedy narodził się Zbawiciel, — jesteśmy jedną rodziną, ożywioną miłością i chęcią współpracy nad przyszłością mocarstwową Polski.

Kilku robotników nieznacznie przeżegnało się.

Teraz, kiedy nareszcie zobaczyli pośród siebie oddawna oczekiwanego hrabiego, każdy z nich uważał za konieczne znaleźć się jak najbliżej stołu. Czyhali przytem na skąpo rozstawione kieliszki, widząc dobrze, że ilość ta nie wystarczy dla wszystkich naraz...

— Miło mi więc jest niezmiernie, — Rybiński nieznacznie przesunął się ku Giedymowi — że możemy sobie teraz powiedzieć, iż to wszystko, co było nie-

porozumieniem, zostało wyjaśnione, załagodzone, załatwione. Zostało poza nami! — wyczerpał na tem wątek myśli.

— Obecnie... obecnie... — zaciął się, przyczem Giedymin szybko pochylił się ku niemu — wypijmy, proszę panów, za pomyślność oddziału robotniczego związku wielkiej Polski mocarstwowej, której... której... — zaplątał się — gdzie jestem prezesem. To znaczy... Chciałem powiedzieć... Wogóle związku... Nie oddziału robotniczego!.. — plątał się coraz bardziej... — No! — zawołał z miną winowajcy. — W imię boże!! — i wprawnie wychylił spory kieliszek.

Wszyscy, dla których starczyło kieliszków, poszli za jego przykładem. Giedymin grymaśnym skurczem skrzywionych ust również dotknął swego kieliszka.

Z robotników przemawiali w odpowiedzi, jakby ku uczczeniu tej podniosłej chwili, kilku najstarszych wiekiem, najprzystojniej ubranych.

Między innymi — Czajkowski. Obecnie, w odświętnym stroju, — prawie jakiś ekonom, z obwisłymi jasnymi wąsami.

Wziął na siebie, jak wszyscy, zresztą, z przemawiających dziś tu robotników — partję liryczną.

— Panie prezesie — hrabio! — zawodził. — Panu hrabiemu wiadoma jest nasza dola — dola robotnicza! I przychodzi do nas pan hrabia z panem księżciem Giedyminem, i tę naszą robotniczą choinkę chcą uczyć, jak się patrzy... A ona stoi, — obrócił się tyłem do stołu, by spojrzeć na drzewko — i tak sobie myśli... Bo ono myśli to nasze drzewko, panie hrabio! — zawołał wśród kilku urwanych, niegłośnych pośmiechów. — A o czemże myśli to drzewko, o czem myśli sobie robotnik polski, panie hrabio!? — ciągnął to, zdawało się, w nieskończoność. — A myślą oni o tem, żeby, jak nam to pan hrabia pięknie powie-

dział — mocarstwowość matki—ojczyzny naszej uko-  
chanej podtrzymać... A cóż to jest, panowie,—zwracał  
się do robotników — ta nasza taka mocarstwowość,  
że ją koniecznie, ale to musowo, podtrzymywać trze-  
ba!? A to jest, panie hrabio, nasza wspólna miłość i ta  
nasza praca do zaparcia w tym naszym związku mo-  
carstwowym, i w tym naszym oddziale robotniczym!!  
I niech, panie hrabio, — rozkrzyżował ręce i pochylił  
się ku przodowi, jakgdyby chciał podjąć Rybińskiego  
„pod nogi“ — jak pan hrabia nam to powiedział —  
nasza z panem hrabią rodzina... — nie dokończył,  
wpadając na inną myśl — na widok obandażowanej  
chustką dłoni Rybińskiego. — Niech więc, panie hra-  
bio, ta krew pańska, co tu ją pan na naszych oczach  
przelał, zleje się z tą naszą krwią robotniczą! — roz-  
plakał się, może na myśl o tak niedawno przelanej tu  
krwi z nosa i ust Piskorza vel Piskorskiego!? —  
I niech, panie hrabio, będzie Polska jednym mo-  
carstwem i dla panów i dla robotników, takich jak  
my, panie hrabio!! — dokończył wśród przerywanych  
swych szlochów.

Rybiński również przypomniał sobie swą okrw-  
wioną dłoń i jął pośpiesznie żegnać się z robotnikami.

— Muszę to w domu zajadynować! — rzekł, jak-  
by tłumacząc się, Niekrajewskiemu.

Jakże trudno było mu to uczynić, wobec wystą-  
pienia wszystkich robotników z kolejnymi prośbami,  
przypominaniem się, zalecaniem! Szczęście, że miał  
przy sobie Giedymina. Książę, jak zwykle, chętnie  
wszystkiego wysłuchał, zapisał, obiecał załatwić...

Po ich wyjściu, mocno podпиты i rozczulony Czaj-  
kowski jeszcze długo nie mógł się uspokoić. Nikt go  
już nie słuchał, nikt na niego nie zwracał uwagi, a on  
wciąż jeszcze uparcie komuś tłumaczył:

— I ja, syn robotniczy i matki - Polki, ja, co mam



też szlacheckie nazwisko, ja — z tym bezrobotnym Derą, który niema ni ojca, ni matki!! — wymyślał nieobecnemu. — Ja — zgodziłem się na to!? I braci moich, robotników mocarstwowych szpiegowałem, by donosić do sekretarjatu panu księciu Giedyminowi, który mi to nakazywał!? A nakazywał mi on nie dla czego innego, jak dla tej miłości, co to pan hrabia mówił, że ze Zbawicielem my wszyscy w jednej rodzinie!! I przy tem drzewku naszym, przy tej choince robotniczej... — zalewał się łzami. — Ja! Robotniczy szlachcic polski! Czajkowski jestem!! — przedstawił się drzewku. — Ja łzy moje wylewam nad mocarstwością naszą, co ją tutaj podtrzymujemy! — kwilił coraz rzewniej...

Bóg się rodził nietylko w sercach lirycznie nastrojonych robotników. Tego wieczora dawał on tajemny znak o sobie również przez najbardziej, zdawało się, zatwardziałych.

To Indor i Adamczewski życzliwie donieśli Niekrajewskiemu, że konsul Tomaszewicz, którego stale, podawnemu nachodzili, — zapowiedział swe bliskie zjawienie się w oddziale. Z kilku panami, którzy, już przedtem zresztą, byli przez niego wciągnięci do „pracy z robotnikami“.

Potwierdził to Niekrajewskiemu i Witek. Witek, który poczęści z polecenia swego kierownika, bezwzględnie nim w tym wypadku wysługującego się, poczęści zaś z własnej ochoty i wyrachowania, — również często odwiedzał konsula.

Wyrachowanie polegało na tem, że gdy w obecności swego magistrackiego naczelnika dzwonił do Tomaszewicza, i rozgłośnie tytułując go ministrem prosił o przyjęcie, — wielokrotnie wzmagał swe szanse do awansu z podreferenta na referenta. Ochotę zaś ku temu miał wielką.



Gdy poza tem, Witek zwierzył się Niekrajewskiemu również z tego, co mu ostatnio powiedziała Bławatkówna, Bóg, zdawało się, — dobry Bóg, już naprawdę przybył na świat!

— Panie kapitanie, — podsuwał to Witek, — panna Lena powiedziała tak: Niech mnie pan kapitan tylko ładnie poprosi, — rzecz była o pójściu do kina — to mu może nie odmówię! — ważył te słowa, które według niego dobitnie świadczyły o wzmożonej względem Niekrajewskiego przychylności Bławatkówny.

Boski pierwiastek dawał się też we znaki, gdy Niekrajewski tegoż jeszcze wieczora znalazł się w sekretarjacie związku. Zastał tu Sochaczewskiego i hrabiego Słomińskiego, zajętych układaniem odezwy świątecznej do akademików - mocarstwowców.

Tekst redagował porucznik, hrabia go korygował.

W pewnej chwili, gdy odezwa była już gotowa, Słomiński, po gruntownem, jeszcze raz jej przestudjowaniu, uwziął się:

— Nie, panie poruczniku! Musi pan to wszystko na nowo przerobić... Nie widzę Boga — za mało Boga pan tu dał!! A przecież bez tego ani rusz, jakże my im to możemy dać do ręki!?

Gdy wkrótce wyszedł, z Bogiem na ustach, Sochaczewski rzekł z oburzeniem:

— To najgłupszy z arystokratów, jakiego tylko znam! Gdzie ja mu tu teraz Pana Boga przyczepię!?! E, niech na pierwszy raz idzie tak, jak jest, — nikt się na tem przecież nie pozna!!

Powracając od spraw boskich do robotniczych, Niekrajewski przekonał się już nazajutrz, że zapowiadane przybycie do oddziału — konsula i kilku panów — nie było gołosłowne. Rzeczywiście, tego dnia,

ku wieczorowi, gdy w sekretarjacie zebrała się większa gromadka robotników, — stawili się i oni.

Lecz dopiero gdy zasiedli, zrozumiał Niekrajewski o co tu chodzi. Przypomniał sobie, jak od dłuższego czasu bezskutecznie rozsyłał z Witkiem zaproszenia na „wybory nowych władz“. Teraz, nagle, odniosło to szybki skutek! Przybyli i panowie i robotnicy...

Ze szczególną wyrazistością wyjaśniło mu to zwłaszcza oświadczenie Tomaszewicza.

— Słyszałem, kapitanie, że wciąż chcecie przeprowadzić nowe wybory!?! Witek mi tak mówił! — zastrzegł się co do źródła. — No, więc jako prezes, postanowiłem wam dopomóc. Zrobimy to raz — dwa!! — cieszył się, że znów wszystko leży w jego ręku, założy w tej chwili tylko od niego.

Już traktował Niekrajewskiego per wy. Niekrajewskiego, którego jakże lekceważył w swej megalomanji „polskiego Bismarcka“!

Tak już bowiem szło tu wszystko, że Niekrajewski dotychczas nie mógł zebrać ani razu — nietylko komitetu mężów zaufania, lecz nawet swego zarządu, ani też żadnej z „władz“ oddziału.

W sekretarjacie zjawiali się codzień — zawsze ci sami: Indor, Adamczewski, Jaskółka i ich kompanja. A na dobitkę, jakby umyślnie wciągana przez nich, — coraz liczniejsza paczka bezrobotnych.

Nic więcej przeto Niekrajewski nie robił — tylko codziennie wieczorem spotykał się tu z nimi i „baraszkował“, jak sam to sobie określał. Chociaż, trudno było zrozumieć, dlaczego tak nazywał to ustawiczne, beznadziejne, z dnia na dzień, z wieczora na wieczór, — gładzenie z robotnikami o jednym i tem samym!?

A chciał przecież wciąż zebrać to wszystko razem, do kupy! Obrócić, przeinaczyć, zacząć z nowymi ludźmi!! Zacząć na nowo!!!

Teraz myśl ta realizowała się, był jednak przytem zupełnie bezwolny.

Za to Witek — „stawiał się“. Żeby teraz, w tym decydującym momencie, wszystko odbyło się z właściwym ceremonjałem. Żeby w niczem nie uchybiało znalnemu mu formalnemu przebiegowi.

— Legitymacje panów!?! — zwrócił się do przybyłych z Tomaszewiczem.

Uśmieli się z tego dobrodusznie. Jeden — inżynier z Warszawy, wspólnik Tomaszewicza z biura technicznego. Drugi — lwowianin, właściciel jakiejś małej fabryczki.

Obaj oddawna należeli do „władz“ oddziału. Inżynier — do zarządu. Lwowianin, doktor praw, — do sądu koleżeńskiego.

— Dajże spokój, Witek! Później to z panami załatwisz! — cieszył się na widok jego energii Tomaszewicz. — Tymczasem przystępujemy do rzeczy! Czy wszyscy zgadzają się!?! — zwracał się do zebranych, omijając Niekrajewskiego.

Wszyscy zgodzili się, a Niekrajewski pochylił się ku Tomaszewiczowi:

— Panie konsulu, — usiłował wejść z nim w porozumienie. — Więc wybierzemy wszystko od początku — nowy zarząd, komisję rewizyjną, sąd koleżeński... — forsował to dawne, wespół z Bohdanowiczem, „nastawienie“.

— Co!?! — oburzył się Tomaszewicz. — Co też kapitan wygaduje! A pocóż to wszystko! Narazie zrobimy sobie tylko dokompletowanie!! — nie chciał nawet słuchać więcej. — No co, Witek, wszystko w porządku? Masz już wszystko gotowe!?! Ach, cóż to za szustry chłopiec!! — podziwiał głośno.

Niespodziewane dla Niekrajewskiego „wybory“

wypadły więc w ten sposób, że tylko zatwierdzały dotychczasowy skład personalny „władz“ oddziału. Z małemi jednak uzupełnieniami.

Charakterystyczne było zwłaszcza — całkowite wyeliminowanie ze składu zarządu — kierownika, jako przedstawiciela związku, i sekretarza — płatnego funkcjonarjusza. Obu, zresztą, nie będących członkami oddziału robotniczego.

Do kompletu „nowoobranych“ władz weszli, gdzie tylko się dało, — na wszelkich zastępców — przede wszystkim ci wszyscy, których Niekrajewski zawsze widział przy boku czołowych zwolenników konsula Tomaszewicza.

Wprowadzeni zaś przez niego „panowie“, ku powszechnemu aplauzowi robotników, zgodzili się zastrzymać nadal swe mandaty.

Była to jednak tylko część pierwsza tego zebrania. Po tak, bowiem, pomyślnem dla siebie jej załatwieniu, Tomaszewicz przystąpił do czegoś nowego.

— A teraz, zwrócimy się wszyscy do pana kierownika, — uśmiechnął się chytrze do Niekrajewskiego — i zapytamy posłusznie, czy to wszystko aprobuje!?

Niekrajewski, jakby dla podkreślenia swej bezradności, odrzekł na to wymijająco.

— Panie prezesie, ależ oczywiście aprobuje! — już się był chwilowo udobruchał. — Ale, na miłość boską! — wykrzesał z siebie iskrę bożą. — Niech się panowie trochę ruszą do intesywniejszej pracy!! Niech trochę częściej złączą przychodzić do oddziału!... Ja tu zawsze widzę tylko tych kilku panów z zarządu, i — codziennie większą paczkę naszych bezrobotnych!!

— Tak jest! Oczywiście!! — wlot podchwycił to Tomaszewicz. — Stawiam nagły wniosek! Pisz, Wi-



tek, — chrypnął raz — drugi. — Pana kapitana Niekrajewskiego, jako kierownika, zapraszamy do zorganizowania i objęcia przewodnictwa sekcji pośrednictwa pracy!! — zrobił ku Niekrajewskiemu oko.

— Ale ja, panie ministrze! — nie wytrzymał dłużej Witek w swej roli funkcjonarjusza. — Ja proszę o zezwolenie na powierzenie mi zorganizowania sekcji kulturalno - oświatowej!!

— Pysnie! — triumfował Tomaszewicz. — Tak się robi robotę! — uśmiechnął się z zadowoleniem do obu „panów“ — inżyniera i prawnika.

W ten sposób wreszcie ostatecznie zorganizowali się...

Pierwsze to, od chwili objęcia przez siebie urzędowania, liczniejsze zebranie wykorzystał jeszcze Witek, by odwołać się do członków oddziału w sprawie oddawna nieuiszczanych składek. Wyprosił więc sobie w tym celu u Tomaszewicza, że powie kilka słów do robotników.

— Proszę panów, — zaczął, jak wszyscy. — Członkowie oddziału robotniczego związku wielkiej Polski mocarstwowej!! — jeszcze świeżemi były dla niego te wyrazy. — Najważniejsze zostało dokonane! Ja, jako doświadczony, rutynowany organizator, mogę to stwierdzić z całą pewnością... Mamy pana prezesa i pana kierownika. Macie tu mnie, jako płatnego — zaznaczył — sekretarza. Są wreszcie — zarząd i wszelkie władze oddziału... Brak nam teraz tylko jednej rzeczy, bez której, jak wiem, jako oddawna pracujący społecznie, — nic dalej nie można zrobić! Pieniądzy nam brak!! — zawołał i spojrzał na Tomaszewicza, jakby się przymawiał o nie do niego.

— Tu są pieniądze! — tknął konsul palcem w Niekrajewskiego. — Tu się zwróćcie, a otrzymacie na pewno!! Ho — ho, wiem ja, wiem, jak się pan ka-

pitan za nami biednymi wstawi, to mu związek zaraz da! — tumanił, odsuwając niemłą myśl, że ktoś mógłby po pieniądze zwrócić się do niego.

Nic Niekrajewskiemu nie pozostawało, jak przyjąć to za dobrą chęć Tomaszewicza — ponownego podkreślenia znaczenia osoby kierownika oddziału.

— Składki, proszę panów, muszą być uregulowane! — nie cofał się tymczasem Witek. — Poza tem, należy jeszcze załatwić ze związkiem szereg spraw, natury, że tak powiem, finansowej...

Nie skończył, gdyż Niekrajewski szarpnął go za rękaw. Nie chciał tu teraz, w obecności Tomaszewicza i tych dwóch panów, tuż po wyborach władz oddziału, podczas pierwszego, od czasu jego kierownictwa, większego zebrania — poruszać tych drażniących, przykrych dla robotników spraw. Myślał, że rozważy je pocichu, bezpośrednio z zainteresowanymi, stopniowo przykręcając śrubę swej władzy — kierownika.

Tymczasem przemówienie Witka wywarło nadzwyczajny skutek. Obecni robotnicy sypnęli się ku niemu, by natychmiast uiścić zaległe składki. Ktoś nawet wyłożył na biurko 5 zł. — spłatę miesięczną za mundur przysposobienia wojskowego.

Gdy już było po wszystkim, — Witek obliczył — zebrał tego wieczora kilkanaście złotych.

Niekrajewski był bardzo podniecony tym pierwszym rezultatem ich pracy. Tak korzystnym dla niego w związku z wzmocnieniem jego stanowiska wobec Giedymina i komitetu głównego. Jakże był wdzięczny Witkowi, za jego inicjatywę! Postanowił nawet ją pogłębić...

Gdy wszyscy rozeszli się — zwolnił i Witka, sam pozostając na posterunku, przy biurku sekretarza.

Do świtu obliczał, podsumowywał, sprawdzał.

Na zarejestrowanych 1.000 członków oddziału, składki płaciło zaledwie kilkunastu. Reszta zalegała od roku i więcej.

Niekrajewski, sumując, dochodził do wprost fantastycznych cyfr!

Czemże wobec nich była finansowa, zebrana pomoc związku!? Te setki, które z „litewskim“ uporem, od czasu do czasu, tak niechętnie wyasygnowywał Giedymin!?

Siedząc nad tem, Niekrajewski zamarzył o zebraniu w oddziale takiego kapitału, któryby pozwolił na całkowite uniezależnienie go od związku. O oduczeniu robotników liczenia na to, że wszystko powinni dać im „panowie“.

Gdyż, widział to jasno ze sprawdzanych rachunków, mieli w rękę poważne oparcie finansowe — swój robotniczy kapitał! Gdybyż tylko zechcieli go zebrać, wpłacając regularnie i sumiennie miesięczne składki!!

Miło mu było, że powracający ze swej nocnej pracy Dziewańszczak, zastał go jeszcze w sekretarjacie.

— Co, pan kapitan całą noc tu przesiedział!? — pytał zdumiony.

— Tak jest, panie Dziewańszczak! — jak przez mgłę uśmiechał się do niego Niekrajewski. — Obliczałem co my, oddział robotniczy, posiadamy! Uwierz pan, że wypadło tak dużo, że mi się w głowie mąci!? Tysiące złotych!! Z samych niewpłaconych składek!

— Co tam, panie kapitanie, — brał to na „chłopski“ rozum Dziewańszczak — to tak ino z pierwszego razu! Przecież tego nikt nigdy nie zapłaci!! Gdzie są oni, ci robotnicy, członkowie oddziału? Oni u nas raz — dwa się zmieniają...

— Nie, panie Dziewańszczak! — wygłosił w natchnieniu Niekrajewski. — Ja się tu teraz już zostanę!! Chwilami, przedtem, myślałem, że odejdę... że nie potrafię pracować jednocześnie i ze związkiem, i z robotnikami! A teraz widzę, trzeba, — muszę dać radę!! Zostanę już z wami nazawsze, zostanę członkiem oddziału!! — uczuł w sobie, na swój sposób, rodzącego się z tej wielkoduszności Boga.

Zczasem zrozumiał, że jest to zupełnie niemożliwe. że na „członkowstwo“ jego w oddziale nigdy nie zgodzi się związek, który delegował go tam przecież— jako swego przedstawiciela. że sam, zresztą, dążył ku temu wszelkimi siłami, by się raz z tego wszystkiego wykręcić, ulotnić — rzekłbyś — bez śladu...

Nigdy jednak nie zapomniał, że ta noc, spędzona przez niego bezsennie w sekretarjacie oddziału robotniczego, ta noc — napełniona marzeniem o samodzielności robotników — była mu największą osłodą tego, co był przeżył przykrego na „odcinku“ robotniczo - arystokratycznym!

Rzekłbyś — miał po niej w ustach posmak Boga...

Wspominając ją, myślał, że podobnego uczucia mógł doznawać w sobie, jedynie ten prawnik ze Lwowa. Właściciel jakiejś małej fabryczki. Dzięki Tomaszewiczowi, — prezes robotniczego sądu koleżeńskiego w oddziale.

Domyślał się, że na swój, nominalny, zresztą, udział w pracy oddziału, zapatrywać się musiał pod tym właśnie kątem widzenia — świętego spokoju, w swej malutkiej lwowskiej fabryczce... Wraz z zabezpieczonym, przynajmniej w ten sposób, codziennym kawałkiem chleba!!...

Przeprowadzone wybory umożliwiły teraz Nie-



krajewskiemu chociaż trochę planowe i bardziej bezpośrednie zetknięcie się z życiem i potrzebami oddziału.

## DZIEŃ POWSZEDNI.

Po świętach Bożego Narodzenia, z chwilą ostatecznego zorganizowania tych nieszczęsnych władz oddziału, po tych powszechnych „boskich wzlotach“, — zaczęły się dni powszednie.

To znaczy, codzienne zjawianie się Niekrajewskiego wieczorem w sekretarjacie oddziału, i to codzienne „baraszkowanie“, którem określał swe długogodzinne wysiadywanie wśród robotników.

Po jedynej swej próbie bezpośredniego zapoznania się z istotnym stanem rzeczy w oddziale, zapomoścą „aktów“ — wertowanych legitymacyj, deklaracyj, spisów, notatek, — i po przekonaniu się, że zdobycie „kapitału robotniczego“ jest istną mrzonką, — Niekrajewski zdał to wszystko w ręce Witka.

Sam zajmował się sprawami „wyższej“, jak myślał, kategorii. W ciągu dnia, który zaczynał sobie około południa, po stałem już teraz, solidnem śniadaniu od zaprzyjaźnionego kelnera, — schodził do dozorca, i tam co mógł — załatwiał telefonicznie. a bezpłatnie.

Naprzód telefon do sekretarjatu komitetu, w którym o tej porze mógł zastać tylko Bławatkównę.

Po dowiedzeniu się od niej, że nic tam dnia ubiegłego nie zaszło, coby mogło go dotyczyć, używał jeszcze przez kilka minut, upajając się głębokim jej altem, ciesząc się na każdy wybuch łatwego śmiechu.

Dzwonił następnie do Tomaszewicza, któremu ogromnie systematycznie przypominał, że tacy — to,

a tacy bezrobotni, którym konsul oddawna był przyrzekł dać pracę, pozwalają sobie w dalszym ciągu polegać na jego obietnicy.

Dalsze telefony były już o wiele trudniejsze.

Od dyrektora Orłowskiego musiał codziennie wysłuchać jednej i tej samej odpowiedzi. Po zawodzie, jaki zrobił mu związek, nie wykorzystując w swoim czasie ofiarowanej dla jednego bezrobotnego pracy,— narazie nie mógł służyć niczem więcej.

Codziennie więc przychodził Niekrajewskiemu na myśl ten hardy Piskorz vel Piskorski. Niewiadomo dlaczego nie poszedł wówczas do fabryki z pozostawioną mu przez niego kartką? Jak nie wiedzieć dlaczego — stawiał się robotnikom, udając przed nimi, że trzyma stronę raczej komitetu głównego związku!?

Zdarzały się w tych dniach Niekrajewskiemu również telefony, sięgające aż do samego źródła pracy dla robotników. Do pewnego dyrektora fabrycznego, znajomego konsula Tomaszewicza. Do pana Niebyło, sympatyka związku mocarstwowego.

Z owym panem Niebyło, pod nagłym wpływem Giedymina, musiał nawet zapoznać się osobiście.

Nie nie pomogło ociąganie się i zwlekanie, Giedymn nastawał:

— Pan Niebyło, panie kapitanie, to nasz sympatyk już od dłuższego czasu. Stale otrzymuję od niego listy z zapewnieniami, że już wkrótce poczuje się na siłach wypełnić naszą deklarację ideową. Niechże go pan odwiedzi i przypomni mu to. A przy tej okazji może ubije pan sprawę umieszczenia tam przynajmniej kilku robotników!

Pan Niebyło zajmował w jednej z niewielkich fabryk warszawskich niewysokie, lecz pełne znaczenia stanowisko — kierownika referatu personalnego. Z tego tytułu, oraz pod wpływem manifestowania

swych sympatyi do związku, od dłuższego czasu już był w posiadaniu całego pliku podań robotników oddziału.

Gdy Niekrajewski zjawił się wreszcie u niego, był tem niemile zaskoczony. Sądził, widocznie, pan Niebyło, że poprzestawanie na wymianie z jego strony zapewnień sympatji dla ruchu mocarstwowego, a z drugiej — podań o pracę, — znakomicie równowazy wzajemny stosunek, zapewniając mu osobiście pewne, na wszelki wypadek, oparcie. W razie jakiegoś poślizgnięcia się...

Tymczasem Niekrajewski przycisnął go dość brutalnie. *Primo* — przypomnieniem o dotychczas niewypełnionej deklaracji. *Secundo* — niemal żądaniem załatwienia pliku tych robotniczych podań.

W ten sposób pan kierownik Niebyło, — po raz pierwszy odczuł na sobie ciężar współpracy o mocarstwość Polski.

W niezwykle delikatnej, lecz niepozobawionej stanowczości formie, „nawiaz widział się jednak być zmuszony“ do odsunięcia momentu załatwienia obu tych spraw. Zapewniał przytem wciąż tylko o jednym — gdyby mógł być przeniesiony tam a tam, o co już oddawna bezskutecznie się starał, — owocność jego pracy na niwie mocarstwowej wzrosłaby niewspółmiernie!

Przez cały czas tej krótkiej wizyty Niekrajewskiego, pan Niebyło — mocno siwiejący, różowy, schludny, pięćdziesięcioletni kawaler — rumienił się tak, że biedny Niekrajewski — o ileż młodszy! — czuł się tem prawdziwie upokorzony.

Siwa głowa pana Niebyło i ten kraśny rumieniec, ni to wstydu, ni to wzruszenia, — pojednały go z tym niezdeklarowanym jeszcze mocarstwowcem.



— Nie zrobię mu świństwa — myślał o sprawozdaniu z tej wizyty. — Niech już tak zostanie, jak jest. Było — ne było! — kalamburował. A zapytywany przez Giedymina, przedstawił wszystko w jak najkorzystniejszym dla pana Niebyło świetle.

Teraz, z tem większem, jak sądził, prawem, mógł do niego dobijać się telefonicznie, o przyjęcie do pracy członków swego oddziału. Coprawda, równie bezskutecznie, jak do dyrektora fabrycznego, którego był mu wskazał Tomaszewicz.

Czasem Niekrajewski dzwonił również do Witka. Zresztą, już tylko dla kawału. Witek, bowiem, wciąż forsując sprawę swego awansu na referenta magistrackiego, gdy odpowiadał przez telefon, umieszczony w pobliżu jego kierownika biurowego, starał się jedynie recytować nazwiska i tytuły. Jak najliczniej, jak najszumniej, jak najkrzykliwiej.

Rozmów telefonicznych z Giedyminem lub Sochaczewskim, Niekrajewski unikał. Pośród swej dziennej pracy biurowej mieli to obaj do siebie, że zasypywali go całym szeregiem poleceń, wskazówek, upomnień i przypomnień. Jakby bez tego nie miał, aż za dużo roboty!?

Z posłem Bohdanowiczem, a czasem nawet z numerem hrabiego Rybińskiego, łączył się tylko wtedy, gdy dzwonił „z miasta“. Z aparatu jakiegoś swego znajomego, byłego kolegi lub przyjaciela. Jakże przyjemnie było huknąć wówczas w tubę: „proszę Sejm“, albo „czy zastałem pana hrabiego!?!...“

Po załatwieniu tych swych codziennych „telefonów“ Niekrajewski znów się udawał do kelnera. Tam, spożywał swój wczesny obiad, najczęściej w asyście starego, doświadczonego dozorca. Zrzadka przychodził również i trzeci przyjaciel — windziarz.

Z 300 złotych otrzymywanych przez Niekrajew-



skiego ze związku, tak wiele szło na uregulowanie różnych dawniejszych rachunków, — mieszkanie, pranie, papierosy, — że stołować się musiał na kredyt. Z miesiąca na miesiąc. A gdzie kredyt był łatwiejszy, bardziej utorowany i poprostu — znośniejszy, niż wśród tych trzech ludzi!?

Zczasem bowiem, w miarę ustalenia się stanu rzeczy i przedłużania jego pracy społecznej, ci trzej — dozorca, kelner i windziarz — stali się dla Niekrajewskiego zawiązką tego, czego nie mógł mu dać oddział robotniczy.

Tu dopiero, wśród tak dobrze znanych mu i życzliwych ludzi, nabierał „społecznego“ znaczenia we własnych oczach. Tu snuł swe myśli i plany, które w oddziale, napróżnoby starał się realizować. Tu, zdawało mu się, oddychał pełną piersią, atmosferą, którą jakby umownie stworzyli pomiędzy sobą. Atmosferą, aż przesadnej, wyjaskrawionej biedy świata pracującego. Proletariatu miejskiego, poprzez ubóstwo którego, przyglądali się wszystkiemu. Umyślnie szarżując, bawiąc się nieszkodliwie w naśladownictwo wyobrażanych, może gdzieś naprawdę istniejących, uświadomionych proletarijuszów.

Niekrajewski nigdy nie zwierzał się im z tego, co był przechodził, przeżywał w związku i w oddziale. Urywkami jedynie wyciągał to, co w danej chwili, dla podsylenia atmosfery, uważał za potrzebne. Nagromadzenie faktów bezrobocia, ubóstwa, nędzy. Podkreślanie ważności swego zadania, jako z początku sekretarza, a później kierownika organizacji robotniczej....

— Może zczasem jeszcze wyżej!?! — marzył już nawet o sekretarjacie generalnym...

Wreszcie — miotanie gromów na głowy wszyst-

kim fabrykantom, przemysłowcom, dyrektorom, arystokratom, panom...

Słuchacze jego z zadowoleniem konstatowali przede wszystkim to utwierdzenie się „przyjaciela“ na wybranej przez niego drodze.

Celował w tem najbardziej windziarz, któremu Niekrajewski był najmniej winien, i którego nie mógł podejrzewać o egoistyczne w tej sprawie wyrachowanie.

Dobrodusznie zaś pokpiwał dozorca, spoglądając na wypełniony po brzegi talerz Niekrajewskiego.

— Co tam dziś dostał pan kapitan!? Ho — ho! Szycelek z jajczkiem, kartofelkami i cebulką. Tak jak się patrzy prezesowi robotniczemu... A może jeszcze piwko pan da!? — zwracał się do kelnera. — Żeby było czem zapić obiadek!

Wszyscy wiedzieli, że żartował, to też Niekrajewski odpowiadał zazwyczaj wypchanemi dopęłniami ustami.

— Już mi pan żałuje!? Już biedny polski proletarjusz nie może nic zjeść, żeby mieć siły do walki o swe prawa!! Przecież pan wie, jak bolszewicy mówią w Rosji — kto nie pracuje, ten niech nie je! — tłumaczył znane hasło.

— No nie, ja nie mówię! — bronił się zaatakowany. — Wiadomo, posilić się należy... Nawet mi dziwno, panie kapitanie! Pan kapitan — oficer, inteligentny człowiek, a tak tu z nami i ze swoimi robotnikami... A popatrzeć na pańskich kolegów — to panowie, czyści, elegancy, dobrzy, nie powiem... Ale do naszego brata — robotnika — ni — ni!... Nie mają tego d u c h u !! — zaznaczał.

— Niechże pan kapitan nam opowie! — przysiadł się bliżej windziarz. — Jak to tam idzie w tej pańskiej organizacji robotniczej. Chciałbym się kiedy

tam zapisać! Nigdy jeszcze nigdzie nie należałem, a widzę — idą takie czasy — musowo trzeba gdzieś należeć...

Niekrajewski wymijająco upewniał go:

— Już ja panu dam znać w odpowiedniej chwili. Narazie — lepiej poczekać! — ostrzegał ogólnikowo przed tem, co widział w oddziale.

I już powracali — najchętniej do swego zasadniczego tematu, podstawy tej wyhodowanej wśród nich atmosfery.

Zagrzewał do tego, zazwyczaj pesymistycznie usposobiony kelner:

— Tworzą panowie organizacje, tworzą i tworzą. Żeby na drobne grupki rozbijać robotnika polskiego... Ciągną na swoją stronę, przekupują, obiecują, jak mogą... A co się zmienia — nic!?

— Tak — szybko się zgadzał Niekrajewski przed ukończeniem obiadu. — Bałamuca, kręcą... A proszę mi powiedzieć, gdzie jest on teraz — prawdziwie uświadomiony proletarjusz polski!? Wszystko gdzieś poukrywane, że i dopytać się nie można! No, już, jak my się kiedyś do tego weźmiemy! Pokaże się wtedy wszystko najaw!! — myślał głośno, nie wiedzieć o jakich „my“, operował nieokreślonym czasem, w którym ta władza zostanie opanowana.

— Tak jest, po prawdzie, — poważniał w takich chwilach zazwyczaj filuterny dozorca — sam jestem robotnikiem. Mało to ja się napracowałem dawnymi czasy po fabrykach!? A nigdy tego nie było — co teraz! Nawet za ruskiego!! Rosjan bił, ale przynajmniej chleb był... Jak to się mówi: Wówczas śpiewać nie było wolno, ale było co jeść, a teraz wolno śpiewać, ale...

— Bieda, okropna bieda, — ciężko wzdychał windziarz, mający żonę i troje dzieci.

— I nikt na to nie chce spojrzeć właściwem okiem! — ubierał to w swą szatę Niekrajewski. — Panowie! — wołał. — Ale zato, jak o tem piszą w Rosji. Proletarjaccy pisarze!! — miał łzy w oczach z powodu zbyt szybkiego przełknięcia sporego kawałka sznycła.

— Nijakiego zapewnienia na starość! — biadał dozorca. — Sam kilkadziesiąt lat harowałem, a teraz haruj tu na stare lata, bez końca... — pokazywał opuchnięte, owinięte w coś ciepłego, nabrzmiałe nogi.

— A ja, proszę pana, — wystawiał swoje Niekrajewski — po kilkunastu latach służby wojskowej, mam z tego choć grosz!? Nic!

— Aj, aj — jęczał potulnie windziarz. — Bieda, okropna bieda!

Z miną człowieka, jakże wyższego ponad to wszystko, słuchał tych biadań niezależny materialnie, małowówny kelner. Ongiś, za młodocianych lat, — bojowiec. Błada. sucha twarz. Ściśnięte, zawzięte usta.

Niekrajewski wiedział, jak i gdzie ma uderzyć, żeby go rozruszać:

— A ci wszyscy, proszę panów, za którymi wyście kiedyś szli!? Gdzie oni są teraz — gdy wy w biedzie, głodzie i chłodzie!? Na stanowiskach, na rządowych posadach!! Mieszkają jak królowie, samochodami robiją się!!!

— A co jedzą, panie kapitanie! — już się poruszył kelner. — Jakby ich tak zaprosić, toby dopiero kręcili nosami, wymyślali, odżegnywali się. A kiedyś, za przeproszeniem, jak to nie było się niczem, to się żarło byle co, aby tylko to brzuch napchać!!

— Lecz przyjdzie, przyjdzie dzień zapłaty... — Niekrajewski prowokował z kolei starego dozorcę.



— W ó w c z a s s ę d z i a m i b ę d z i e m  
m y ! — huczał jak z beczki grubym, głuchym gło-  
sem. — Na 1-go maja, panie kapitanie, wyjdziemy  
ze sztandarem czerwonym. Spytamy się wtedy  
i jednych i drugich, czego się oni trzymają!?... Ko-  
muniści my są tu, pospołu z panem kapitanem!! —  
wybuchał po chwili. — Już takie jest nasze pokolenie,  
że mu sądzone wszystkiego doczekać... A burżujom  
naszym to już nie sądzone doczekać lepszych dla nich  
czasów! — wyrokował.

Tę niewinną komedję zakańczył Niekrajewski ja-  
kimś dłuższym wywodem. Z reguły — na temat snu-  
jącego się w jego głowie obrazu nowego, lepszego  
świata i systemu.

— Bo, widzicie panowie, to już tak jest, że  
w przyszłym ustroju będą zniesione wszystkie klasy.  
Nie będzie więcej panów, ani nie będzie chłopów!  
Wszystko, psiakrew, element pracujący!... Z fabry-  
kami, wiadomo, zrobi się tak jak potrzeba — spółkę  
robotniczą. Wielką spółkę przemysłową tych wszyst-  
kich, którzy w tem pracują... A z majątkami jak?  
Tak samo! Majątek to też fabryka... Też spółka tych,  
którzy składają tam swoją pracę... Tylko jeden głów-  
ny warunek! Do każdej spółki każdy wkłada, co mo-  
że: Ty — głowę, ty — nogi, a tamten wszystkiego  
potrochu, ale co do brzucha — to już równość! Każ-  
dy, znaczy się, ma równe prawo, nie!?

Potem objedzony, opity, zmęczony „pracą“ tele-  
foniczną i temi „programowemi“ rozmowami, szedł  
do siebie, i już aż do wieczora wylegiwał się na swem  
łożu. Naprzemian — śpiąc, drzemiąc, marząc na  
jawie:

— Skończyć już raz z tem wszystkim. Wysupłać  
się z tego związku arystokratyczno - robotniczego.  
Raz zacząć iść do celu prostą drogą!

Celem tym, zdawało mu się, był teraz nawskroś przesiąknięty. Widział mu się w założeniu, w istnieniu takiej samodzielnej organizacji robotniczej, któraby sama, do wszystkiego szła własnymi drogami...

Ku wieczorowi zaś, tą samą codzienną swą drogą musiał odbywać wędrówkę do sekretarjatu, i potem — do oddziału.

W komitecie, cprawda, starał się bywać jak najrzadziej. Bywając zaś, zatrzymywać się jak najkrócej. By uniknąć ze strony Giedymina i Sochaczewskiego — tego samego co przez telefon — czczego, jak czuł, gadania o „realnej pracy“.

Przychodził do sekretarjatu związku możliwie najwcześniej. Tak, by zastać tylko samą Bławatkównę.

Czasem jednak już tam byli, już się kręcili ci akademicy - mocarstwowcy. Szwargotali pomiędzy sobą, kłócili się, nie zwracając uwagi na niego, k i e r o w n i k a oddziału robotniczego.

Zdawało się Niekrajewskiemu, że przez Giedymina, lub też przez wyczuloną młodzieńczą intuicję, przenikli już byli w tajemnicę tego oddziału. W jego własną tajemnicę — niemożliwości wyprowadzenia na czystą wodę interesów oddziału, opanowanego przez stary zarząd.

Zarząd, który w obecnym składzie w niczem nie zmieniał sytuacji. A Niekrajewski wciąż zwał wszystko co mógł, a raczej czego nie mógł zrobić. — na ten nieodpowiedni, opierający mu się, wrogi zespół.

Zniecierpliwiło to kiedyś Sochaczewskiego.

— Panie kapitanie, — rzekł złośliwie — pan, któremu i ten drugi z kolei zarząd nie odpowiada. Pan, który trzyma się tylko tego jednego — ustawicznej walki z własnym zarządem, przypomina mi pewną anekdotę, którą parafrazując, można tu tak zastoso-

wać... Po upływie jakich kilkadziesiąt lat będziemy widzieli na czele oddziału robotniczego — pana, jako kierownika i wciąż ten sam, chociaż kilkadziesiąt razy zmieniany zarząd. Wszyscy już siwi, brodaci, zgrzybiali starcy... A wciąż zajmują się tem jednym — wzajemnem zwalczaniem się, które polega raczej na wyczekiwaniu, aż śmierć zabierze przeciwnika!

— Tak jest, panie kapitanie — podtrzymał go Giedymin — należy pomimo wszystko iść tylko drogą pracy pozytywnej! Słyszałem już od pana o wynikach obliczenia zaległych składek. Ale prócz składek, mamy na głowie jeszcze inne historie finansowe oddziału. Niechże pan, przynajmniej, chociaż to rewindykuje!

Czyż mógł Niekrajewski mówić z nimi o swoim!? O tem — co z Witkiem w ich umowie społecznej? O tem — co z dozorcą, kelnerem, windziarzem — w atmosferze zaprzyjaźnionej negacji!? O swej negacji, jakże mozolnie wykaraskanej z pośród gmatwiny uczuć i myśli, — jak pęcherz rybi dającej żyć, oddychać, „współpracować“!?

W odpowiedzi Sochaczewskiemu i Giedyminowi — wyjeżdżał tedy z koniecznością znaczniejszego wkładu finansowego w organizację i oświatowo - kulturalne potrzeby oddziału. Podniecał aż do stopnia wrzenia katastrofalny stan bezrobocia. Kreśląc obok tego, na pocieszenie, jakieś promienistsze linje — szprychy w tem kole bez wyjścia... że zaciążył już nad tą, powierzoną mu „masą“ robotniczą, swym „moralnym ciężarem gatunkowym“. Swą właśnie pozornie bezideową, niemającą nic wspólnego z ideologją jagiellonidów, bezinteresownością... Tak moralną, jak materialną... W co w tej chwili sam święcie wierzył!...

Po dokładnem obejrzeniu, ze wszystkich stron,

zawsze mu miłej i pożądanej Bławatkówny, zabierał się w dalszą drogę. Przytem krygował się przed tą swą „flamą“ z jakimś nieporadnym komizmem.

Zdawało mu się wówczas, że powinien przypominać Charlie Chaplin'a, z jego upiornym niedołęstwem, z jakim „tańczy nad przepaścią arcyłudzkiego dobra i zła, wielkości i śmieszności“...

Do oddziału przychodził z takim wyrachowaniem, by już zastać tam Witka i przed nim — porozkładane, świeżo zaprowadzone księgi oddziałowe.

Była to owa „mądrość społeczna“ Witka. Wynik jego doświadczenia — rutynowanego społecznika, — organizatora — ożenionego z podreferentem magistrackim.

W książki te wpakował to wszystko, co zdołał wydostać od robotników za zaległe i bieżące składki. Przez Niekrajewskiego, oraz dzięki prawdziwie machiawelskiemu wykorzystaniu Bławatkówny, — wystarał się o kilkudziesięciozłotowe subsydjum od Giedymina. I teraz pysznił się za biurkiem, na którym, już na wstępie swej wieczorowej pracy, rozkładał w wzorowym porządku: Jakąś bajeczną, uniwersalną „amerykańską“ księgę, kilka zwyczajnych, bloki podręczne, zeszyty i zeszyciki, kwitarjusze i całą masę świeżonabytych przyborów, pieczętek, flaszeczek, piór i ołówków.

Robotnicy nie poznali się na tem. Chociaż kto wie, — może ukrycie, na swój sposób, podziwiali w Witku niebylejakiego majstra tego kancelaryjnego rzemiosła!?

W tak odnowionej atmosferze sekretarjatu, Niekrajewski dbał tylko o jedno. Żeby mieć swoje miejsce przy znów tu zainstalowanym żelaznym piecyku, odebrany od Dziewańszczaka.

Dziewańszczak wciąż jeszcze mieszkał w pokoiku,



gdzie kiedyś za czasów Przechwalskiego zbierał się zarząd.

Było to dla Niekrajewskiego jeszcze jednym utrapieniem pośród tych spraw, które, z polecenia „pozytywnego“ Giedymina, miał tu radykalnie uporządkować.

W pierwszym rządzie — składki. Te niedoszące tysiące „kapitału robotniczego“, o co nie mógł nawet nikogo obwiniać, sam, bowiem, w swym „boskim“ zapale był odkrył tę żyłą złota. Tyle tylko, że przekazał to Witkowi, który też w codziennem użeraniu się z robotnikami zawsze cośniecoś ściągał do kasy.

Drugą, już zdawało się, — odwieczną bolączką kierownika mocarstwowego oddziału robotniczego, była sprawa mundurów kompanji przysposobienia wojskowego. Dotychczas bowiem została zapłacona tylko jedna pięciozłotowa rata. Uływały tygodnie i miesiące, a nikt więcej nic nie przynosił.

Mundury, zrzucane w swoim czasie przez robotników na kupę w sekretarjacie, zostały potem znów rozdane. A że z nawrotem ku częstym, jak dawniej, ćwiczeniom nikt się z nich nie śpieszył, — członkowie przysposobienia wojskowego, nosili mundury zamiast zwykłego swojego przyodziewku...

Dalsze pozycje były bardziej indywidualne.

Tak naprzykład należało załatwić sprawę z Jaskółką, który był wykonał oddawna w siedzibie oddziału, te przegródki z cienkich desek, które oddziały — sekretarjat, pokój Dziewańszczaka i komendę kompanji przysposobienia wojskowego. Sprawa ta była o tyle delikatna, że przy tej okazji, komitet główny, w osobie Giedymina, oskarżał wykonawcę przegródek o podrobienie szeregu kwitów, świadczących o rozmiarach poniesionych przez niego wydatków.

Pracę tę w swoim czasie powierzono Jaskółce, jako bezrobotnemu. Tymczasem, wskutek braku porozumienia co do wysokości jej kosztów, wszystko było narazie pokryte przez niego. Tak przynajmniej utrzymywał.

Niemniej palącą była kwestja usunięcia Dziewańszczaka z tego małego pokoiku, do którego był się wprowadził w chwili największego napięcia kryzysu rozłamowego.

Załatwienie jej polegało dla Niekrajewskiego na ustawicznym stawianiu intruzowi nieprzekraczalnych terminów wyprowadzenia się. Które, wiedział zgóry, nigdy nie będą dotrzymane.

Gdy zaś pod wpływem upartego Giedymina, spróbował pewnego razu postawić to ostrzej, robotnicy zażądali. ni mniej, ni więcej, — tylko wynajęcia dla Dziewańszczaka przez związek — innego mieszkania. Ewentualnie kupienia na stałe — nie robiło im to różnicy!

To wszystko, nie mówiąc o tysiącnych drobniaczkach, porachunkach osobistych, rozrachunkach finansowych. Łącznie z bezkutecznem poszukiwaniem zaginionego od czasu wyborów jednego rewolweru...

Lecz najważniejsze było bezrobocie. Ci niezliczeni poprostu bezrobotni, których każdy, z bardziej za-domowionych w oddziale, uważał za swój obowiązek — sprowadzać. Wprowadzać, niezwłocznie, jako członków organizacji, i już z punktu, bez żadnych obsłonek, stawiać jeden, jedyny warunek—natychmiastowe dostarczenie pracy!

Niekrajewski przyjmował ich wszystkich. Miał już tak dużo bezrobotnych, których spisy rozsyłał gdzie się tylko dało, — że nie był w stanie odmówić nikomu z tych nowych, dotychczas przez niego tu nieznanym, nigdy niespotykanych.

A przecież przychodzili i tacy, którzy już mieli pracę, lecz chcieli znaleźć coś lepszego, bardziej odpowiedniego, trwałego, pewnego, zapewniającego możliwość dalszego awansowania...

Po przyjsciu do oddziału, Niekrajewski zasiadał przy swym piecyku. Udzielał chwilę uwagi kancelaryjnym popisom Witka. Zawiadamiał oczekujących bezrobotnych, że nic im dziś jeszcze nie przynosi. I trwał przy piecu, w poczuciu dobrze spełnionego za te swoje 300 zł. — obowiązku.

Z równowagi tej wytrącało go jedynie, spowodowane przez niego samego, po wyborach władz, energiczne zajęcie się starych prowodyrów z zarządu — dalszym rozwojem organizacji.

Było to zawsze oparte na jakichś chaotycznych wieściach, otrzymywanych przez nich nie wiedzieć jaką drogą, — alarmująco sygnalizujących przygotowanie wszystkiego do zorganizowania szeregu lokalnych oddziałów robotniczych.

Wybijała się na pierwsze miejsce Łódź — oczko w głowie samego wiceprezesa Indora.

Ze swej strony związek dorzucał do tego — Poznań, gdzie już od dłuższego czasu istniał samodzielny oddział robotniczy.

Prowodyrzy najchętniej wynajdywali jak najodleglejsze, jak najbardziej zapadłe dziury. Stamtąd mieli, czarno na białem, pewne wiadomości od swych przyjaciół, kolegów, krewnych, znajomych, dawnych członków oddziału lub sympatyków warszawskich, bawiących poza stolicą.

Niekrajewski, któremu i tu, od czasu do czasu, świtwały pomysły czegoś wszechogarniającego, rad był dołączyć do tego, na wszelki wypadek — Sosnowiec, Sochaczew... Miał tam bowiem znajomych. Czyż wypadało pozostać mu w tyle, jemu — kierownikowi!?

„Wrzała“ więc dzięki temu praca organizacyjna w „terenie“. Rozpisywano listy, udzielano wskazówek i instrukcyj. Rozsyłano statuty i deklaracje, nakazywano ściśle ściąganie składek. Czyniono nawet szereg nominacyj na lokalnych dygnitarzy robotniczych. Zaocznie — na świadectwo jednego z inicjatorów — korespondentów!

W Warszawie, natomiast, praca organizacyjna postępowała tępo. Istniał, co prawda, projekt pewnej decentralizacji oddziału na szereg kół dzielnicowych, co miało zapewnić zwiększenie ruchliwości organizacji. Lecz było to jednocześnie objawem czegoś innego.

Wybory, mianowicie, „nowych władz“ dokonane tak, aby zasilić te władze jeszcze bardziej, niż dotychczas zwolennikami Tomaszewicza, — najwyraźniej nie zadowolili robotników. Było, bowiem, znacznie więcej tych zwolenników, pragnących władzy, — niżli stanowisk w zarządzie, komisjach, sądzie i t. d.

Na tem więc tle, narazie bardzo nieuchwytnie, poczęła zarysować się pewna linja demarkacyjna, dzieląca robotników - mocarstwowców, znajdujących się w Warszawie. Na tych, którzy zgadzali się biernie na reprezentowanie ich przez członków władz, i tych, którzy sami radziby władze te reprezentować.

Linja ta biegła wzdłuż Wisły. Po prawej jej stronie pracował Indor i gros jego adherentów. Po lewej Adamczewski i Jabłoń, chociaż członkowie zarządu, lecz — pod coraz wyraźniejszym wpływem lewobrzeżnych przeciwników Indora.

Tak więc, zamierzana w planach organizacyjnych, decentralizacja na terenie Warszawy — mogła doprowadzić do tem szybszego rozdziału obozu robotniczego na dwie części. Stąd też, bez żadnej, zresztą, trud-



ności w opieszałym systemie działania związku i oddziału, — była hamowana, odkładana, coraz dalej odsuwana...

Niekrajewski tyle tylko wykorzystał uboczne jej objawy, że z zadowoleniem odczuł był na sobie pewne odprężenie tego nacisku, jaki dotychczas wszyscy popołu na niego wywierali. Domyślał się, iż nacisk ten został rozłożony obecnie również na tych wszystkich, którzy w życiu oddziału zaznaczyli, chociaż w minimalnym stopniu, żywszy swój udział.

Postaremu jednak nie zbierał się zarząd. Podawnemu nie można było zgromadzić komitetu mężów zaufania.

Dla zarządu nigdy nie dało się zebrać odpowiedniego quorum. Mężowie zaufania, rozdzieleni tą demarkacyjną linią Wisły — nigdy nie potrafili stać się naraz w odpowiedniej ilości. Paczka książeczek drużynowych wciąż leżała nierozdana...

W tych warunkach codziennej swej pracy obracał się teraz Niekrajewski.

Syntetyzował to sobie tak:

— Przez cały dzień myślę o swych robotnikach, pracuję dla nich, latam po mieście, telefonuję, szukam dla nich pracy... A wieczorem siadam przy piecu, palę papierosy, słucham, jak oni mi wymyślają! Każdy za swoje — co się zmieści...

Tak oceniał swoje „baraszkowanie“. Tak „robił“ w swych własnych oczach ulubionego Charlie Chaplin'a.

Ku późnemu wieczorowi zapędzał Witka do końca z tą jego robotą biurową, i wynosili się razem. Witek zawsze przy pieniądzach — swoich i oddziałowych.

Najbardziej lubili — kupić wódkę i jeszcze zastać „coś gorącego“ u Niekrajewskiego kelnera.

Kazali to sobie przynosić do pokoju, gdzie, jak zwykle leżał w łóżku „kolega“, i tam pijąc wódkę z białych, masywnych kieliszków do jajek, obżerali się kotletami wieprzowemi z kiszoną kapustą.

Przytem prowadzili długie, nocne, dla leżącego zupełnie niezrozumiałe, swe „polityczne“ dialogi.

Naśladowując litewski akcent Giedymina, to rozmawiali ze sobą jak arystokraci, to znów, na wspomnienie „c ó ś k o l w i e k“ Indora — wpadali w gwarę robotniczą.

Nic z tego, co czynili w związku i w oddziale, nie ostało się przed ich „krytycznym ustosunkowaniem“. A już najbardziej to, do czego, w żaden sposób nie mogli nikogo w związku przekonać, — że muszą mieć jakiś mocny fundusz dyspozycyjny, bo bez tego ani rusz.

Już oddawna Witek, doświadczony społecznik i rutynowany organizator, przekonał był pod tym względem Niekrajewskiego. Ale tylko, niestety, jego. Nie potrzebował też, po prawdzie, zanadto się nad tem wysilać!!

Jedynym człowiekiem, którego uważali, należy trochę podziwiać wśród innych „panów“ był konsul Tomaszewicz. Przebiegły, szczwany, „mądra głowa“, wszystkich zawsze wyprowadzający w pole — konsul honorowy Hondurasu. Jakieś uosobienie uprawiania sztuki „pracy społecznej“...

Około północy odpoczywali, wpołużąc na łóżku Niekrajewskiego. Nie było przecież na czem usiąść.

Niekrajewski, rozmarzony zahaczaniem rozmowy również o Bławatkównę, którą mu chętnie przypominał usłużny Witek, słuchał fałszywie nuconej przez tego ostatniego starej rewolucyjnej pieśni — *N a s z s z t a n d a r p ł y n i e p o n a d t r o n y ...*

Gdy Witek wychodził, zasypiał z temi słowy w głowie i w sercu, by nazajutrz rozpocząć odnowa swój dzień powszedni.

## KLUB SZARADZISTÓW.

Pewnego dnia Bławatkówna tak zachęcała Niekrajewskiego i Witka do stawienia się w lokalu klubowym jagiellonidów:

— Niech pan tam koniecznie przyjdzie, panie kapitanie! Zobacz pan, jakie to ciekawe... Ja tam zawsze jestem! — dodała z zachęcającem, łobuzerskiem spojrzeniem.

A zwracając się do Witka:

— Panie Witek, — powiedziała z naciskiem — to ważna rzecz w naszym społecznem życiu — klub! Będą tam również panowie z komitetu głównego. Musi pan przyjść! Tam czasem odbywają się bardzo ważne konferencje polityczne i ekonomiczne...

— Ale skąd ekonomiczne!?! — nie wierzył Niekrajewski.

— Bo ja sama interesuję się kwestjami gospodarczemi. Dużo czytam, studjuję. Raz nawet wygłosiłam w klubie mały referacik... Poza tem pisuję artykuły do jednego z pism kobiecych. Narazie w dziedzinie propagandy materiałów krajowych... Ach panie! — wykrzyknęła. — Jakże świetnie udał się nam bal! Bal jedwabiu krajowego!! — rozwichrzyła sobie czuprynę z tego zachwytu.

Nieśmiały Niekrajewski dopatrzył się w tem zachęty do jakichś śmielszych, względem Bławatkówny, poczynań. Może pozwoli potem odprowadzić się do domu!?

Witek zaś był w dwójnasób podniecony zapowiedzianą obecnością w klubie „panów z komitetu“...

Tego wieczora szybko uwinęli się ze swoją pracą, wystawiając, — przed gotowymi do codziennego wysiadywania w sekretarjacie oddziału robotnikami, — konieczność swego udziału w tem zebraniu klubowem.

Na wszelki wypadek, dla dodania sobie odwagi, Witek zaproponował, by tym razem — wódkę wypili na miejscu.

Uskuteczniwszy zaś to, ku pewnemu zgorszeniu Niekrajewskiego, w pokoiku Dziewańszczaka, pojechali taksówką do kawiarni, w której raz na tydzień zbierali się jagiellonidzi.

Nigdy nie posiadając „przy sobie“ pieniędzy, Niekrajewski, przed wejściem do kawiarni, zastrzegł się wobec Witka co do pożądanej znikomości ewentualnego ich rachunku. Gdyby już, ostatecznie, sami musieli za siebie zapłacić!

Gdy weszli — podnieceni na samą myśl, — co ich tu oczekiwało, jak również wypitą w oddziale wódką, — właściwe zebranie jeszcze się było nie rozpoczęło.

W narożnym pokoju drugorzędnej kawiarni warszawskiej zebrani już byli wszyscy swoi. Sekretarjat komitetu głównego związku, kółko akademików-mocarstwowców, „komendantura“ Korwinowego przysposobienia wojskowego, tudzież kilku wprowadzonych sympatyków. Rej wodzili — Bławatkówna, usadowiona wśród grona jakichś pań, oraz buszujący wśród „przysposobieńców“ i młodzieży Korwin. Zboku, przy małym stoliku siedziało niejako prezydjum. Byli tam — Giedymin, Sochaczewski i hrabia Słomiński. Ten sam, który nie mógł darować Sochaczewskiemu pominięcia Boga w wystosowanej do akademików, świątecznej ulotce.

Niezbyt duży pokój był już dobrze wypełniony.



Witek i Niekrajewski zajęli jedyny, jeszcze wolny stolik, tuż przy drzwiach. Na trzecim, ostatecznie ostatniem, wolnem krzeselku, Niekrajewski złożył swój kapelusz.

Było ciasno, dymno i gwarno.

Przybyli, korzystając z pewnej, przed rozpoczęciem właściwego zebrania, swobody, — przedsięwzięli od swego stolika szereg wypadów.

Na pierwszy ogień, rozamorowany Niekrajewski — w kierunku Bławatkówny. Podpity Witek — do hrabiego Słomińskiego. Obaj, ochoczo poruszając się wśród obsadzonych stolików, często stykali się na chwilę, by podzielić się wrażeniami.

— Panie kapitanie, — zwierzał się w ten sposób Witek — już mam w ręku hrabiego! Obiecał, że wstąpi do nas na członka oddziału robotniczego! Pytał tylko, nie wiem dlaczego, czy regulamin nasz przewidyje regularne, pod ścisłą kontrolą, wykonywanie przez członków praktyk religijnych w kościele rzymsko - katolickim!? Tak się jakoś wyraził, nie wiem, czy dobrze panu powtórzyłem? Ale naciągnęłem go już na podwójne wpisowe! Teraz się nam nie wykręci!!

— Panie Witek, — szeptał mu Niekrajewski — niech pan spojrzy, jak ona dziś ślicznie wygląda! — kazał mu zachwycać się Bławatkówną. — I jak potrafi tu zachować się, — wszyscy całują ją w rękę!!

Krążąc wśród stolików, przysiadając się tu i ówdzie, wymijając się z równie ruchliwymi jagiellonidami, raz po razu zdobywali jakąś wiadomość lub zasłyszana uwagę.

Tak, Giedymin podniecił wszystkich oświadczeniem, że dziś przybędzie na zebranie hrabia Rybiński, dotychczas bawiący na jakimś raucie.

Sochaczewski zapowiedział, iż ma niezłomny za-

miar postawić wniosek co do określenia stosunku przyszłej, mocarstwowej Polski do „zagadnienia Ukrainy“.

Przedstawieni zaś zebrany wokół Bławatkówny paniom, dowiedzieli się, że dziś ma tu być poruszona również sprawa utworzenia sekcji pań związku mocarstwowego.

Perorujący wśród akademików Korwin zapewniał wszystkich, że w swoim czasie ukończył był aż dwa „fakultety“. Z tego tytułu wszystkim akademikom mówił „kolego“, a wśród swych wiernych „komentantów“ urósł jeszcze bardziej wysoko.

Wtem od stolika Giedymina poproszono o ucieszenie się. Zgromadzonym podziękował za liczne stawienie się sekretarz generalny związku, i prosił o wysłuchanie z uwagą dalszego przebiegu zebrania.

Pierwszą więc sprawą była sekcja pań związku mocarstwowców.

Nie chodziło tu bynajmniej o ilość. Pań, licząc już z Bławatkówną, było zaledwie kilka. Lecz na pierwsze miejsce został wysunięty inny cel — samo istnienie!

Zadania sekcji pań były przez różnych mówców bardzo różnie interpretowane. Wszyscy pokolei zabierali tu głos, prócz samych kandydatek — zdziwionych, czujących się obco i w niczem nie mogących się połapać.

Hrabia Słomiński był za tem, by sekcja stała się w związku — ostoją religijnych przekonań jego członków. Jakaś kapliczka, w której, znużeni trudem swej pracy mocarstwowej, mogliby znaleźć duchowy spoczynek i ukojenie. Korwin chciał widzieć w niej poprostu oddział pomocniczy swego przysposobienia. Grono siostr - sanitariuszek.

Giedyminowi, którego oczami wszystkie kandydatki były wprost oczarowane, — przypadał bardziej

do gustu kontakt towarzyski. Sochaczewski żądał szerokiej inicjatywy i określenia zadań sekcji przez same panie...

Wtedy poprosił o głos Niekrajewski.

— Bardzo państwa przepraszam, — chciał utrafić w przyjęty tu ton — ale, jako kierownik naszej organizacji robotniczej, — pragnął ze swej strony zwrócić uwagę pań na siebie — chciałbym paniom zaproponować coś zupełnie innego. Chodzi mianowicie o to, że w naszym oddziale robotniczym już posiadamy swego rodzaju zawiązkę sekcji kobiecej...

Istotnie, w oddziale robotniczym oddawna istniała, niezbyt, co prawda, liczna grupa kobiet, przeważnie bezrobotnych, skupiona przy jednym z pośród nich „mężu zaufania“, „najstarszej“ bezrobotnej — Skibiniewskiej...

— Otóż, chciałbym paniom podsunąć myśl uzgodnienia założenia tej sekcji, o której słyszę, z robotniczą sekcją niewieścią! — klarował Niekrajewski. — A co do zadania, to nasuwa się ono samo przez się. Wspólnie z naszymi robotnicami podnieść poziom kulturalny bytu domowo - rodzinnego należących do nas robotników... To takie wdzięczne i proste! Chodzić, odwiedzać, przypatrywać się, podnosić... — już sam się przejął wyobrażaniem przez siebie posłannictwem.

Panie okazały się całkowicie tem przygnębione. Oszłomione, wręcz zaskoczone, zwłaszcza ostatnią propozycją. Zanosły więc zgodne modły przed boskie oblicze filmowego amanta, Giedymina.

Uwolnił je z tego jednym swem słowem. Obecne na zebraniu panie przyjmują do wiadomości wysłuchane tu propozycje, i pod przewodnictwem Bławatkówny utworzą przy sekretarjacie związku specjalną komisję. Która, w porozumieniu z sekretarzem gene-

ralnym, zbada sprawę utworzenia sekcji pań, obmyśli, zadecyduje...

Wszystkie panie odetchnęły z ulgą i jak na komendę zaczęły „poprawiać“ swe twarze, wsadzając podbródki do torebek.

Z kolei wystąpił hrabia Słomiński. W dłuższem przemówieniu starał się uzupełnić to, co według niego, stanowiło dotychczas niczem niezapełnioną lukę w świecie pracy mocarstwowej.

— My, proszę panów, — zwracał się do co najmłodszych akademików i ich kolegów, sympatyków ruchu mocarstwowego — stare pokolenie, dajemy wam tylko podstawę. Dajemy wam punkt wyjścia, zawierający jednocześnie i cel końcowy - mocarstwowość Polski. Sama koncepcja jednak tu nie wystarcza! Nie wystarczyć też powinna przedewszystkiem wam — młodym, najmłodszym!! Powinniście porwać ją, podniecić własnym zapałem, zapalić swoim entuzjazmem!! I nieść ją jak żagiew płonąca w społeczeństwo nasze, w naród polski... Lecz zastrzegam się, co do jednego! Winniście czynić to nieinaczej, jak tylko w imię boże, bo bez tego ani rusz... Inaczej, nie dopuścimy was do naszej koncepcji! Nie damy wam jej inaczej, jak tylko w imię Boga!! Wiemy dobrze — wy młodzi, zapalni, entuzjastyczni, — potraficie sięgnąć ręką, targnąć się na wszystko... Z B o g i e m, albo m i m o B o g a ! Nie, panowie, przenigdy!! Nie pozwolimy wam na to, chociażby było to zawołanie największego poety, prawdziwego wieszczu narodu... Bo nie jest to hasło, dostojne polskiego mocarstwowca!!

Długo tak prawili o konieczności „porwania“ przez nich, — nie odwrotnie, — podstawowej idei związku wielkiej Polski mocarstwowej... Wciąż im wytykał ten brak zapału, z jakim powinni byli sze-



rzyć hasło mocarstwowości, a z drugiej — wyimaginowaną skłonność wśród nich do bezbożnictwa...

Akademicy siedzieli przed hrabią Słomińskim, jak na jakimś dziwacznym kazaniu. Milczeli, nie mieli bowiem do tego wszystkiego ani zapachu, ani nawet oleju w głowie. Nie mówiąc już o tym „świętym“ olejku, którym chciał ich namaścić, zdawało się, najgłupszy, jak twierdził Sochaczewski, arystokrata wśród arystokratów...

Dziwnym trafem, Sochaczewski wyłożył przed nimi swe „zagadnienie Ukrainy“ również z Bogiem na ustach. Zwróciło to nawet na niego uwagę „specjalisty“ — hrabiego Słomińskiego, jakby nie było — wpływowej osobistości. Był przecież w Belwederze, adjutantował, przywoził w 1926-tym ten lakoniczny rozkaz Tomaszewiczowi.

Sochaczewski powiedział tak:

— Proszę panów, mówiłem już o tym z osobna z kilku z pośród was... Kwestja ustosunkowania się Polski w płaszczyźnie mocarstwowości do zagadnienia Ukrainy wydaje się nam być rzeczą konieczną. I to — do niezwłocznego jej rozwiązania w odpowiednio szerokiej skali! — zaznaczył już od siebie. — Otóż, proszę panów, mówiliśmy teraz o Bogu... Pan hrabia Słomiński przedstawił nam to przed chwilą... A ja twierdzę, że dla prawdziwej naszej mocarstwości następną kwestją winno być li tylko zagadnienie Ukrainy!!

Kilku z pośród akademików przyjęło to oświadczenie nieśmiało oklaskami.

— Cóż oni mogą wiedzieć o Ukrainie!?! — szepnął Niekrajewski do ucha zbałwaniałemu wskutek tego wszystkiego Witkowi. — Przecież ja się tam urodziłem... Znam lepiej!

Sochaczewski szedł za odgłosem zbieranych przez siebie oklasków:

— Jak wiadomo mi, właśnie od panów, — zwrócił się do swej „klaki“ — posiadają panowie kolegów - Ukraińców, których łatwo udałoby się nam nakłonić do wygłoszenia tutaj jakiegoś obszerniejszego odczytu o Ukrainie... Nie tej, oczywiście, obecnej, lecz o przyszłej samodzielnej Ukrainie... Którą, już na samą myśl o jej umocartwowieniu, — jak najwybitniej oceniamy!!

Grono mocarstwowców wyraziło na to swe prawdziwe uniesienie. Sochaczewski zaś cofnął się wstecz:

— Proszę panów, nie chcąc wam niczego narzucać, pragnę ustalić, jaką drogą doszedłem osobiście do zdania sobie sprawy z palącej konieczności tego wniosku.

Przybladł, jakby tracąc siły pod wpływem zbyt-niego napięcia myśli, i oparł się o ścianę.

— Rzekł Bóg — wypowiedział głuchym głosem w kierunku hrabiego Słomińskiego — niech się stanie światło! — wytrzymał dłuższą pauzę... — A nam rzekł marszałek Piłsudski — niech się stanie wolna, mocarstwowa Ukraina!! — zakończył pełnym akordem.

Zapanowała cisza. Skupiona, zasłuchana, zdawało się, w przebrzmiałe przed chwilą objawienie.

Na to wszedł na zebranie hrabia Rybiński.

Wszyscy byli tak przejęci, że na jego spotkanie nikt w pierwszej chwili nawet się nie poruszył. Hrabia zaś zdjął płaszcz i stanął przed nimi w całej okazałości swej wyfraczonej figury.

Chciał coś powiedzieć, lecz spojrzał na Sochaczewskiego, pohamował się, i nagle z całym rozma-

chem usiadł na jedynym wolnym krzeselku, na którym leżał kapelusz Niekrajewskiego.

Niekrajewski jęknął zcicha i tak się potrafił skupić nad tem zetknięciem ciała hrabiego ze swym kapeluszem, że tego wieczora już nic innego nie było w stanie go poruszyć.

Po chwilowem oniemienu poruszyło się natomiast całe zebranie. Do hrabiego Rybińskiego zaczęli tłoczyć się wszyscy, pragnąc uścisnąć mu dłoń i zamienić z nim chociaż parę słów.

Pomiędzy innymi i Witek, jakże teraz wywyższony we własnych oczach! Hrabia, bowiem, siedział przy tym samym co on stoliku... Pograżony w swoim, Niekrajewski widział, jak o czemś rozprawiał nad siedzącym Rybińskim, coraz czerwieńszym, coraz purpurowszym na twarzy.

Po chwili Witek powrócił na swoje miejsce i zalatrowany pochylił się ku Niekrajewskiemu:

— Panie kapitanie, — szepnął błagalnie — niech pan pozwoli, że na pana chuchnę — zionął Niekrajewskiemu w nos czadem wypitej w oddziale wódki. — Coś dziwnego, psiakrew! Jeszcze tak ode mnie nigdy nie niosło... Nie uwierzy pan, rozmawiając z panem hrabią, z całej siły wciągałem w siebie powietrze — a śmierdziało wciąż coraz gorzej!!

Wtedy w Niekrajewskim przelało się po brzegi to rozgoryczenie z powodu sponiewieranego kapelusza.

— A cóż pan, nie widzi, że on jest wstawiony!? — oburzył się na Witka. — Wraca przecież z jakiegoś rautu! Urznął się, psiakrew, i siedzi teraz na moim kapeluszu!! O, niech pan popatrzy, — jaki czerwony!

Odtąd Witek z jakimś dziwnem nabożeństwem nie spuszczał oczu z Rybińskiego. Jakgdyby chłonał



w siebie to wszystko, co w zachowaniu się hrabiego w tej chwili, zdawało mu się znamionować nieoglądany dotychczas obraz pijanego „prawdziwego“ arystokraty...

Przybycie hrabiego, a zwłaszcza ten porautowy jego stan, zmusiły Giedymina do czynniejszego, niż dotychczas wystąpienia na zebraniu klubowym.

Z powodu dość późnej pory, dał do zrozumienia paniom, że już powinny pośpieszyć do domu. Uwagę pozostałych skoncentrował na ostatnim punkcie zebrania — sprawie działalności federacji gospodarczej, owej „figi“, gdzie również sprawował obowiązki sekretarza generalnego.

Działalność federacji polegała przede wszystkim na propagowaniu wyrobów krajowych. Chodziło więc w tym wypadku Giedyminowi o to, by propagandę tę ożywić, mobilizując do dyspozycji czynników kierowniczych pewną ilość ludzi.

Młodych akademików miał już pod tym względem całkowicie urobionych. Nie wystarczyło mu to widocznie, wystąpił był bowiem z następującą propozycją:

— Poza nami samymi, poza panami, którzy przyrzekli już mi swój czynny udział w propagowaniu hasel gospodarczych figi, poza paniami wreszcie, — myślał o kandydatkach do sekcji pań — musimy, proszę panów, dysponować pewną ilością wykonawców, że tak powiem, niższego szczebla, do czarnej, że tak powiem, roboty. Otóż, uważam za bardzo wskazane sięgnąć po ludzkie rezerwy do oddziału robotniczego! — sygnalizował okiem zwrócenie na to uwagi Sochaczewskiemu, Korwinowi, Niekrajewskiemu i nawet Witkowi. — Jest ich tylu, zwłaszcza bezrobotnych! — westchnął na wspomnienie o tych długich spisach i masie notatek z nazwiskami robotni-



ków, które leżały u niego już od niepamiętnych czasów. — Niech więc, chociaż w tym kierunku przyłożą się do realnej pracy! Mogą, zwłaszcza, przydać się nam do tak zwanej—żywej reklamy... To—na sposób amerykański... Będziemy ich ubierali napokaz w materiały krajowe, a oni będą chodzili i reklamowali... Jedyna trudność, jaka tu zachodzi, to tylko, że tak powiem, natury atmosferycznej... Dobra amerykańska reklama przewiduje bowiem, że materiały letnie, na przykład, należy ludziom pokazywać już w zimie, i odwrotnie... Ale nie wątpię, że kierownictwo naszego oddziału robotniczego dołoży wszelkich starań, by to z robotnikami przeprowadzić! Zarzucimy w ten sposób nasz rynek wyrobami produkcji krajowej, bo chwała Bogu, — wyrwało mu się — bezrobotnych mamy przecież dość!... To jest chciałem powiedzieć,— zamachał rękami — że ilościowo, taka żywa reklama, przeprowadzona przez nasz oddział robotniczy, niewątpliwie osiągnie należyty efekt!!

Zachęcające jego spojrzenia spływały bez skutku po Sochaczewskim i po Korwinie, który nie mógł doczekać się, żeby rozmowa zesza wreszcie na tory przysposobienia wojskowego. I po Niekrajewskim, bez przerwy pochłoniętym obserwowaniem skoncentrowanych na krześle ruchów siedzącego obok niego hrabiego.

Rybiński, z odrzuconemi nabok połami fraka, musiał, widocznie, niedobrze czuć się na swoim miejscu. Wciąż zmieniał pozycję. Kręcił się i wiercił. Jakby rozmyślnie tłamsząc pod sobą kapelusz Niekrajewskiego...

— Panie sekretarzu, ja proszę o głos! — wyrwał się nagle Witek, odrywając wreszcie oczy, również od Rybińskiego. — Jako fachowy organizator społeczny, proszę o pozwolenie na zorganizowanie ze mną na

czele, sekcji propagandowo-gospodarczej figi z członków naszego oddziału robotniczego! Sekcję kulturalno-oświatową już mam prawie na ukończeniu... A to naszych członków zajmie, rozerwie, rozrusza! Tylko o jedno chciałem prosić, czy my te reklamowe materiały będziemy mogli sobie zatrzymać!?

— Ale skądże, panie Witek! — zreflektował go Giedymin. — Materiały te nie są własnością federacji gospodarczej, i co najwyżej, możemy po pewnym czasie, oczywiście nie w odpowiednim sezonie, odstępować je robotnikom. Ale muszą za to zapłacić, to nie tak, jak z temi mundurami przysposobienia...

Obudziło to w Korwinie chęć natychmiastowego wypowiedzenia się.

— Proszę panów, — zwrócił się wokoło do otoczenia, niby formując przed sobą audytorjum. — Koledzy! — wyróżnił specjalnie akademików. — Chciałbym przy tej okazji zaapelować do panów w sprawie rozszerzenia szeregów naszego przysposobienia wojskowego, naszej kompanji robotniczej, której jestem komendantem. Książę Giedymin, komendant główny, udzielił już mi pełnomocnictwa do formowania z naszych robotników pierwszego bataljonu mocarstwowego przysposobienia wojskowego. Kadry mam... Ludzi będziemy mieli... Brak mi, przyznam się, tylko tego najniezbędniejszego elementu, jakiego dostarczyć nam może jedynie wasze kółko akademików-mocarstwowców... Apeluje więc do panów, by jak najliczniej stanęliście w szeregach mocarstwowego przysposobienia wojskowego, za przykładem pana prezesa, hrabiego Rybińskiego!! — urwał na tem, jakby tylko o to jemu chodziło.

— Jak to za moim przykładem!? — zdumiał się głośno hrabia, dotychczas w milczeniu kołyszący się na swem krzeselku.

— Tak jest, panie prezesie! — raportował po wojskowemu Korwin. — Jest pan bowiem, naszym pierwszym honorowym żołnierzem...

— Jeśli chodzi o honorowego żołnierza, to deklaruje się i ja! — zawołał hrabia Słomiński. — Ale pod jednym warunkiem — wprowadzi pan u siebie, panie komendancie, zwyczaj śpiewania do marszu tylko pieśni religijnych!

Giedymin i Sochaczewski wykonali porozumiewawcze ruchy, mające świadczyć o tem, że zebranie jest już skończone i że, ze względu na późną noc, jest już najwyższy czas — zapłacić i opuścić doraźny lokal klubu.

Za nimi ruszyli się wszyscy inni. Powstrzymało ich jednak zachowanie się hrabiego Rybińskiego.

Pomimo to, że prócz niego i Niekrajewskiego, już wszyscy byli powstali, zaczął nagle mówić głośno nie ruszając się ze swego krzeselka:

— Panowie mocarstwowcy! — po raz pierwszy użył tego zwrotu. — Jako wasz żołnierz i prezes honorowy kompanji robotniczej, — pomieszało mu się — chcę powiedzieć wam przy okazji naszego tu spotkania tych oto kilka słów... Wiecie, że nie umiem mówić... Zresztą, nie o to chodzi! Wracam właśnie z rautu, to jest właściwie już nie z rautu, lecz z kolacji, na którą po raucie poszliśmy sobie w kilku... — już zapomniał, co chciał im powiedzieć. — Po szampanie, uważacie panowie, jaki wypiliśmy na raucie, wściekle zechciało się nam jeść! — wpadł na zupełnie inny temat. — Poszliśmy więc na coś solidniejszego — ja i Strumieńscy, jeden i drugi... — hrabia rozgadywał się coraz lepiej. — Kazaliśmy sobie, proszę panów, dać najpierw dobrej wódki. Do tego — byle co, na przekąskę, aby zbyć... A potem, potem coś gorącego...



Zapomniałem jak się nazywa... Palce lizać, mówię panom!...

Nie zwracał uwagi na to, że podczas jego przemówienia już wszyscy prawie opuścili lokal. Przy tak rozgadany, wciąż siedzącym Rybińskim, zostali tylko — Sochaczewski, Giedymin i również siedzący Niekrajewski.

Sochaczewski dał mu w bok kuksańca:

— Czemu pan już nie idzie, panie kapitanie!? Wszyscy już wyszli. My z Giedyminem sami go odwieziemy do domu — wskazał głową na hrabiego.

Ruch ten nie uszedł uwagi Rybińskiego. A widząc ich trzech przed sobą, zrozumiał, że pragną z nim się pożegnać.

— Dowidzenia panu, bardzo dziękuję! — z wyłaniem ścisnął dłoń pierwszemu Niekrajewskiemu. — Już się pan śpieszy do domu!? Już chce pan iść! Szkoda, no ale trudno — nie zatrzymuję! — rzekł z jakimś żalem, popatrując zdumionem okiem to na niego, to na Giedymina i Sochaczewskiego.

— Dlaczego pan nie idzie, panie kapitanie!? — głośnym szeptem strofował z kolei Niekrajewskiego Giedymin. — My już też zaraz wychodzimy z panem prezesem.

Wtedy Niekrajewski pochylił się ku Sochaczewskiemu i również szeptem wstydliwie objawił swą tajemnicę:

— Jakże ja stąd wyjdę bez kapelusza, kiedy na nim siedzi hrabia?

Rybiński usłyszał to i aż podskoczył, wyjmując z pod siebie nieszczęsny, wymiętoszony kapelusz.

— A, to zupełnie jak w zabawę w szarady! — oznajmił wesoło. — Nic nie wiedziałem, na czym siedzę — usprawiedliwiał się. — Czuję tylko, że tam



coś jest... — manipulował rękami ztyłu, pomiędzy połamami fraka.

— Ładna mi zabawa, ładne mi szarady! — gniewnie mruzczał Niekrajewski, opuszczając klub.

Bławatkówny do domu nie odprowadził. Musiał zapłacić za siebie i za Witka, który wyniósł się razem z innymi. Był urażony tem, że nikt do niego nie zwrócił się z zapytaniem, co myśli o udziale robotników w zamierzonej akcji propagandowej figi. A zwłaszcza w tej sprawie — rozwinięcia kompanji robotniczej do bataljonu, o czem dziś po raz pierwszy, usłyszał od Korwina.

Nadomiar złego, hrabia doszczętnie zgniółł jego kapelusz, twierdząc, że mu to przypomina grę towarzyską...

Niekrajewski nie mógł tego zrozumieć. Już to nigdy nie miał głowy do rozwiązywania tych sztuczek z działu rozrywek umysłowych... Cóż dopiero — traktowanych jako zabawy towarzyskiej!

## POŚREDNICTWO PRACY.

Głód pracy, któremu Niekrajewski, jako kierownik oddziału i przewodniczący sekcji pośrednictwa pracy, opędał się codziennie przez telefon, — tak go w końcu osaczył, że nadal niesposób było poprzestać na uprawianej dotychczas metodzie.

Do tego też przekonania przyszedł również Giedymin, do spółki z Sochaczewskim coraz intensywniej nagabywany przez robotników, co do losu wiadomych już książęcych notatek, spisów i obietnic.

Giedymin, ze wszystkich swych licznych obietnic w tym zakresie, dotrzymał był tylko jednej — wyrobił posadę bokserowi Jaskółce.

Dopomogły tu stosunki hrabiego Rybińskiego, i pewnego dnia Jaskółka został szoferem jakiegoś dygnitarza do spraw zagranicznych.

Niestety, zatrudnienie to trwało zaledwie kilka dni...

Po upływie tego krótkiego czasu, Jaskółka zjawił się w oddziale i, jak zwykle gburowato, tłumaczył Niekrajewskiemu:

— To warjat, panie kapitanie, — nie człowiek! Przyjął mnie pod warunkiem, że umiem jeździć po kawalersku. Dobrze to raz, drugi, jak się człowiek trochę zagazuje... Ale codziennie — niesposób wytrzymać! W dodatku to cham, panie kapitanie! W biały dzień, gdy nie mogłem odrazu nawrócić tak jak on chciał, obrugał mnie, jak nie wiem co!... Dziękuję za taką pracę — niech sam sobie jeździ... Mnie jeszcze życie miłe!!...

Wspólne usiłowania Giedymina i Sochaczewskiego doprowadziły w tym czasie do bezpośredniego zetknięcia się Niekrajewskiego z dyrektorem Orłowskim, z wielkiego związku przemysłowego.

Pewnego więc dnia zjawili się u dyrektora: hrabia Rybiński, Giedymina i na przyprzążkę — Niekrajewski.

Wchodząc do gabinetu Orłowskiego, zastali tam porucznika Sochaczewskiego.

Było widoczne, że przed ich przybyciem, ci dwaj doszli już do pewnego porozumienia. Wszczęta, bowiem, ogólna rozmowa była daleka od zagadnienia pośrednictwa pracy. Dotyczyła, natomiast, sprawy zorganizowania robotniczej kasy oszczędności.

Dla Niekrajewskiego było to coś tak nowego i niespodziewanego, że nawet ani razu się nie odezwał.

Temat ten zaś był z pewnością szczególnie miły dyrektorowi Orłowskiemu, gdyż w długim, rzeczowym

wywodzie starał się jak najszczegółowiej zapoznać swych słuchaczy ze wszystkimi znanymi mu systemami oszczędnościowymi. Od domowej skarbonki do P. K. O.

A wszystko przy uwzględnieniu tego jednego — jak trudno wydobyć od robotnika ten grosz! Jak należy pilnować, by w wieczór sobotni móc ściągnąć z jego zapłaty tę odrobinę zarobku!!

W wyobraźni Niekrajewskiego już powstawał z tego, obraz wymiany jakichś znaczków oszczędnościowych na pieniądze, wpłacane przez członków jego oddziału... Jakże śmieszne w związku z tem, wydawało mu się to, o czem było mówione w gabinecie dyrektora Orłowskiego!

Mniej już zabawne jednak okazało się polecenie, które niebawem był otrzymał. Wspólnie z Giedyminem, pod ogólnem kierownictwem pewnego ekonomisty — jednego z filarów związkowych, — miał opracować system oszczędnościowy, który zczasem mógłby być zastosowany wśród robotników-mocarstwoców.

Jak ryba, wciąż otwierał usta, by im wytłumaczyć, przedstawić, że się nic a nic na tem nie zna, że to do niczego nie doprowadzi... I wciąż nie mógł dostać się do głosu!

Po tem niepowodzeniu z dyrektorem Orłowskim, Niekrajewski uzależnił pośrednictwo pracy — całkowicie od posła Bohdanowicza. Od tego, by poseł pojechał z nim do poszczególnych fabryk i zaważył tam swym autorytetem na korzyść bezrobotnych oddziału.

Trwało to nieskończenie długo. Tak długo, dopóki, stale zajęty w Sejmie Bohdanowicz, nie zdecydował się wreszcie odrobić wszystkiego za jednym zamachem.

Pewnego dnia, od rana, zaczęli ten objazd.



Zaczęli od tego dyrektora fabrycznego, którego zawsze wskazywał konsul Tomaszewicz. Znanego Niekrajewskiemu tylko przez telefon.

Bilet wizytowy posła Bohdanowicza ułatwiał rzeczywiście wiele. Lecz na ich spotkanie dyrektor wystąpił z całym już archiwum spisów bezrobotnych z różnych organizacyj. A pośród tych spisów nie było tylko jednego — listy bezrobotnych mocarstwowców!

Zaszachował ich tem, obezwładnił, ośmieszył we własnych oczach. Jakże to oni, — z czem do gościa!? Nie zrobili nawet tak podstawowej rzeczy, jak spisu swych bezrobotnych! I chcą, żeby oddział był traktowany pod tym względem narówni z innymi organizacjami!?

Pouczył ich na pożegnanie, jak to się robi, jak układa, pisze. Miał już tego przecież tyle! Chodziło więc tylko o wypełnienie gotowego schematu...

Inaczej zostali przyjęci w następnej fabryce. Gdy Bohdanowicz i tu posłał swój bilet przez woźnego, do poczekalni wypadło naraz kilku starszych panów. Kilku różnych dyrektorów opadło ich, witając jak oddawna upragnionych, oczekiwanych gości...

Niekrajewskiemu zdawało się, że lada chwila, nietylko Bohdanowicza, ale nawet jego samego, zaczął poprostu nosić na rękach.

Tymczasem rozdzielono ich. Niekrajewskiego rzucono na pastwę szefa wydziału personalnego, Bohdanowicza nie wypuszczali z pośród siebie — dyrektorzy.

Z szefem personalnym poszło tu niezwykle łatwo. Chodziło już tylko, zdawało się, o dokonanie nieznacznej formalności — przysłanie wykazu bezrobotnych ze szczegółowym wymieniem kwalifikacyj. Praca zaś, stopniowo, miała być dla nich zapewniona...

Gdy wreszcie, zadowolony z tych wyników Nie-



krajewski, znów połączył się z Bohdanowiczem, uderzył go w wyglądzie posła wyraz ni to zmieszania, ni to zniechęcenia.

— Co, panie pośle? — zapytał. — Mnie się świetnie udało! A o czym oni mówili z panem!? Też o tem, że w pierwszym rządzie dostarczą pracy naszym bezrobotnym.

Posel uchwycił go za rękę.

— Panie kapitanie! — błagał. — Dziś już nigdzie więcej nie pojedziemy, dobrze!? Wie pan, co oni sobie myśla!? Że za mojem pośrednictwem dostaną jakieś większe zamówienia rządowe, na które już oddawna liczą!... To dlatego tak nas wzięli w obroty, a panu obiecali wszystko, co mogli!! Nie, stanowczo już mam tego dość, przynajmniej na dziś! Nigdzie już więcej teraz nie pojedziemy!!

Nietylko tego dnia, ale i potem nie ponowili z posłem wspólnego odwiedzania fabryk w sprawie pośrednictwa pracy.

W stosunku do pierwszej z nich uczynił to Niekrajewski już sam. I to, będąc — zniewolony przymusem, który nieprzewidzianie spadł na niego pewnego wieczora — przy piecyku żelaznym w lokalu sekretarjatu oddziału...

Siedzieli tam sobie z Witkiem jak codzień. Spiesznie wykańczając wykazy swych bezrobotnych, żeby to posłać do fabryk. Stylizowali listy, powołując się, oczywiście, na te odwiedziny posła Bohdanowicza, lub na samego konsula Tomaszewicza. Przy zupełnej pewności, że nie przyniesie to żadnych rezultatów, czynili z tej pracy na oczach zebranych robotników — coś poważnego, solidnego... Czuli, że jedynie dzięki temu zdobywają tu mocniejszy grunt pod nogami...

Wtem wszedł do sekretarjatu stary, siwy robot-

nik. A z nim jak heroldowie, kilku młodszych, bardziej rezolutnych, zaciętych i krzykliwych.

Weszli z hałasem, jakby wnosząc w te martwe, przygotowywane spisy bezrobotnych, i w całą w ich sprawie korespondencję, — bolesny okrzyk żywego ciała.

— O tu, panie kapitanie! — pokrzykiwali jak na jakimś popisie. — Prosimy popatrzeć! To jest robotnik Mańka, — wymienili pierwszą fabrykę, w której Niekrajewski był z Bohdanowiczem — dziś nam zredukowany!! Dziś jeszcze pracował, jak od kilkunastu lat, a na jutro, prosimy spojrzeć, — już jest gotów!...

Niekrajewski, przedewszystkiem, przywitał się z tym Mańką. Potem posadził go na ławie. Trzeba było rozpatrzyć to spokojnie, nie tracąc głowy.

Okrzyki młodszych robotników świetnie narazie odparował Witek.

— Bardzo dobrze! — zawołał. — Zaraz sprawdzimy, czy pan Mańka rzeczywiście jest naszym członkiem. Od jak dawna? I czy należycie opłaca składki!?

Wobec jego książek, spisów, wykazów, kwitarjuszy, notatek i t. p. — robotnicy chwilowo ucichli. Po przez ramiona, głowy i wzniesione ręce starali się dotrzeć do tego Witkowego źródła kontroli członków oddziału.

Gdy jednak okazało się, że tak, — że Mańka posiada podpisaną deklarację członkowską i regularnie wpłaca składki miesięcznie, — znów ponad mądrość kancelaryjną wybił się okrzyk życia.

Na szczęście dla Niekrajewskiego — na pierwszy ogień poszedł tylko „stawiający się“ Witek.

— Co pan nas teraz kontroluje!?! — krzyczeli nad nim robotnicy. — Trzeba było o tem wcześniej pamiętać! Jak kto niema podpisaney deklaracji, albo nie płaci składek, to musi go pan inaczej brać!! Pano-

wie tu siedzą i piszą! Wykazy bezrobotnych, w książkach piszą, i myślą, że z pracą to łatwo, bo łatwo da się napisać! A teraz napiszcie o Mańce!! Niech jego nie redukuje!... Zamiast tego, żeby, jak nam panowie to obiecują, naszych członków przyjmowano do pracy, to naszych właśnie wyrzucają!! — zaczęli wyliczać dobrze znane Niekrajewskiemu wypadki, które, raz zanotowane i podane listownie do fabryk, — stawały się już czemś łatwo zapomnianem. Nad czem się tak szybko, w tych warunkach częstotliwości, przechodziło do porządku.

Zrobiło mu się jednak żal Witka. A może jeszcze bardziej tego zlekceważonego przez robotników — ich wspólnego wysiłku pracy, niepozbowionej przecież dobrej woli, dobrych chęci...

— Cóż to, panowie, tak nagle teraz się oburzają!? — skupił na sobie uwagę robotników. — Przecież my codzień mamy z tem do czynienia! Myślicie panowie, że to pierwszy pan Mańka!? Mamy przecież już całe wykazy! — machnął przed nimi zagryzłymi arkuszami.

Sam Mańka wydawał się spokojny i nawet zrezygnowany. Siedział sobie na ławie i z jakimś obojętnym zaciekawieniem przypatrywał się i wsłuchiwał w toczący się przed nim spór.

Gdy Niekrajewski nie mógł dojść do ładu z tymi hałasującymi robotnikami, zwrócił się do niego niemal prosząco:

— Panie Mańka, niechże nareszcie sam pan opowie o co chodzi!?

Lecz stary Mańka okazał się przygłuchy. Trzeba więc było ponowić pytanie tak głośno, że odrazu zagubił się ten początkowy, proszący, pojednawczy ton.

Na to Mańka, nie zmieniając swej siedzącej, skulonej pozycji, odrzekł z nieoczekiwaną zaciętością:



— Od maleńkości pracowałem w tej jednej fabryce! Przez wszystkie dobre i złe czasy... Tyle siły i zdrowia mego poszło na to, żeby mnie teraz zredukowali!? A to wszystko przez nikogo, tylko przez tego kierownika, co mi już oddawna dokuczał... Odstawiał od każdej pracy, aż nareszcie postawił na sprzątającego na głównej sali... Myślałem — już tu da spokój!? Ale gdzież tam! Ten sk...y syn tylko tego chciał, żeby mnie, znaczy się, poniżyć, a potem całkiem wyżyć!! Chodził za mną wciąż, a śledził... I tak mu źle, i tak niedobrze... To tu zabrudno, to tam naśmiecono... A wreszcie, powiada, już ty, Mańka, nie jesteś zdolny do nijakiej roboty! Nawet do tego sprzątania, co to kuźde małe dziecko potrafi! I podał mnie do redukcji...

— No i co? — pytał Niekrajewski. — I już absolutnie nie da się to jakoś załatwić!?

— Chciałem ja się z nim rozmówić! — błysnął Mańka okiem z pod krzaków siwych, nawisłych brwi. — Zabiłbym sk...y syna!! Ale zląkł się — nie dopuścił do siebie! — wykrzywił usta w bezzębny uśmiechu. — A chodzili delegaci do dyrektora, to, powiada, bez pana kierownika zgody nic, znaczy się, on postanowić nie może... Idźcie, powiada, proście!... A już najważniejsze to kierownik delegatom mówił... Niech, mówi, Mańka ukorzy się, niech mnie przeprosi! Ja do niego, powiada, nijakiego żalu nie mam, ani pretensji, tylko aby to jedno, że już on jest za stary i swojej roboty wykonać nie może, a jak mu co powiedzieć, toby człowieka zabił!... — znów błysnął złem okiem. — I jabym taki tak zrobił!! — warknął jakby do siebie.

Weszło na to jeszcze kilku robotników. Pomiedzy nimi bezrobotna, „mąż zaufania“ — Skibiniewska, i jasnowłosa, olbrzymi Jabłoń.

Zawsze dotychczas potulna Skibiniewska, teraz śmiało i rezolutnie stanęła przed Niekrajewskim.



— Nie za siebie ja dzisiaj proszę, panie kierowniku! — zgrzytnęła niemile dla niego tym ostatnim wyrazem tak tu teraz, w związku z Mańką, sponiewieranym. — Za ojca mego przychodzę! Toż my, ja i moja córeczka jedyna, — wykonała jakiś krótki teatralny szloch — my obie jesteśmy na jego utrzymaniu... Co zarabiał, to nam oddał i jeszcze wpłacał składkę do organizacji, żeby mieć jakie zapewnienie, zabezpieczenie na ten przykład! A teraz co z nami będzie, jak nam ojca zredukowali!? — dotknęła zlekka ramienia znów zgasłego, zrezygnowanego Mańki. — My tu wszyscy — obejrzała się wokoło po robotnikach — przychodzimy do pana, żeby pan teraz co zrobił... Z panem konsulem Tomaszewiczem, z panem hrabią Rybińskim, czy jak się tylko da!!

Poparł ją natychmiast zrównoważony Jabłoń.

— Teraz, panie kierowniku, trzeba nam swoje, naprzykład, pokazać! — wysunął się naprzód spokojnym, ale zdecydowanym, mocnym ruchem. — Teraz już nie może być tak, że się tam coś napisze, czy przez telefon... My już ta w fabryce zrobiliśmy swoje! Delegacja, znaczy się, nasza robotnicza, chodziła i prosiła za Mańką... Ale teraz, to już tylko sama organizacja coś może! Tylko organizacja powinna to załatwić — z dyrektorem, z kierownikiem...

Gdzież się podzieli, co robili w tej chwili, zawsze obecni tu wieczorami — główni prowadzący robotników: Indor, Adamczewski, Jaskółka, Dziewańszczak!?

Przez cały ten czas petraktacyj, stali na uboczu, jakby umyślnie nie wtrącając się do niczego.

Gdy jednak Niekrajewski wystąpił z refleksją, że obok zabiegów ze strony związku i oddziału, winni wziąć udział w sprawie Mańki — jeszcze raz robotnicy tej samej fabryki, członkowie oddziału, wyskoczył naprzód zaperzony Adamczewski.

— Co, pan to jeszcze zwala na robotników!? Oni już wszystko, co do nich należało, zrobili! A my nie pozwolimy tak teraz tego zostawić—pisać tam o tem, czy telefonować... Musi pan jutro sam tam być i załatwić!! Nie może tego być, żeby nam Mańkę zredukowali!... Ja też pracuję w tej fabryce — zwrócił się już spokojniej do robotników. — A że mnie sam dyrektor lubi, chodziłem do niego za Mańką... Powiedział, że jak organizacja zechce, to to z kierownikiem załatwi! A dyrektor, że to mnie lubi, niema nic przeciwko temu... — starał się przedstawić zebranym, że ze strony robotników, a przede wszystkim jego samego, zostały wyczerpane już wszystkie sposoby załatwienia sprawy.

— A mój stary jest tam o j za portjera! — wsadził swoje Dziewańszczak.

Mańka ożywił się, podniósł głowę i skinął potakująco.

— Tak, c ó ś k o l w i e k , sam pan teraz musi załatwić! — naciskał na Niekrajewskiego Indor.

— Rąbnąć to raz, psia jego mać!! — na swój sposób podtrzymał go Jaskółka.

Gdy się tak wszystko przemełło, gdy stopniowo robotnicy uspokoiłi się, Niekrajewski zdobył się na wysiłek decyzji. Mańkę zaopatrzy się w list do dyrektora fabrycznego, u którego w swoim czasie był Bohdanowicz. List ten, dla nadania mu specjalnej powagi, — podpisze sam „minister“ Tomaszewicz. Jutro Niekrajewski pojedzie do fabryki, a poza tem będzie prosił posła, żeby zechciał zadzwonić do dyrektora.

Najważniejsze miało się odbyć w samej fabryce. Mańka już nie miał „numerku“, za którym mógł być wpuszczony w jej obręb. Miał to wziąć na siebie portjer fabryczny, ojciec Dziewańszczaka, zawczasu

uprzędzony przez syna. Prócz tego — Jabłoń i Adamczewski, w porozumieniu ze stałymi delegatami robotniczymi, — winni byli jeszcze raz przypuścić szturm do dyrektora i kierownika.

Wszystko to jednak nie wyczerpywało ostatecznie przedsięwziętych w sprawie redukcji Mańki środków. Na ostatku bowiem, ktoś z robotników rzucił słowo — „masówka“...

Właśnie w tej chwili Witek wręczył Mańce list, który tegoż wieczora, a najpóźniej nazajutrz rano, winien był podpisać konsul.

Gdy Niekrajewski zasłyszał to słowo, coś go popchnęło do zaofiarowania się.

— Panie Mańka! — zawołał. — Ja sam pójde z panem do pana konsula! Tak będzie pewniej...

Wystarczyło, że dał z siebie tylko tyle, by niezwłocznie ściągnąć ku sobie już życzliwszy wzrok robotników. Już, nieomal, — ton wdzięczności w ich głosach!... Wszystkich, prócz Indora, Adamczewskiego i Jaskółki, którym nie mogło być miłe, że Niekrajewski wziął na siebie to pośrednictwo pomiędzy robotnikami a Tomaszewiczem, które dotychczas całkowicie należało do nich...

Mańka nigdy nie był u konsula. Z tego, jak zdradzał coraz większe zdezorientowanie — w miarę wkraczania w obręb śródmieścia, mogło się zdawać, że nigdy nie był i tutaj.

Podwieziony przez Niekrajewskiego tramwajem, gdy maszerowali potem wzdłuż kawałka głównej ulicy, jakże obcym wydawał się na szerokim, zamiecionym ze śniegu chodniku, w mieniącym się świetle bogatych witryn. Wśród ciepło i porządnie ubranych przechodniów.

W swej szarej, starej kurtce, w baraniej czapce



na głowie, zatrzymał nagle Niekrajewskiego przed wejściem do jednego z pierwszorzędných barów :

— Panie kierowniku, — zamruczał nieśmiało, — jakże to pan tak ze mną, dla mnie, bez nijakiego po-krzepienia!? Może się pan choć tego piwa napije? Ja zapłacę, toż przecie pan to wszystko dla mnie!...

Niekrajewski wziął go pod rękę. Pod gruby, czemś nazawsze pobrudzony rękaw kurtki i pociąg-  
nął żywo do mieszkania Tomaszewicza.

Jakże się cieszył za chwilę, że nie przyjął tego zaproszenia na piwo, gdyż konsula nie było w domu. Służąca nie wiedziała gdzie jest i kiedy powróci.

Stańło więc na tem, że Mańka miał tu naza-  
jutrz zgłosić się sam. Reszta zostawała niezmieniona,  
— według powziętego w oddziale planu...

Nazajutrz nie pozostało w Niekrajewskim już  
ani odrobiny tego ofiarnego nastroju, z jakim był  
włóczył Mańkę ze sobą ubiegłego wieczora.

Na samą myśl, że musi pojechać do fabryki i mó-  
wić z dyrektorem, i że nic na tem nie wskóra. —  
wściekał się na siebie, że w napływie uległości pod-  
jął się był wczoraj tego zadania.

Gdy jednak stanął przed fabryką i przed portje-  
rem, który teraz, jako ojciec Dziewańszczaka, wyda-  
wał się mu już niezupełnie obcy, — znów zrodziła się  
w nim niejaka pewność pomyślnego załatwienia tej  
całej sprawy.

Nie wiedział jednak, co się dzieje z Mańką. Czy  
był dziś rano u Tomaszewicza? Gdzie znajdował się  
w tej chwili??

Brodaty portjer objaśnił, że jest na swem zwy-  
kłem miejscu, na głównej sali fabrycznej.

To też, gdy został przyjęty przez dyrektora,  
wypadło Niekrajewskiemu prosić o dwie rzeczy: O po-



zostawienie Mańki przy pracy i o zezwolenie zobaczenia się z nim na sali głównej.

Co do odwołania redukcji, dyrektor odesłał go do kierownika. Zawierało to jednocześnie upoważnienie na wejście do fabryki.

Z jakąż dumą przekroczył za chwilę mały dzielniczek, by znaleźć się przed ogromnymi żelaznymi drzwiami, z poza których dochodziły odgłosy — postuku, sapania i warkotu pracy. Przecież po raz pierwszy w życiu był u samego jej źródła. I w tej chwili — w jakimże celu!!

Gdy wszedł, ujrzał przed sobą, przedewszystkiem, wielką lokomotywę. A następnie dopiero, po opatrzeniu się,—to złożone wewnątrz ogromnej fabrycznej hali, gdzie nieprzyzwyczajone jego oko zatraciło narazie zdolność oceny wszelkich odległości. Od tego — do tego warsztatu, od jednego robotnika — do drugiego. Wszystko tonęło w nieokreślonej, rozcieńczonej brunatności głośniego powietrza, i rdzawem, zakurzonem, zatłuszczonem tle instalacyj... Miał chwilę, w której zwątpił nawet, że potrafi tu odnaleźć tych, z którymi chciał się zobaczyć...

To też, gdy obok lokomotywy odróżnił nagle znajomą postać, ucieszył się z tego niezmiernie:

— Jakże się pan miewa, panie Adamczewski? Co słyhać z naszą sprawą? — radował się również na myśl, że może już wszystko zostało pomyślnie rozwiązane.

Adamczewski również zdawał się być zadowolony z tego spotkania:

— Panie kapitanie, — wołał wśród nieustannego hałasu fabryki. — A jednak przyszedł pan do nas!! Już byliśmy z Jabłonią u kierownika. Powiada, że jak się z panem porozumie, i jak Mańka go przeprosi, — to wszystko będzie dobrze! Nasza wygrana!!

— A gdzie jest pan Jabłoń?! — krzyczał Niekrajewski. — Gdzie jest Mańka?!

Kilku robotników zaczęło go głośno wołać.

Tymczasem Adamczewski prowadził Niekrajewskiego z jakimś dziwnym triumfem, jakby pragnąc wywołać zazdrość wśród innych, obcych robotników.

Jabłoń pracował nad dźwięcznym kowadłem w ciemnej, głębokiej niszy. Wyszedł na ich spotkanie, — jasnowłosy, w rozchełstanej koszuli, z młotem na ramieniu. W sztucznie przyćmionem świetle wydawał się jeszcze jaśniejszy i bielszy.

Szukali razem Mańki i nie mogli znaleźć. Uradzili we trójkę, żeby Niekrajewski udał się z początku do kierownika.

Wewnątrz schodkami wszedł na oszklone półpiętro, gdzie się mieściło biuro. Odnalazł kierownika. I w jak najpolityczniejszej formie wyłożył o co mu chodzi.

Kierownik okazał się bezbronny. Uchyłał czoła przed żądaniem mocarstwowej organizacji, o której, zresztą, dowiedział się dopiero teraz. Lecz w sprawie Mańki mógł coś zdecydować, niestety, nie on, — lecz tylko sam dyrektor. Ten, u którego Niekrajewski już był przed chwilą.

Kierownik obiecywał, przyrzekał, że wstawi się za Mańką. że może to wszystko da się odrobić...

Z ciężkiem sercem schodził Niekrajewski po schodkach znów do rozległej czeluści hali. Po drodze skinieniem ręki wywołał Jabłonia. Z nim udali się w kierunku lokomotywy — do Adamczewskiego.

Gdy tam, znów we trzech, debatowali bezradnie nad wytworzoną sytuacją, nagle z jakiegoś kąta, z jakiegoś niedostrzegalnego ukrycia wyłonił się stary Mańka.

— Ja się tu chowam, panie kierowniku! — wy-

dawał się stokroć śmieszniejszy niż zwykle. — Kierownik już tu mnie dziś przydybał i kazał, żeby du-  
chu mego więcej tu nie było!

Równie niespodziewanie spostrzegli w tej chwili zbliżającego się do nich kierownika. Adamczewski i Jabłoń natychmiast odeszli do swej pracy. Mańka zaś schował się za plecami Niekrajewskiego i tak przetrwali, aż tamten oddalił się.

— Nic innego nam nie pozostaje, — Niekrajewski skierował się ku wyjściu, — jak pójść jeszcze raz do dyrektora! — Musiał przyśpieszyć kroku wobec nadjeżdżającej ztyłu lokomotywy.

Żelazne, wielkie drzwi otwały się nagle ze zgrzytem i popychani powolnym ruchem lokomotywy wybiegli z Mańką na podwórko.

— A u pana Tomaszewicza pan był? — przypomniał sobie Niekrajewski. — A oddał pan ten list dyrektorowi?!

— E! — machnął starczą ręką Mańka. — Już to, panie kierowniku, nam się na nic nie przyda! A z listem, ja dzisiaj nigdzie nie chodziłem... Niech już pan idzie do domu, a ja tutaj zostanę, poczekam... Mówiono dziś pomiędzy robotnikami, że zrobią za mną masówkę!

Mijali właśnie portjera. Brodacz zawołał ostrzegawczo:

— Uwaga! Pan dyrektor zaraz wychodzi!!

Mańka, jak mógł najzwinniej, ukrył się za jakimś bocznymi drzwiami. Niekrajewski spotkał odważnie dyrektora — w korytarzyku przed wyjściem.

— Czy pan dyrektor pozwoli sobie towarzyszyć?! — zabiegał mu to z tej, to z owej strony. — Chciałem jeszcze raz bardzo prosić pana dyrektora o tego zredukowanego, starego robotnika Mańkę!

— Ależ panie! — ostro odrzekł zniecierpliwiony

dyrektor. — Właśnie przed chwilą był u mnie jego kierownik. Przecież ten pański Mańka — to jakiś zbój! Chce go koniecznie zabić!! Czyha na jego życie. Niestety więc, — nie mogę tu panu niczem już służyć... — wsiadał do auta, które ruszając, zagłuszyło jakieś ostatnie słowa dyrektora.

Cóż pozostawało Niekrajewskiemu, jak czmychnąć stamtąd w swoją stronę?! Jak najprędzej, biegiem...

Gdy zaś wieczorem dowiadywał się w oddziale o tę zapowiadaną masówkę, usłyszał:

— Nijakiej masówki nie można było zebrać! Zatrzymało się tam kilku naszych, ale i ci — postali, postali i rozeszli się...

Najtrudniejszą konsekwencją redukcji Mańki było dla Niekrajewskiego to, że musiał „na gwałt“ coś znaleźć dla jego córki — Skibiniewskiej.

Lecz nietylko dla niej. Adamczewski, Jabłoń a nawet Dziewańszczak, którzy uważali, że w sprawie Mańki położyli niemało wysiłku, również zaczęli domagać się swego.

Chory na płuca Adamczewski — jakiejś lżejszej roboty. Skłócony ze swym majstrem Jabłoń — przeniesienia do innego. Dziewańszczak — zamiany nocnej pracy na dzienną...

Cóż miał robić z tem wszystkim? Zwalił te sprawy na Tomaszewicza, który oddawna każdemu z nich, jak zresztą wszystkim robotnikom oddziału, — coś przyrzekał, obiecywał... Częstość sam ich do tego namawiał...

Może i teraz wystąpili z tem do Niekrajewskiego pod wpływem przebiegłego konsula, — mszczącego się na nim za nieprzyjęcie proponowanej mu pracy akwizycyjnej!?



Co do Skibiniewskiej, przyszedł z nieoczekiwaną pomocą pan Niebyło. Dał jej posadę w swej fabryczce... Ale deklaracji mocarstwowej jeszcze i teraz nie podpisał!

## LÓDŹ — MIASTO FABRYCZNE

Pewnej niedzieli Indor i Niekrajewski pojechali do Łodzi. Właściwie nikt nie chciał, by z Niekrajewskim jechał Indor. Nie chciał tego Giedymin, wciąż marzący o jakiejś niezwykłej samodzielności Niekrajewskiego wśród robotników. Nie chciało tego również coraz większe ich grono, zazdroszcząc Indorowi dalszego „wybijania się“, przy tym nowym „kursie“.

I pierwszego, i drugich przekonał jednak sam Niekrajewski.

Giedyminowi rzekł:

— Panie sekretarzu, sam pan zawsze chciał, by się Indor wreszcie skompromitował! Niechże on jedzie ze mną, będzie to najlepsza okazja...

A do robotników:

— Proszę panów, pan Indor, który oddawna, na własną rękę utrzymuje kontakt z Łodzią i zapewnia, że jest już tam wszystko gotowe do zorganizowania lokalnego oddziału robotniczego, — musi jechać ze mną. Bez niego, na pierwszy raz, — poprostu nie dam sobie rady... Wprowadzi mnie, jako kierownika całości pracy związkowej na odcinku robotniczym, a sam, jako wice-prezes, będzie reprezentował nasz warszawski oddział...

— Ale dlaczego właśnie on?! Tak samo dobrze może to zrobić kto inny! — wołali coraz liczniejsi przeciwnicy Indora. — Wszędzie i zawsze nikt tylko Indor!! Już i pan, panie kierowniku, dał się jemu opę-

tać! Przecież on już nieraz jeździł do Łodzi z byłym sekretarzem, panem Przechwalskim! A byłoż z tego co?!

Sam Indor nie zabierał teraz głosu w tej sprawie. Od tak dawna już był wszystkim suszył nią głowy, — o rzekomem przygotowaniu gruntu robotniczego do pracy w Łodzi, — że wiedział, iż słuszność jego kandydatury, jako towarzysza podróży Niekrajewskiego, musi ostatecznie ~~przeważać~~.

I przeważała, jak ten jego, przez nikogo, zresztą, niekwestjonowany, a zawsze stawiany na pierwszym miejscu, — punkt wyjścia — Łódź to miasto fabryczne!

Co pod tem Indor ukrywał — niewiadomo. Co raz częściej jednak puszczał ten wykrzyknik, zwłaszcza w miarę, jak dochodziły do niego, najczęściej przez samego Niekrajewskiego, informacje o tem, co do opanowania Łodzi zamierza uczynić związek mocarstwowy.

Związek, rzeczywiście, mógł uczynić niewiele. Tylko tyle, że przez Bohdanowicza, udało się Niekrajewskiemu, poznać w bufecie sejmowym pewnego posła z Łodzi. Nazwisko jego było stale podawane mu z takim naciskiem, że już na tej jedynie podstawie powziął był głębokie przekonanie o powadze wpływów posła.

Przekonanie to zostało zczasem jeszcze bardziej wzmocnione — obietnicą dostarczenia przez posła listu polecającego. Listu do Łodzi, gdzie, jak należało przypuszczać, na samo skinienie posła, w razie odpowiedniego przygotowania gruntu wśród robotników, — mógł powstać oddział mocarstwowy.

Indor kręcił na to z powątpiewaniem swą kędzierzawą głową i jeszcze raz powtarzał swoje:

— Łódź — to miasto fabryczne! C ó s k o l -

w i e k... — nie mógł odmówić sobie dodania tego ulubionego wyrazu...

Pojechali więc z Indorem, biorąc od Bławatkówny 50 zł. do wyliczenia. Do jak najskrupulatniejszego zdania sprawy z każdego wydanego grosza.

Jechali klasą trzecią. Z początku sami, lecz potem — w towarzystwie jakiejś panienki i dwóch młodych ludzi.

W przedziale Niekrajewski siedział w kącie, jak-gdyby czegoś się wstydził. Zato Indor rozpierał się pośrodku ławki. Odświętnie ubrany w porządny, czarny garnitur i lakierki. Przez środek kamizelki — długi i gruby „amerykański“, złoty łańcuszek zegarka.

Z lubością zdawał się wsłuchiwać w rozmowę panienki i jej towarzyszków.

Był to właściwie jeden, długi na dobrych kilkadziesiąt kilometrów kolejowych, — monolog młodej nauczycielki, która, podczas ostatnich letnich wakacji, brała udział w jakiejś zagranicznej wycieczce.

Młodzi ludzie słuchali ją z całą ufnością. Indor, natomiast, z tem dobrem zrozumieniem interesowności imponującego kłamstwa, jakie zmuszało go do przyglądania się nosom swych błyszczących lakierów. Do częstszego niż trzeba zezowania na mosiężną „cebule“ — zegarek.

Posunął się raz nawet tak daleko, iż tonem jakiejś niezmiernej wyższości bąknął coś niewyraźnie w stronę Niekrajewskiego. Żeby tylko inni wiedzieli — kto tu komu przewodzi!

Widocznie, udzieliło się to opowiadającej. Z nadmiernym, coraz wzrastającym zachwytem prawiała więc o tej zagranicy, której poprostu, nigdy nie miała dość.

Ale chodziło jej przecież o nią samą. O skromną, powiedzmy „polską nauczycielkę, która — patrzcie:



Oto na skałach nadmorskich wśluchuje się w krzyk mew i szum morza pod murowanym wiatrakiem morskiej latarni. Lub kiedyindziej, jest zachwycona, porwana niczem innym — jak białem, jak kreda, dnem przezroczystej rzeki...

Gdy wysiadła wreszcie ze swymi młodymi towarzyszami, Indor dotychczas opromieniony zasłuchaniem, rzekł półgłosem, złośliwie mrużąc oko :

— A to ich ubrała! — zachwycał się. — Czego to taka nie potrafi!! Fajna panna! — westchnął, jakby na wspomnienie swej żałoby po żonie. — Takaby się człowiekowi w życiu przydała...

— Skądże pan wie, że ona ich bujała?! — niecierpliwie zapytał Niekrajewski.

— O, panie kierowniku, ja jestem wyuczony! — parsknął zachwytem nad sobą samym. — Ja c ó s k o l w i e k też wiem, chocia i zagranicą nie bywałem!!...

Gdy dojechali wreszcie do Łodzi, wbrew temu, o czem stale zapewniał, — trudno było uwierzyć, że często bywał w tem „mieście fabrycznem“. W Łodzi, bowiem, Indor prawie wcale nie orjentował się. A w sprawie utworzenia tam mocarstwowej organizacji robotniczej, korespondował wyłącznie ze swym szwagrem, łodzianinem, elektro-monterem!!...

Wyciągnęła się przed nimi na całą długość ulicy Piotrkowskiej — niedzielna, odpoczywająca Łódź, — Łódź dnia świątecznego, kiedy pałacyki bogaczy, odosobnione, jak kościołki, — jeszcze bardziej natarczywie wyodrębniają się z pośród różnokalibrowych domów i domków.

Dojechali tramwajem do placu Reymonta. Rynku, targowiska, łódzko-miejskiego wygonu...

Stamtąd było im już „niedaleko“.

Szli bez końca, wzdłuż jakichś malutkich, dREW-



nianych domków — w Łódź robotniczą. Utknęli wreszcie w podwórku z zamrożniętym wodociągiem i tu, jak w zamrożonem gnojowisku, — odnaleźli tego szwagra Indora.

Rodzina elektro-montera jeszcze spała. Czuwała natomiast w sąsiedztwie rodzina bliskich krewnych.

Ojciec — policjant konny, który niedawno powrócił był z obławy za bandytami. Matka — przy gospodarstwie. Córka — robotnica w fabryce czekoladek. Synek — malec. Stary policyjny koń — w stajni przy pełnym, zasłużonym żłobie.

Indor i Niekrajewski doznali naprzód przyjęcia przez rodzinę policjanta. Jeden mały pokoiczek — kuchenka. Ciepła wódka z miodem. Gotowana kielbasa z kapustą. Szerokie opowiadanie policjanta o groźnych podłódzkich bandytach. Mówiąc pocichu — komunistach! Rzekomy bandytyzm był w słowniku policjanta prosto tylko uproszczeniem, obliczonem na jakąś swoistą popularność...

Następnie udali się do już obudzonej rodziny elektro-montera. Pokój z kuchnią. Kielbasa z kapustą i wódka z miodem. Szwagier Indora niedawno był używał pracę. Dotychczas zaś, jego żona, chociaż brzemenna, musiała wytrwać i pracować za dwoje.

Gospodarz opowiadał z zachwytem, jak pewnego razu został zawezwany do mieszkania swego dyrektora, celem uskutecznienia naprawy instalacji elektrycznej. Przy tej okazji miał możliwość podsłuchania, jak córka dyrektora flirtowała telefonicznie przez godzinę ze swym, jak domyślał się — kochankiem...

Córka policjanta była brzydka, ale z tym odcieniem pociągającej kobiecości, jaki charakteryzuje młode, niezepsute robotnice...

Gdy i tu wyczerpała się kielbasa z kapustą, i wód-

ka, już dobrze rozserdeczniony Indor odciągnął nabok Niekrajewskiego:

— Panie kapitanie, — rzekł prosząco, nie patrząc w oczy, — trzebaby teraz nam postawić! Ma pan jeszcze dużo tej forsy z komitetu?

— Mam, mam, — uwolnił go Niekrajewski z nieistniejących skrupułów. — Proszę, niech pan weźmie i kupi wszystkiego, ile potrzeba! — sypał mu w spocną dłoń garść pieniędzy.

Znów więc siedzieli przy stole i pili, już nieokraszoną miodem wódkę, zagryzając przyniesioną przez Indora „rozmaitością“. Czekali na jeszcze kilku robotników, wtajemniczonych przez elektro - montera w sprawę zorganizowania w Łodzi oddziału mocarstwowego.

Robotnicy byli szeroko porozrzucani po mieście. Pozawieruszali się, chociaż, jak zapewniał szwagier Indora, wszyscy na ten dzień mieli trzymać się wpo- gotowiu, naskutek listu Indora z Warszawy.

Ku wieczorowi zebrali się wreszcie wszyscy — sześciu raptem robotników! — przy pustym już stole.

Zebranie to otworzył Niekrajewski.

— Proszę panów, — rzekł, patrząc jak w tęczę — w pysznego, czerwonego, dumnie zasiadającego Indora — przybyliśmy tu do was — ja, jako przedstawiciel komitetu głównego związku wielkiej Polski mocarstwowej, delegowany do pracy w organizacjach robotniczych, — pan Indor, jako wiceprezes naszego warszawskiego oddziału robotniczego!

— To ty już jesteś całym wiceprezesem! — nie chciał uwierzyć szwagier, elektro-monter. — A pan kimże jest w takim razie! — nie umiał sobie określić stanowiska i tytułu Niekrajewskiego.

— Ja jestem referentem całości organizacji ro-

botniczych związku! — awansował siebie Niekrajewski, starając się nie uronić swego autorytetu, ale też żadną miarą nie zaćmić potrzebnego mu tu Indora.

Indor skromnie spuścił oczy i w jakimś niezgrabnem zmieszaniu przebierał bezradnie rękami po szeroko rozsuniętych kolanach. Po ostatniem powiedzeniu Niekrajewskiego, rzucił ku niemu zachęcające, wdzięczne spojrzenie.

Niekrajewski przeszedł więc do dzieła. Do wmówienia w łodzian, że wśród robotników całej Rzeczypospolitej jedynie jeszcze oni nie zostali zorganizowani mocarstwowo. Muszą zaś to uczynić z tych oto dwóch zasadniczych względów: Jak najrychlejszego opanowania ludności robotniczej fabrycznego miasta Łodzi, jednego z największych ośrodków przemysłu. Oraz niepozwolenia wyprzedzenia się w podjęciu tej inicjatywy — przez fabrykantów, którzy, za przykładem polskiego świata arystokratycznego, czynią jak najusilniejsze zabiegi, by w powstającej, przyszłej, mocarstwowej Polsce zająć należne im miejsce.

Łódzcy robotnicy już byli o tem słyszeli. Przyjeżdżał już tu przecież dawny sekretarz Przechwal-ski. Stawał w hotelu — udawał pana. Wciąż ich namawiał, zachęcał do pracy mocarstwowej.

Było ich wtedy, jak teraz, — sześciu robotników. Siedzieli więc cicho, czekali. Czekali na wiele rzeczy. Na nominacje na stanowiska w zarządzie tymczasowym, który mieli tu utworzyć. Na lokal, bez którego niesposób było zebrać większego zgromadzenia. I, przede wszystkim, na pieniądze, mające zapewnić funkcjonowanie najistotniejszego czynnika organizacji — płatnego sekretarza.

Niekrajewski domyślił się — stał za tem wszystkim Indor! To też, ten stwierdzony wpływ jego starał się zrównoważyć czemś swoim. Wciąż więc pow-



tarzał im o tej gotowości fabrykantów, którzy już poczynili w Warszawie daleko idące zobowiązania...Chodzi teraz tylko o inicjatywę! Lokal, sekretarz, nominacje, pieniądze, — to głupstwo!! Grunt, — że inicjatywa musi wyjść od robotników...

To właśnie przywiózł im z poufnego polecenia związku — z samej Warszawy.

Spokojni, cisi, grzeczni, jakże „przyzwoici“ w porównaniu z warszawskimi, — robotnicy odpowiadali na to wciąż jedno: Znają już te szumne zapowiedzi, obietnice i przyrzeczenia! Niechże Niekrajewski sprawi na ich oczach ten cud, żeby fabrykanci łódzcy — pierwsi wyciągnęli ku nim dłoń! Mało — dłoń, — niech się stanie, jak to im właśnie przedstawiał, że otrzymają lokal, pieniądze i płatnego sekretarza!!

Świadczyli ze swojej strony, dla zapewnienia go z kim ma do czynienia, — że nie są żadnymi „socjalistami“, czy też, Boże uchronaj, — komunistami... Wciąż gromadzili przed nim fakty jakichś strasznych, lokalnych nadużyć partyjnych. Szydzili z komunistycznego posła Rosiaka, ich brata - robotnika, który sam, o własnych siłach, był się wybił ponad poziom tej bezwolnej, bezradnej masy...

Trwało to aż do późnego wieczora. Przed samym wyjazdem na dworzec, robotnicy opuścili Niekrajewskiego, a sami gdzieś wyszli z Indorem. Jeszcze coś pomiędzy sobą omówić, jeszcze utkać po za nim jakieś sekretne porozumienie...

Niekrajewskiemu podesłali, natomiast, tę brzydką córkę policjanta. Ubraną teraz w jakąś jaskrawą, kusą sukienczynę... Nad zmęczonym podróżą, wódką i tem długim bajdurzeniem z robotnikami, stanęła w niewymuszonej pozie, wypinając ku niemu kusząco łuk swego młodego ciała.



A że w swej nieskończonej nieporadności nie wiedział co ma z nią począć, — jąła kołysać go opowiadaniem o sobie.

O fabryczce czekolady, o pracy w niej, o codziennym życiu robotniczym i o tem jednym — jedynym, co siedem dni, szczęściu, w którym widziała całą swą uciechę... Szczęściu niedzielnego, odświeżonego marzenia o dalekiej, dalekiej podróży, — gdzieś nad morze. Jakaś wijąca się rzeką w nieskończoność szerokiego świata...

Jak żywa, stanęła Niekrajewskiemu przed oczyma — ta młoda nauczycielka z pociągu! Ta realizatorka tęsknych zamysłów młodej łódzkiej robotnicy...

Myślał przez chwilę o tem, która też z nich bardziej mogła kłamać! Czy ta, która już była po podróży, czy ta, dopiero o niej marząca!?

Wpadł na to do pokoju mały synek policjanta:

— Jaśka!! Co ty tu siedzisz!/? Tam twój przyszedł i czeka... Zły!! — wykrzywił buzię, usiłując nadać jej groźny wyraz gniewu łódzkiego kawalera...

Wkrótce robotnicy wyprawili Niekrajewskiego i Indora w powrotną drogę. Na dworcu musieli długo czekać na pociąg.

Indor po przekonaniu się teraz, że zachowanie Niekrajewskiego w niczem nie zdradzało, podejrzanych, podstępnych zamiarów, — swobodnie wyłuszczył mu:

— Panie kapitanie, Łódź to miasto c ó ś k o l - w i e k fabryczne! — zaczął jak zwykle na ten sam temat. — Sam pan przekonał się jacy oni wszyscy, — miał na myśli sześciu łódzkich robotników — są inni od naszych... To jabym panu kapitanowi tak teraz powiedział: Na nic cała nasza sprawa ze związkami! Ino trzymać się nam pana konsula Tomaszewicza i robić samym, co się da!...

Dopiero teraz Niekrajewski zauważył, że Indor jest mocno podbity.

— Ja z nimi, z tymi robotnikami, co to my pana zostawili samego, — już wszystko pocichu obgadalem. Jak co do czego, jeśliby pan chciał być z nami i z panem Tomaszewiczem, panie kapitanie... C ó ś - k o l w i e k, po całej Polsce, myby się rozszerzyli!

Niekrajewski powstrzymał go:

— Panie Indor! Ja wiem, że pan dopiero teraz do mnie się przekonał. Ale pan mnie jeszcze nie zna! Ja nie chcę ani dla związku, ani dla pana konsula... Ja chcę dla robotnika polskiego!! — wypłatał się zdecydowanie ze zdradzieckiej, aż nadto niedwuznacznej propozycji.

Przyszedeł pociąg. Niekrajewski wpakował do wagonu już kiwającego się — ze zmęczenia po wódce i rozespania — Indora, a sam, w jakimś dziwnym napadzie przecucia czegoś, — jął się tłuc po całym pociągu.

Wietrzył w jego biegu, w niespokojnem chybotaniu, w pogwizdach i szumie, w łaskocie twardych kół, — że oto kiedyś spotka go, jadącego w ten sposób, jakaś nadzwyczajna przygoda. Nagroda za to, co się coraz bardziej wokół niego zwięzało, a zwięzając dusiło. Niemożliwem czyniąc wytrwanie, godzenie się na wszystko — za 300 zł. miesięcznie. I za marną, nikczemną satysfakcję zajmowania stanowiska — kierownika mocarstwowej organizacji robotniczej!

Tak kręcąc się po pociągu, starał się trzymać wagonów I-szej klasy...

W Warszawie wyładował podespanego i już znów gotowego do wypitki Indora, i rzucił go z ulgą. Z radością oddzielając się od niego nocą i dniem — aż do następnego wieczora...

Nazajutrz zaś opętało Niekrajewskiego pragnie-

nie jak najrealniejszego potraktowania wszystkiego, związanego z Łodzią. A więc tych sześciu robotników. Swej z nimi rozmowy, podjudzań Indora... Lecz zwłaszcza — dawniejszych obietnic tego łódzkiego posła, którego był poznał za pośrednictwem Bohdanowicza. I przyrzeczenia napisania przez niego listu do Łodzi!

List od posła do Łodzi — stał się odtąd dla niego jakby wicią, którą miał tam zawieźć, by zapomocą niej rozniecić zarzewie przyszłej, mocarstwowej pracy. Już usamodzielnionej od związku. Już bez mieszania się do wszystkiego — Tomaszewicza, Giedymina, Sochaczewskiego, Bohdanowicza... Gdybyż tylko mógł znaleźć w Łodzi takiego jak Witek sekretarza!!

Niestety, łódzkiego posła trudno mu było złapać. Ułynęło sporo czasu, zanim mógł się z nim wreszcie zobaczyć. Sprawa listu — okazała się jeszcze trudniejsza.

Aż wreszcie poseł, dotknięty w swej dumie telefonicznymi pogrózkami zbuntowanego przez Niekrajewskiego Giedymina—zgodził się. Całkowicie jednak wycofując się z dalszego, bezpośredniego udziału w całej aferze na terenie Łodzi.

W ciągu tego czasu, z Niekrajewskiego już w znacznym stopniu był ulotnił się pierwotny jego zapal. Nie pozostawało jednak teraz nic innego — jak pchać to dalej...

Pojechał więc do Łodzi i pchał. Sam, bez Indora, na którego udział w wyprawie nie mógł już liczyć — po tem jego pierwszym, doszczętnem skompromitowaniu się.

Napozór sprawa wyglądała zupełnie łatwo. To też Niekrajewski ułożył sobie taki plan: Wpadnie naprzód do elektromontera. Uprzedzi, żeby robotnicy zebrali się tam wieczorem. A sam tymczasem załatwi



to wszystko, co list posła, zdawało mu się, — czynił zabawnie prostem.

List zaniósł pod adresem pana, zajmującego poważne stanowisko w największym łódzkim związku przemysłowym. Z tego, jak został tu przyjęty, przekonał się, że winien być jak najlepszej myśli.

Zaufany posła bez najmniejszego, zdawało mu się, ambarasu — skierował go do jakiegoś wszechmocnego dyrektora Kokilki.

Niekrajewski święcie wierzył, że przekona teraz do wszystkiego łódzkich robotników. Oto porozumiał się był z jednym potentatem. Teraz poleci do innego, od którego zależało już tylko powiedzenie jednego słowa — a tu wpadną w ich ręce: Lokal, pieniądze i ten koniecznie potrzebny, miejscowy figurant — sekretarz...

Dyrektor Kokilka był człowiekiem rzeczowym. Już na wstępie uderzył Niekrajewskiego tym swym zasadniczym sposobem ujęcia sprawy.

— Dlaczegoż to pan nie przychodzi do mnie bezpośrednio!? — zdawał się być oburzony. — Dlaczego poseł nie zwrócił się z tem odrazu do mnie, lecz za pośrednictwem tego Niemca!? — przez pewien czas uważał za konieczne wyluszczać Niekrajewskiemu — jasną mu niewłaściwość tego pośrednictwa pomiędzy nim, a delegowanym z Warszawy mocarstwowcem.

Odpowiednio oceniając ten moment, Niekrajewski starał się przekonać dyrektora, co do swego:

— Nie wiem, czemu to tak zrobił pan poseł!? Ale my — związek mocarstwowy w Warszawie — pragniemy, panie dyrektorze, współdziałać tylko z panem! Jak pan to postawi na terenie Łodzi, tak też Warszawa to zaaprobuje... Panowie Rybiński, Słomiński, Strumieńscy!! — wciąż wymieniał nazwę stolicy, nazwiska wszystkich znanych mu arystokratów.



Kokilka jednak o niczem jeszcze nie wiedział. Trzeba więc było opowiedzieć mu wszystko od początku. Kończąc znów na tem, — jak z robotnikami, — że nie tylko w Warszawie, ale we wszystkich większych centrach Rzeczypospolitej, związek już zorganizował ich mocarstwowo.

Pozostaje tylko ta Łódź, w której rzesze robotnicze, co prawda, są już oddawna przygotowane. Brak tylko środków materialnych: Lokalu, odpowiedniego płatnego funkcjonariusza, — człowieka miejscowego, wyznającego się w tutejszych stosunkach...

Kokilka słuchał go ze skupieniem.

Coraz pewniejszy siebie Niekrajewski, już się był nadobrze tu rozsiadł — w gabinecie dyrektora, w fotelu przy biurku. Już się powielekroć zapoznał z zawartością dyrektorskiej papierośnicy.

Dyrektor, zdawało się, zgadzał na wszystko. Obawiał się tylko jednej rzeczy — wiążącego, zdecydowanego przyrzeczenia.

Odpowiedział więc krótko:

— Proszę wracać do Warszawy i jeszcze trochę wstrzymać się ze stawianiem na nogi łódzkiej organizacji panów... Ja się rozejrzę. Porozumię się jeszcze z panem posłem... Muszę też uzyskać zgodę moich naczelnych władz fabrycznych. Sądzę jednak, że fabryka będzie w stanie ofiarować panom lokal... Myślę też, że znajdą się pieniądze na opłacenie tego sekretarza, o którym pan mówił!

Niekrajewskiemu strzeliła nagle do głowy świetna myśl. A może, w takim razie, samemu warto zostać tu, w Łodzi, sekretarzem tych robotników!?

W Warszawie przecież, wiedział dobrze, nie mógł już długo pociągnąć! Poza tem miał tam tyle na karku... Wreszcie — przyrzekł przecież kiedyś Witkowi, że go czasem usamodzielnii...

— Ale niechże pan tylko — przestrzegają dyrektor Kokilka — nikomu nic o mnie nie wspomina! Ani słóweczka, ani domyślnika... Jestem na takim stanowisku, że mi to wręcz uniemożliwia wdawanie się w tę waszą politykę!... A, o tem, co się tu robi, zawiadomię listownie związek i pana. Wtedy niech pan przyjeżdża!

„Polityk“ Niekrajewski z wdziękiem opuścił dyrektora. Lekko przedefilował przez poczekalnię — malutką, czystą, białą, jak pokoik apteczny, — i sunął wzdłuż fabryki, raz wraz spozierając w jej liczne okna. Tak mu pilno było do tych łódzkich robotników!

W oknach jak zwycięski sztandar pławiło się odbicie czerwonej zorzy wieczornej... Zresztą, wielka fabryka była nieczynna...

Ze znanych mu sześciu robotników, nie wszystkich zastał u elektro-montera. Brak ich pokrył był sobie jednak tą radością, z jaką teraz mógł im wmawiać — pewność dokonania oczekiwanego przez nich „cudu“.

Wszystko już jest gotowe. Sam dyrektor Kokilka zgodził się dać i lokal, i pieniądze!

Widział jak robotnikom zaimponowało—głośnie, widocznie, wśród nich — nazwisko wysokiego dyrektora.

— Więc teraz, proszę panów, proszę się tylko porozumieć pomiędzy sobą. Naagitować jak najwięcej członków! Ja tu panom wydam narazie nominacje tymczasowe — rozdawał im zawczasu przygotowane papierki, wpisując już tylko nazwiska.

A tak już było w tym świecie „pracy społecznej“, że agitując wśród robotników zawsze należało mieć wpogotowiu jakiś papierek. Inaczej — nikt nie chciał wierzyć, lekceważył sobie agitatora...

— Ja tu jeszcze raz przyjadę, jak się dyrektor

Kokilka porozumie z panem posłem! Przygotujemy walne zebranie. Zaprosimy pana hrabiego Rybińskiego. Delegatów poszczególnych naszych oddziałów robotniczych z całej Polski!!—prawił im wciąż wierutne głupstwa o istnieniu wszędzie tych oddziałów, wówczas gdy był tylko jeden w Warszawie. — Zrobi się wielka uroczystość, staniemy odrazu na nogi, zaczniemy funkcjonować... Zobaczą panowie — opanujemy całą Łódź!!

— Daj to Boże... — jakoś po babsku odpowiedzieli robotnicy.—Daj Boże, żeby pan był szczęśliwszy od pana Przechwalskiego, co to też tu jeździł do nas, i też zdawało mu się, że wszystko dobrze pójdzie...

Niekrajewski powrócił do Warszawy, jak triumfator. Nie popsuło mu tego nawet — znów napróżne szukanie w drodze jakiejś wymyślonej przygody...

Podróż powrotna udała mu się jednak tylko o tyle, że spotkał na dworcu w Łodzi jednego z pomniejszych członków komitetu głównego, który, by być z nim razem, zafundował mu bilet do Warszawy. Bilet drugiej klasy.

— Jeszcze trochę, — myślał — a zaczęę jeździć pierwszą! Co to znaczy mieć do czynienia z Łodzią! Wielki przemysł...

Musiał na tę swoją pierwszą klasę czekać dość długo. Widocznie, dyrektor Kokilka i poseł łódzki mieli niemało rzeczy do uzgodnienia!

W każdym bądź razie obiecywane przez Kokilkę zawiadomienie nigdy nie nadeszło...

Zrealizowała się wkrótce tylko ta jedna, najbardziej, zdawało się, fantastyczna dla Niekrajewskiego rzecz — bilet I-szej klasy na przestrzeń Warszawa—Łódź i zpowrotem...

Ale przedtem wypadło mu jeszcze coś innego...

<http://rcin.org.pl>



## BAL MURZYNÓW

Oddawna już, pomiędzy warszawskimi robotnikami mocarstwowymi, była mowa o tem, że, za przykładem innych organizacji społecznych, należałoby w oddziale urządzić zabawę.

Tymczasem karnawał zbliżał się ku końcowi, a oddział robotniczy wciąż nie mógł się zdobyć na wydanie balu.

Coraz wyraźniej bowiem zarysowywał się wśród robotników podział na lewo i prawobrzeżnych, rozdzielonych linią demarkacyjną Wisły. Po jednej stronie królował wszechpotężny Indor, po drugiej — coraz mocniej zaczynała się uwydatniać łączność pomiędzy jego przeciwnikami, skupiającymi się wokół Adamczewskiego i Jabłonia.

Projektowany bal miał stłumić chwilowo te wzajemne robotnicze rozgoryczenia. Przedłużyć stan stałego wicherzenia w oddziale — ukrytych, niezbadanych wpływów. Odsunąć w czasie to, co zdawało się zbliżać w sposób nieunikniony: Jakiś ponowny rozłam...

Długo zapowiadany, uchwalany, wielokrotnie utracany i znów na nowo dyskutowany projekt zabawy, dojrzał wreszcie do zrealizowania.

„Oдноśna“ uchwała wyłonionego komitetu balowego brzmiała tak:

„W dniu..., pod protektoratem JWPP. hrabiego Rybińskiego i ministra Tomaszewicza, na sali Warszawskiego Oddziału Robotniczego Związku Wielkiej Polski Mocarstwowej, odbędzie się zabawa taneczna z obfitym bufetem i licznymi niespodziankami. Cel kulturalno-oświatowy, oraz na rzecz robotniczego przysposobienia wojskowego. A jak się co zostanie, to na zasiłki dla bezrobotnych członków oddziału“...



Chodziło jednak najwięcej o różne szczegóły, będące właśnie przedmiotem długich, zaciętych sporów.

Ile winien wyasygnować na zabawę komitet główny? Jaka ma być cena biletów wstępu? Kto się zajmie bufetem, „niespodziankami“, tańcami? Jak podzielić wśród robotników role gospodarzy? Co się faktycznie stanie z przewidywanym czystym zyskiem!?

Orkiestrę zobowiązał się sprowadzić z Woli wesoly tramwajarz Dziewańszczak. Niespodziankami, jako pomysłowy projektodawca, miał się zająć Witek. Płatną szatnię, w celu zarobkowym, zdobył sobie Jaskółka z kilku również bezrobotnymi. Stary Mańka otrzymał do dyspozycji tualetę dla pań.

Gorzej, natomiast, było z bufetem. Wymagał on pewnego wkładu, ryzyka finansowego, oraz niemałej przedsiębiorczości i odwagi. Wtedy to wysunęła się przed Niekrajewskim nowa postać robotnicza. Rzeźnik — były starszy szeregowiec. Robotnik z jatki miejskiej, posiadający brata — współwłaściciela jakiegoś szyneczku.

Robotnicy nie chcieli o tem nawet słyszeć. Wyobrażali sobie tę sprawę bufetu — załatwioną całkiem inaczej. Pieniądze musi dać komitet główny związku. Bufetem zaś zajmie się specjalnie wybrany komitet robotniczy.

Tymczasem z pieniędzmi było właśnie bardzo źle. Z kasy Witka można było ściągnąć śmiesznie mało. A Giedymmin robił takie trudności, że mogła być za ledwie mowa — o nabyciu tych Witkowych niespodzianek, fantów do loteryjki, którą miał uruchomić podczas zabawy.

Obok tych trudności finansowych, stanęła na przeszkodzie również kwestja lokalu. Korwin, który

— rozwijając kompanję w cały bataljon, — znów powrócił do swych zbiorok przysposobienia wojskowego, — za nic nie chciał się zgodzić na oddanie sali do dyspozycji komitetu balowego...

Mijały w ten sposób długie dni przygotowań. Wyłaniały się coraz piętrzące się trudności. Splatała się misterna sieć intryg, a już conajmniej — nieporozumień... Skończyło się na tem, że do dnia balu przebrnięto niemal przez wszystko — prócz uzyskania subsydjum z komitetu związkowego i odwołania na ten dzień zbiórki przysposobienia wojskowego.

Co do subsydjum, robotnicy obiecywali powetować to sobie po balu. A narazie zdawała się wystarczać im myśl — umiejętnego obstawienia podczas zabawy hrabiego Rybińskiego, który obecność swą święcie był przyrzekł.

Sądząc z poczynionych przygotowań, bal robotniczy zapowiadał się doskonale.

Witek porozsyłał pięknie i drogo drukowane zaproszenia — nawet do najwyższych dygnitarzy państwowych. Nawet do przedstawicieli pewnych państw obcych.

— Zobacz pan, panie kierowniku! — odgrażał się, gdy Niekrajewski mu to kwestjonował. — Jeszcze ich wszystkich powciągam na członków honorowych oddziału! Przecież robotnicy są w każdym kraju!!

Każdy z członków oddziału, a już przedewszystkiem członkowie komitetu balowego, musieli wziąć po kilka i kilkanaście zaproszeń. Żeby było jak najwięcej gości, by rozprzedać jak największą ilość biletów wstępu.

Niekrajewski, dla przykładu, wziął również kilkanaście. Przez kilka dni chodził z niemi po swych znajomych, rozdając te zaproszenia, wyciągając na przyrzeczenia, przynajmniej obietnicę przybycia.

Powszechnie wyrażano obawę, iż z powodu nadzwyczaj silnego mrozu — zabawa się nie uda. To też, by zachęcić gości, gwałtownie obniżono figurującą na zaproszeniach cenę biletu wstępu... Bufet uzupełniono gorącymi daniami, które miały być zawczasu przygotowane. A do właściwej temperatury — doprowadzane w ostatniej chwili, na żelaznym piecyku, usuniętym na czas zabawy, — znów do pokoju Dziewańszczaka.

W dniu kiedy miała się odbyć zabawa, rzeczywistość gwałtownie mroźniejszym od już dostatecznie zimnych poprzednich, Niekrajewskiemu pozostało tylko jedno zaproszenie.

Pragnąc je wykorzystać, starał się namówić na bal swego leżącego kolegę. Potem dozorcę i windziarza... Wszędzie, niestety, spotkała go odmowa.

Wpakował je wreszcie kelnerowi, wraz z zapewnieniem, że bilet wstępu kosztuje tylko jedną złotówkę.

Tak uhonorowany kelner przyrzekł przybyć z żoną. Albo przysłać kogoś młodszego z rodziny lub znajomych.

Na tę intencję Niekrajewski zjadł u niego jeszcze solidniejszy niż zwykle obiad, i o zaledwie zapadłym zmierzchu wyruszył do oddziału.

Tu wszędzie panował gorączkowy ruch przedbalowy. Gorączkę tę podniecało zwłaszcza to, że sala zbiórek — jedyna sala do tańca — była dotychczas zamknięta na kłódkę.

Przed przybyciem Niekrajewskiego rozesłano już robotników celem odnalezienia Korwina. Przysposobienie wojskowe i tak dziś nie funkcjonowało, a pokój komendy był już przygotowany na przyjęcie co znamienitszych gości.

Po kątach, robotnicy jeszcze się spierali, czy



słusznie się stało, że bufet został powierzony Rzeźnickiemu? Czy nie za dużo on na tem zarobi?!

Witek, któremu w tym dniu przypadła w magistracie pozabiurowa płatna funkcja, zastrzegł sobie odszkodowanie w wysokości 25 zł. i przybył już na zabawę. We fraku, w białych rękawiczkach.

Wogóle wszyscy z już zebranych aranzjerów balowych byli ubrani wykwintnie. Na czarno, przeważnie w lakierkach.

Tylko Mańka i Niekrajewski byli ubrani, jak zwykle. To też nawet nie zdejmowali płaszczy.

Dobrze staremu Mańce, który już czuwał, odgrodzony przy tualecie dla pań, ale za to Niekrajewski — kierownik, gospodarz, receptor!!

Szczęściem — wziął go w swe obroty bufetowy Rzeźnicki. Jego, Witka, Indora i kilku co ważniejszych.

— No, żeby nam się dobrze działo! żeby się udało!! — nalewał im po dużym kielichu. — Aby żyć, panie kierowniku!

Wypili setnie z pomusztardowych zielonych szklaneczek i zagryźli — bez rachuku, bez zapisywania. Jeszcze się to wszystko powinno dziś wrócić! Pokryć — z wspaniale zaopatrzonego bufetu!

Na to właśnie został sprowadzony, odnaleziony wreszcie Korwin.

Po kilku „musztardowych“ okazało się, że właściwie, nic nie stoi na przeszkodzie w oddaniu do dyspozycji robotnikom sali głównej. Zastrzegł sobie jedynie, że tak on, jak jego „komendanci“ muszą mieć prawo wolnego wstępu na zabawę, oraz podobnie — korzystania z bufetu. Salę zaś potrzebuje mieć dopiero nazajutrz rano, na jakiś wykład...

Szybko zbliżał się późny wieczór — zbliżała się chwila rozpoczęcia zabawy. Na salę, do bufetu —



w pokoju sekretarjatu, do poczekalni, w której teraz porozstawiano stoliki, napływało coraz więcej gości.

Przybycie ich było za każdym razem oznajmiane wytwarzanym przy wejściu hałasem. Tam, przy drzwiach na schody, stał stół, który zagradzał wejście. Usadowiono przy nim dwóch co najtęższych, z najmocniejszymi głowami, najnieustępliwszych członków oddziału. Mieli za zadanie sprzedawać bilety wstępu.

Na schodach zaś było wielu takich, którzy radzi by byli dostać się do środka bez opłacania tego haraczu. Chyłkiem — za płacącymi, prawdziwymi gośćmi... Stąd stały hałas przy drzwiach, kłótnie i borykanie się.

Do pokoiku komendy, w którym mieli być podejmowani tylko wybrani, gdzie schronił się Niekrajewski wobec napływu elegantów i elegantek — w różowem, białem, błękitnem, zielonem, — została wreszcie sprowadzona orkiestra. Grała już bez przerwy od kilku dni, rozrywana przez różne komitety zabawowe...

Jako gospodarz, musiał Niekrajewski wykonać obowiązek odpowiedniego przyjęcia muzyków.

Dyrygował nimi harmonista, mały, skurczony, karzełek - garbus. Z wesołą, niepasującą mu twarzą miłego łobuza, rozczochranego „antka“, ułomnego apasza...

Gdy tak popijał z nim i jego pomocnikami, do pokoiku wpadł zalterowany Witek:

— Panie kierowniku, pan hrabia idzie! — zawołał.

Okrzyk ten przeniknął do bufetu, do poczekalni i na salę tańca, gdzie narazie spacerowano parami. Podniósł nastrój, ożywił, rozpoczął zabawę...

— Tusz! W a l á j! — wrzasnął ze swej szatni

na muzykantów Jaskółka, po zdjęciu z Rybińskiego futra.

Gdy przez próg wchodził do pokoiku hrabia, już mu zagrały na spotkanie — harmonja, skrzypce, bęben. Już czekał na środku stołu, zastawionego co najlepszymi butelkami, ogromny kieliszek słodkiej wódki.

Obstąpili go wokoło robotnicy, coś wołali, o coś prosili. Wśród tego hałasu ścisnął im dłonie, poklepywał po usłudnie podstawianych ramionach, pił jeden za drugim duże kieliszki, wznoszone na jego cześć i zdrowie.

Tymczasem, z sali za cienką ścianką, rozległy się dźwięki muzyki „do tańca“, przeniesionej po owym „tuszu“ orkiestry.

W chwili krótkiego w pokoiku zacisza, rozczulony tem Niekrajewski przepił do Rybińskiego:

— Panie hrabio, — pierwszy raz go tak tytułował, — napijmy się za pomyślność tego wszystkiego! — wydawało mu się, Bóg wie co, na myśl, że on tu sam z Rybińskim, pośród tylu robotników...

Wypili, lecz nie zdążył mu Rybiński odpowiedzieć, gdy do pokoiku wpadło kilku wodzirejów, — podpitych, połyskujących elegancją, z ogromnymi wstążkowymi odznakami...

— Panie hrabio! — wołali. — Panie prezesie! Nikt nie chce zacząć bez pana!! Nie śmieją, znaczy się, tańczyć, póki pan nie będzie łaskaw!

— Tak, tak, tak!! — podchwycili zebrani, bijąc w dłonie, jak do oklasku. — Pan hrabia w pierwszą parę! Musi, koniecznie musi!!

Wtem, wśród stłoczonych robotników, ktoś usiłował zrobić szerokie przejście. Bez namysłu roztrącał, usuwał stojących mu na drodze. Aż w tak utorowa-

nym przesmyku ukazał się Witek z dwiema jasnowłosemi, dorodnymi pannami w różowym i błękitnem.

— Pan hrabia pozwoli, to nasze „miss polonje“! — kłaniał się.

Za Witkiem i pannami weszła Skibiniewska z małą, wymizerowaną dziewczynką:

— Tak, tak, panie hrabio, prosimy wybierać! To moje kuzynki... A to córeczka, panie hrabio! — wysunęła ku niemu zabiedzoną dziewczyninę. — Takie biedactwo mizerne! Żeby też pan hrabia był łaskaw pomóc! Wysłać ją kiedyś gdzieś na letnisko..

— Doktora może!? — poruszył się Rybiński. — Mam bardzo dobrego domowego lekarza! — żywo zainteresował się dziewczynką. — Niech mi pani tylko da adres, ja go zaraz przyślę...

Wśród dziękczynnych lamentów Skibiniewskiej, wybrał z dwu dziewic — subtelniejszą, w błękitnej sukience, i ruszył z nią poprzez wesóły rozgwar ku głównej sali.

Za hrabią wszyscy tam pociągnęli. Nawet Niekrajewski, jeden-jedyny nie zdejmujący płaszcza.

Szeroka, niska, zazwyczaj skąpo oświetlona, brudna sala zbiórek przysposobienia wojskowego, — przedstawiała się teraz zupełnie inaczej.

Dźwięki orkiestry, zwiększona ilość żarówek, ofiarowanych przez ułagodzonego przy wódce Korwina, trochę błyszczących resztek ozdób z choinki... Lecz nadewszystko — ten liczny komplet gości, zapelniających, jak nigdy dotąd, całą pustkę sali! Ta elegancja mężczyzn! Ten eteryczny szyk różnobarwnych, balowych, damskich kreacyj!!

Poza tem — weselość. Raj dla duszy. Prześwietny harmider zabawowy, wdzierający się we wszystkie zakątki. Wciągający w wir tańca — nawet najbardziej trzymających się nauboczu...

Gdy zabrakło niewiast, mężczyźni tańczyli ze sobą. Gdy muzyka przestawała grać na chwilę, zachęcano ją podniecającymi okrzykami...

Wśród tego ruchu i „życia“, pełnych zabawy i śmiechu, tańczył z subtelną blondyną hrabia Rybiński. Już ozdobiony ogromną wstęgą. Już czerwony na twarzy, coraz czerwiejszy, purpurowy...

Pomiędzy tańczącymi prześlizgiwał się „gospodarz sali“ — spocony, zziąjany Dziewańszczak, posypując czemś białem, chropawą podłogę. Wskutek tego ciemniała jak od wilgoci, i nabierała połysku jak po froterowaniu...

Było coraz huczniej, weselej, radośniej — że oto wszyscy tak tu razem!...

Ubranemu w swą nieodstępną jesionkę, nietańczącemu Niekrajewskiemu, stale asystowała Skibiniowska z córeczką. Druga jej kuzynka, w różowym, tańczyła z Witkiem.

Pod wpływem jej towarzystwa, nie mógł Niekrajewski zapomnieć i o Mańce. Wyciągnął go więc, już drzemiącego, z poza przegródki z napisem „Tualeta dla pań“, i poczęstował wódką w bufecie, gdzie już był sobie otworzył rachunek.

Wypić, Mańka wypił, lecz nie dał się — nie wiedzieć dlaczego — wyciągnąć na rozmowę. Był jakiś skwaszony, i chętnie powrócił do swego tajemniczego zakątka, niedostępnego dla innych mężczyzn.

Poza tem Niekrajewski, wciąż pod rękę ze Skibiniowską, wałęsał się wszędzie, gdzie mógł. Zaglądał we wszystkie kąty — czy gdzie niema w czem jakichś braków, uchybień...

Gdy tak krążyli w tłumie, nie zagrzewając nigdzie miejsca, dobiegło go raz od strony wejścia wołanie:

— Panie kierowniku! Panie kierowniku!!



Znalazł się przed gromadką kilku spóźnionych gości — pań i panów. Byli jeszcze w płaszczach, dopiero co przeszli obok tego stołu z biletami wstępu.

— A, to pan jest tutaj kierownikiem! — zawołał mu na spotkanie nieznajomy elegant. — Proszę pana, chciałem panu tylko tyle powiedzieć: My już swoje zapłaciliśmy, ale poco panowie ogłaszacie, że wejście kosztuje złotówkę od osoby, a bierzecie po trzy złote?! — pokazywał Niekrajewskiemu zaproszenie, które dziś był wręczył swemu kelnerowi, i jednego z tych „nieugiętych“ przy drzwiach, który tłumaczył się:

— Panie kierowniku, my tak od wszystkich bra-  
lim!... Co innego, — zwrócił się do nowych gości, —  
zaproszenie, a co innego bilet!... My już to sobie do-  
brze wykalkulowali... Jak raz na to gość idzie, to czemu  
nie!? Jak już jest — to brać pieniądze i kwita!

Zajście to zrobiło pewien wyłom w „rygorach“  
zabawy. Naprędcie uchwalono między „gospodarza-  
mi“, żeby wobec późnej pory wpuścić do środka tę  
gromadę, dotychczas marznącą na schodach, przed  
wejściem. Wpuszczać nieodrazu, lecz potrochu, pa-  
rami, po kilka par...

Odtąd tłum „zaproszonych“ zaczął stopniowo po-  
większać się przez nieproszonych. Nieśmiało, po pod-  
ścianami, przenikali przez to niedostępne dla nich do-  
tyczas wejście, i gubili się w balowym tłumie. Brud-  
ni, źle ubrani...

Tak, na czele najuboższych członków oddziału —  
bezrobotnych z nizin wawerskich — na bal robotniczy  
wszedł Dera...

Podniecona na początku, przybyciem i ochoczym  
udziałem hrabiego Rybińskiego, zabawa, po jego odej-  
ściu, jakby nabrała jeszcze większej swobody i roz-  
machu. Korzystając z tego, Niekrajewski, jedyna już

teraz tutaj osoba z „wyższej sfery“, — nadobrze usadowił się w odosobnionym pokoiku komendy. Przygotowana tam, na przyjęcie hrabiego, ilość flaszek, zamiast się zmniejszać, rosła coraz więcej i więcej.

W bufecie Korwin raczył się bezpłatnie w otoczeniu swych „komendantów“. Posprowadzani przez niego „czynni“ podoficerowie, współpracujący w robotniczym przysposobieniu wojskowym, — mocno już sobie podpiłi, i z nieukrywanym wyrazem politowania, patrzyli wokół na „cywilną hołotę“.

Wybuchały tam co chwila jakieś krótkie spory, powściągane usilnem łajaniem i tęgą ręką „gospodarczy“. Zalewane potem pospołu przy bufecie Rzeźnickiego.

Rzeźnickiemu jednak nie było sądzone triumfować przez cały czas przy bufecie. Ktoś, bowiem, podpatrzył, zmiarkował, obliczył — że zarabia na tem zbyt wiele. Rozeszło się to w mgnieniu oka wśród „zainteresowanych“. Wywołało oburzenie, protesty...

Rozsądził je najtrafniej sam Rzeźnicki, który zaproponował Niekrajewskiemu niezwłoczne utworzenie „komisji bufetowej“. Do łona komisji „podstawił“ od siebie swą żonę, a sam ulotnił się na salę tańca.

Tu wszystkich wkrótce zaszachował. Ogromny — do sufitu chłop, pełen dobrodusznego humoru i niewyczerpany w wysiłku tanecznym...

W tym czasie otoczenie Niekrajewskiego niejako ostatecznie się ustaliło. Indor, Adamczewski, Jabłoń, Dziewańszczak, który podłogę na sali doprowadził już do tego, że goście padali jak na ślizgawce. Jaskółka — nic teraz w szatni nie mając do roboty. Poza nimi, kilku mniej znaczących robotników i Skibiniewska z córeczką.

Siedzieli sobie, popijali, — przymknąwszy na wszelki wypadek drzwi, żeby nikogo nie kusić.

Wtem odzewnątrz ktoś zaczął się do nich dobi-  
jać. Ktoś pchał drzwi do środka, jakby nie wiedział,  
że się otwierają nazewnątrz.

Krewki bokser Jaskółka już tam skoczył, gotów  
do odrzucenia napastnika. Okazało się jednak, że jest  
to jeden z gości. Krępy, mały blondyn, pijany już od  
początku zabawy. Wciąż tajemniczo włóczący się  
w tłumie, jakgdyby czegoś poszukiwał.

Niekrajewski wstał na jego spotkanie. Tamten  
podszedł tak blisko, że prawie wlaźł na niego. Wymie-  
nił nazwisko, tytuł inżyniera, fabrykę, w której pra-  
cował, a w której oddział nie miał nikogo.

Gdy się o tem dowiedzieli robotnicy, przygarnęli  
go ku sobie, przytulili, zaczęli pić — na otrzeźwie-  
nie...

Obecność inżyniera skrępowała Niekrajewskiego.  
Zawsze — był to „inteligent“!

Prócz tego — za nic nie chciał usiąść. Stojąc  
przed Niekrajewskim — mały, gruby, pijany, —  
wciąż trącał go w brzuch, mrużąc:

— Ja tu właściwie — na dziewczynki... Szukam  
sobie... jakiego ciała... A macie tu dwie... Ho-ho-ho!!  
P a r l e z v o u s f r a n c a i s ? — zapytał nieoczeki-  
wanie.

— O u i, — odrzekł tępo Niekrajewski.

— A, nie, nie, — zamachał tamten rękami. —  
To teraz będzie za trudne... Ale ja chcę dziewczynki...  
Rozumie pan!? V o u s c o m p r e n e z , m o n -  
s i e u r ! ?

Wykorzystał to Niekrajewski, by go posadzić  
przy sobie, a ze względu na robotników — zagadać,  
zatuszować...

— Pan inżynier mówi, — zwrócił się do swego  
otoczenia, — że w tej fabryce, gdzie pracuje, może

wyrobić jedno miejsce dla niewiasty, — dodał w stronę Skibiniewskiej.

— O! — zawołała. — To ja tu zaraz sprowadzę swoje dziewczyny! I tak już zadługo tańczą! Pozamęczają się, poprzeziębają... Idź-no, — schyliła się nad córeczką, — powiedz im, że pan kierownik prosi, by tu zaraz przyszły... One u mnie obie bezrobotne! — poinformowała.

Ku ukrywanemu zadowoleniu Niekrajewskiego, zjawily się różowa i błękitna pod opieką Witka.

Po zmęczeniu w tańcu wydały mu się jeszcze bardziej ponętne, niż przedtem. Jasnowłose, z ładnymi rysami, wesołe, w długich sukienkach z małutkimi dekolami. Z obnażonymi, białymi, jędrnymi rękami. Wysokimi, opiętymi, wydatnymi biustami... Gdzie tam do nich „jego“ Bławatkównie!!

Lecz wszystkiemu przeszkadzał pijany inżynier. Przystawiał się obcesowo do obu dziewcząt. Prawił im komplementy, po komplementach—„tłuste“ kawały. Całował wzdłuż po rękach. Chciał zaglądać do dekolów...

Śpiewał przytem: — „Pocałunek kochanki pachnie niby trujący kwiat...

Gdy zaś wrywały mu się, uchylały, — szybko zniechęcił się do tego „flirtu“ i znów włożył na Niekrajewskiego. Teraz już śpiewał: — Pocałunek kucharki daje kotlet, a czasem dwa... — na tę samą melodję.

— A, panie, co ja z takimi będę sobie głowę zawracał! — powiedział głośno. — Pójdę lepiej na sałę, tam są jeszcze ciałka! N'est-ce pas?! — zataczając się, starał się dostać do drzwi.

Pomagał mu w tem Jaskółka. Mógł zdławić, stłamsić, poturbować na nic inżyniera, jednym ude-



rzeniem swej boksterskiej pięści. Ale nie, — wiódł go ostrożnie pod łokieć, zanim nie wyprowadził za drzwi.

Teraz już mógł Niekrajewski wziąć na siebie te Witkowe „miss polonje“. Korzystając więc z chwilowej przerwy w tańcach, kazał sobie sprowadzić orkiestrę.

Wszedł garbus ze swoimi, i po wypiciu na porzepienie, mrugnął dziarsko do Niekrajewskiego:

— Coby tu takiego zagrać panu kapitanowi? — już wiedział, że Niekrajewski jest „kapitanem“.

— Może pan się jeszcze napije? — spodobał się karzeł Niekrajewskiemu.

— Nam za dużo nie można, panie kapitanie! Jak tak kilka nocy gra się bez przerwy... To nie to, co w wojsku! — wspominał, zdawało się, dawne, dobre czasy. — Ja też kiedyś byłem w wojsku, panie kapitanie! — strzelił wesoło okiem.

— Tak, tak, panie kapitanie, — potwierdził Dziawańszczak, — ten mały był w wojsku, sam widziałem — chłopak był jak się patrzy...

— Jak Boga kocham, w ułanach byłem! — wyznał harmonista przed całym towarzystwem. — Całą wojnę przesłużyłem i nic — choć na koniu dzień i noc! A po wojnie, pojechałem do domu na urlop... Grusze wtedy obrodziły... Wlałem sobie na sam czubek i jak oberwę się!... Z początku, zdawało się, — nic. Ale poleżałem w szpitalu, a potem zrobiłem się taki mały... — przekomarzał się ze swem kalectwem. — No, chłopcy! — zawołał do muzykantów. — Zagramy coś panu kapitanowi! — zabierał się do swej harmonji, przebierając stopami po miechu.

— Ale co? Co? — dopytywali się inni.

Niekrajewski zamyślił się:

— Niech zagrają walc M i s s o u r i, umiecie? — rzekł w tem zamyśleniu. Pamiętał go z jakichś daw-

nych swych, wojskowych czasów. Chciał więc usłyszeć to teraz, w wykonaniu tej dziwnej orkiestry, w jakże innym otoczeniu...

Lecz z pierwszymi tonami walca wlaź znów pijany inżynier. Balansując rękami, kołysał się w takt płynnej melodji.

W pewnej chwili, gdy rozpoczynała się odnowa, zanucił głośno: — *Bal murzynów, sk... y synów, już rozpoczął się...*

A gubiąc po pijanemu słowa i takt, wrzasnął nagle nad jedną z blondynek: — *Murzyn murzynkę wziął za cytrynkę... i chwycił ją za pierś.*

Poderwał go pod ramię Witek i rozśpiewanego wyprowadził z pokoju. Na nikim, zresztą, nie zrobiło to większego wrażenia. Niekrajewskiego jednak wyprowadziło z dotychczasowej równowagi. Uciszył orkiestrę, odesłał ją na salę, coś szepnął Witkowi do ucha...

W tej chwili rozległo się z kąta głośne chrapanie Adamczewskiego, którego już oddawna ułożyli tu do snu.

Witek z brawurą wykonał polecenie Niekrajewskiego:

— *Panie i panowie! — zawołał. — Prosimy wszystkich na salę! Do tańca!! A poza tem odbędą się niespodzianki... Prosimy panie!...* — zwrócił się do obecnych dam, podając ramię różowej. — *Panie kapitanie! — zmusił Niekrajewskiego do towarzyszenia błękitnej tancerce Rybińskiego. — Pani Skibiniowska... Wszyscy na salę!! Zaraz będą niespodzianki! —* przebiegał już tłum gości w bufecie i poczekalni.

Na sali zastali jakieś zamieszanie, które „gospo-

darze“ napróżno usiłowali załagodzić. Orkiestra już znów wydobywała tony, lecz pary, skłębione w jednym miejscu, odmawiały dalszego tańczenia...

To bezrobotni wawerscy, wpuszczeni w czasie przerwy na salę, opanowali podczas niej całą ścianę w okolicy ogromnego, ogrzanego w tym dniu pieca. Pokładli się tam pokotem — na ławkach i pod ławkami. Pozasypiali, i nie można się było ich dobudzić. Zresztą, ktoby tam chciał naprawdę budzić tych bezdomnych, zgłodniałych, zziębniętych?!...

Uratował sytuację Witek:

— Proszę państwa! — krzyczał. — Oto nasza pierwsza niespodzianka! Jak ludzie potrafią spać nawet na sali podczas tańca!! — biegał od jednych do drugich, nakłaniając do nieprzerywania zabawy.

W tym też czasie uruchomiono loteryjkę z prawdziwymi niespodziankami. Największy los — butelczynę likieru — wygrał po jakichś konszachtach z Witkiem w bufecie — Rzeźnicki.

Było już dobrze nad ranem...

Gdy Niekrajewski powrócił do pokoiku komendy, usłyszał stamtąd, jak stopniowo zacichała zabawa. Po twarzach powracających z sali widział, że się wszystko już ma ku końcowi.

Wtedy przybiegł Rzeźnicki i zaproponował gorącego bigosu i czarnej kawy. Niekrajewski znów posłał po panie. A tymczasem pokój doprowadzono do porządku i stawiano na nogi śpiącego Adamczewskiego. Ocknął się wreszcie z wypiekami na twarzy, z jeszcze bardziej niż zwykle wpadłymi oczami.

— Nie wolno mu pić, — tłumaczono przy nim Niekrajewskiemu. — Gruźlica! Potem — szabasz! Na tamten świat...

Po chwili znów się zebrało kółko Niekrajewskiego. Pili wódkę i kawę, jedli bigos. Rzeźnicki postawił

swój wygrany likier. Nie wypadło nie zrewanżować się i Niekrajewskiemu. Wreszcie dla pań znalazło się jakieś wino. Sprowadzona tu muzyka — grała rosyjskie romanse...

Wtedy to znów obudziła się dusza robotnicza i stanęła rozdwojona z obu stron nad uszami Niekrajewskiego.

Jabłoń i Adamczewski, wysuwani od pewnego czasu przez „lewobrzeźnych“ robotników, przeciwników Indora, — przeciwko zarządowi oddziału i wszelkim jego poczynaniom, — stanęli za plecami Niekrajewskiego.

— Panie kapitanie, — szeptał pierwszy, — tak dalej nie pójdzie! Nasi, już poprostu nie chcą więcej należeć do oddziału! Indor stawia się im na każdym kroku!! Sam wszystkim chce przewodzić, jak było za czasów pana Przechwalskiego... Trzeba to teraz brać i zaraz przerabiać na nowo!

— Panie kierowniku, — dodawał Adamczewski, — niech pan tylko dobrze patrzy, jak to będzie po tym balu... Z tym naszym czystym zyskiem! Zobacz pan, że do kasy nic nie wpłynie! Zanim dojdzie do kasy, to komitet balowy wszystko pomiędzy sobą rozdzieli! A co dla oddziału? Co dla naszych bezrobotnych?!

Działało to na Niekrajewskiego, jak najlepsza muzyka. Czuł, że teraz, mając w rękę nici przewodnie, prowadzące do tego, co się dzieje w oddziale, — zagra na nich, jak zechce. Jak na posłusznych strunach...

Już był „biały“ dzień. Mroźny, czerwony od słońca i błękitny na śniegu plamami cieni. W całym lokalu robiono teraz gwałtownie porządki. Przyszli już „komendanci“ na wykład przysposobienia wojskowego.

— E, panie komendancie, — dobrodusznie przed-



stawiali robotnicy najstarszemu z nich, — z kimże pan będzie miał ten wykład?! Chyba z tym Derą i wawerskimi bezrobotnymi, co tam jeszcze śpią na sali? — śmieli się z tego, że nikt ze słuchaczy jeszcze się nie stawił.

Niekrajewski namówił Witka i swe „panie“, oraz swoją gromadkę, by wynieśli się na mroźne powietrze Powiśla.

Przez pewien czas szli razem, poczuwając się do towarzyszenia damom. Nakłonieni jednak przez Skibiniewską do „niefatygowania się“ — rozstali się, całując je po rycersku w ciepłe, podwójne, włóczkowe rękawiczki...

Po paru dniach Niekrajewski dowiedział się — rezultaty balu przedstawiały się bardzo smutnie.

Pomimo sprytnie rozsprzedanych biletów wstępu. Pomimo „niespodzianek“. Zyskownego prosperowania bufetu. Pomimo to wreszcie, że wszystko, co w ciągu nocy zostało wypite w pokoiku komendy, — zapisano na rachunek hrabiego Rybińskiego!!

Sam Niekrajewski miał rachunek, wynoszący 40 złotych.

Poza tem skradziono żarówki. Połamano kilka ław i stołów. Wybito okno. Czemś straszliwie napa-skudzono w obrębie „Tualety dla pań“...

Wszystko, co uzyskano z balu, było niczem wobec potrzeby pokrycia wydatków administracyjnych, zapłaty dla tych, którzy brali czynny udział w urządzeniu zabawy. Obliczyli to sobie, jak za najdroższą dniówkę, plus wszystkie godziny nadliczbowe ponad ustawowe — 8.

Witek również otrzymał swe 25-złotowe odszkodowanie.

Oszukano tylko biednego Mańkę, którego „czysty“ dochód z toalety damskiej wyniósł zaledwie kil-

kadziesiąt groszy, i tych parę kieliszków wódki od Niekrajewskiego...

Deficyt, którego zresztą nikt nigdy nie potrafił dokładnie obliczyć, wynosił kilkaset złotych. Komitet balowy, kierowany jakąś nieoficjalną uchwałą, wystąpił do komitetu głównego z żądaniem zwrotu tej sumy.

Inna to rzecz, że nigdy tego nie uzyskali...

### MADONNA PIERWSZEJ KLASY

Tym razem, co należy nazwać prawdziwym ewenementem, Niekrajewski, powracając z Łodzi do Warszawy, — korzystał z biletu I-ej klasy. Ściśle — z legitymacji współpracownika pewnego klubu poselskiego, utożsamiającej go z jakimś, może nawet posłem...

Przed odejściem pociągu, mógł sobie jeszcze pozwolić na porcję szynki, — plaster mięsa „jako takiego“, — po rozsadzaniu żołądka przez dzień cały, niczem innym, jak znów tylko gotowaną kielbasą z kapustą.

Dzięki więc znalezieniu się na uprzewilejowanym miejscu w bufecie dworcowym, zasłyszał, jak tragarz obiecywał grubemu, zamożnie wyglądającemu panu, — wydostanie się na peron przez inne wyjście, niż to, które przed otwarciem drzwi już zatłoczyła różnoklasowa cizba podróżujących. Idąc zaś za tak spiskującymi — panem i tragarzem, — przedostał się do wagonu, i dalej — do środkowego (widać tak potrzeba!) — przedziału I-ej klasy.

Niekrajewski odczuł odrazu wprost konieczność zajęcia miejsca — właśnie w tym przedziale. Gdy zajrzał tam, konieczność owa skupiła się dla niego

niezwłocznie w pragnieniu przyglądania się jak najdłużej — jednej, jedynej osobie.

Była to młodziutka niewiasta, efektownie smukła i elegancka, doreszty wysmuklająca się w jego oczach przy układaniu swych paczek w siatce przedziału.

W ruchu tym, jej odzienie, jeszcze bardziej skracając się, zdawało się odwracać całą postać do góry nogami. Wypieszczone, przejrzyście opięte nogi wydały się przytem Niekrajewskiemu — rękami, niespodziewanie ukrytymi do połowy w najmodniejszych wysokich botach.

Co robił jednak przy niej — rudawy, śmieszny malec w okularach? Dlaczego niezdecydowanie tkwił w tym przedziale I-ej klasy, odbijając od niewiasty całym swym wyglądem? Chociaż, jak to ocenił Niekrajewski, — może był właśnie koniecznem uzupełnieniem dla podkreślenia jej narodowości i pochodzenia? Bogatej, zdawało mu się, — jak najbogatszej żydówki łódzkiej...

Tak się przez chwilę nad tem zastanawiał, gdy nagle malec zdjął czapkę i zawołał wesoło:

— Nu, a teraz — szczęśliwego podróża!

Brzmiało to tak, jakgdyby umyślnie przeinaczał rodzaj, lubując się w swem językowem kalectwie.

Ona — nic na to nie odrzekła. Prócz niedbałego skinienia dłonią, prócz błysnięcia czarnem okiem, jak końcem lakierowanego bota...

Przezorny starszy pan zajął miejsce przy drzwiach na korytarz — naprzeciwno niej. Jeszcze jedno wolne pozostawało już tylko przy oknie — naukos do niej. Zajął je Niekrajewski.

Chociaż było jak najbardziej widoczne, że już siedziała na ostatecznie przez siebie wybranem, pomimo to, że już więcej wolnych miejsc nie było, —

Niekrajewski, pragnąc rozłączyć ją z tym starym, zamoznym panem, — zapytał wyzywająco:

— Pani decyduje się na które!?

Nic nie odpowiedziała, rzucając na niego pytające spojrzenie. Podniosła się tylko trochę i zdecydowanie usiadła zpowrotem.

Najgorsze było właśnie to, że odrazu znalazła się niejako pod opieką swego *vis-à-vis*.

Mur tej opieki Niekrajewski napróżno starał się zbombardować. Czyhał na każdy jej ruch, spojrzenie, uśmiech, słowo...

Starszy pan znosił to dość dobrodusznie, właściwie oceniając jego kawalerską przedsiębiorczość. Ona jednak tylko popatrywała i milczała...

— Madonna, — nazwał ją pocichu.

Gdy pociąg ruszył, by nie patrzeć, jak czyta gazetę starszego pana, jak korzysta z jego zapalek i scyzoryka, Niekrajewski zasnął. Zdrzemnął się na samą myśl o nieludzkim swem skołataniu w ciągu jednego dnia — z Warszawy do Łodzi i zpowrotem. Po nabieganiu się po nieznanem mu mieście przy temperaturze, jakby nawianej z mroźnych przygód Londona.

I tym razem nic nie załatwił w Łodzi. Być może, nawet skończył już z nią ostatecznie, zarzucając projekt stworzenia tam mocarstwowego oddziału robotniczego.

Nie mógł tego powiedzieć sześciu swym łódzkim robotnikom, lecz już był głęboko przekonany, że nie z tego nie wyjdzie!

Przekonanie to opierał na tem jednym. Na rezultatach swej dzisiejszej, ostatekniej, jak wierzył, rozmowy z dyrektorem Kokilką.

Dotarł był w Łodzi do jego gabinetu — już znaną mu drogą wzdłuż cichych budynków fabrycznych,



przez małą, czystą jak apteczka, poczekalnię. Gdy go potem meldowano, wyczuł już przez drzwi grymas niezadowolenia na twarzy dyrektora.

Wszedł jednak i tym swobodnym, jak poprzednio tonem, usiłował odrazu wyjaśnić sytuację.

Lecz Kokilka z punktu go osadził:

— Proszę pana, — rzekł zniecierpliwiony, — to, co pan mówi — jest nie do pomyślenia! Nasza fabryka nie może ofiarowywać ani lokalu, ani tem bardziej pomocy finansowej — organizującym się robotnikom. Owszem, ostatnio, — dodał łagodniej, — mówiłem panu, że się nad tem zastanowię, ale teraz, po porozumieniu się z panem posłem, — oświadczam kategorycznie: Jest to najwyraźniej jakieś nieporozumienie! — znów podniósł głos. — Nic się w tej sprawie nie da zrobić!!

Niekrajewskiemu wydało się, że dyrektor skierowuje to wszystko — przedewszystkiem do niego. Rozjątrzył zaś się już zupełnie na myśl, iż może Kokilka jest przekonany, że ma do czynienia z jakimś wydrwigroszem, fachowym „naciągaczem“, żerującym na „pracy społecznej“.

— Dziwi mnie bardzo, — zaczął drżącemi ze zdenerwowania wargami, — że pan dyrektor tak nagle i tak radykalnie zmienia to, co już mogłem uważać za prawie załatwione... Przecież ja pana o nic nie prosiłem! — wybuchnął. — Zostałem tu skierowany przez pana posła, a następnie bezpośrednio do pana, przez tego Niemca! — wiedział, że to trafi Kokilce do smaku. — A pan tak teraz stawia sprawę, jak gdybym ja tu się panu narzucał, naprzykrzał, naciągał pana!! — nazwał to wreszcie po imieniu.

Musiało to podziałać na dyrektora. Zafrasował się, zmałał, zgarbił nad biurkiem. Twarz mu skurczyła się, poorwała zmarszczkami...

— Widzę teraz dobrze, — dobijał go Niekrajewski, powstając, — na co musiałem być odrazu przygotowany! Z początku obietnice, nieproszone darowizny, zainteresowanie pracą mocarstwową... A potem — kategoryczna odmowa!!

Wyszedł i nie pamiętał, czy na pożegnanie podał rękę Kokilce. Pozostał mu potem z tego powodu, nawet podczas drzemki w wagonie, jakiś żal do siebie...

Nagie ocknął się wstrząśnięty przerażeniem. Wydało mu się we śnie, że dostał czkawki!

Lecz natychmiast, z ulgą skonstatował, że to jego najbliższy sąsiad dławił się łakomie zjadaną „kanapką“.

Przebudzenie to pobudziło jednak Niekrajewskiego do ponownego zorientowania się w ogólnej sytuacji w przedziale.

Pasażerów było sześciu. Prócz Madonny, starszego pana i niego, jeszcze jedna pani i dwóch panów na miejscach środkowych.

Madonna drzemała. Starszy pan spał, zamknąwszy jedno oko monoklem, a drugie dłonią. Druga pani i sąsiad Niekrajewskiego — małżeństwo — jedli. Siedzący pomiędzy paniami — czytał książkę.

Po poczynieniu tych obserwacji, Niekrajewski przypomniał sobie, jak ich wszystkich, tuż przed odejściem pociągu, — było połączyło pewne zdarzenie.

Jakiś pan, który przedtem dostał się do tego przedziału, przenosząc się potem do innego, zostawił tu swoją gazetę. Gdy zaś oni zajęli już miejsca, stanął we drzwiach i głośno jął się upominać o swoją własność. Tak, że wszyscy musieli pomóc w poszukiwaniach... Wreszcie gazetę znaleziono pod zarumienioną z tego powodu Madonną. Lecz najważniejsze

było to, że wymienili przy tej oazji swe spojrzenia, myśli i ruchy...

Miał więc Niekrajewski pewne zaczepienie, którego teraz mógł się uchwycić. A korzystając z tego, zwrócić na siebie uwagę Madonny.

Nie skąpił tedy sobie podchwytywać wątlej rozmowy, na początek — posilającego się małżeństwa. Ale oni—najedzeni, siedzieli ospale, zrzadka tylko zamieniając ze sobą kilka słów. Czytający zaś książkę pan — był już całkowicie beznadziejny!

Pozostawało więc atakować samą Madonnę... Gdybyż to można było robić inaczej, niż tylko okiem!!

I to jednak okazało się dość skuteczne. Pod uporczywym jego spojrzeniem, Madonna od czasu do czasu otwierała swe czarne, „ciężkie“ oczy i pytająco patrzyła na niego.

Za to odplacał się jej czem mógł. Lubował się w niej wszystkim: że nie zdejmowała futra (tak samo, jak on swej jesionki!), sięgającego zaledwie kolan. Skrawkiem czarnej, jedwabnej sukienki. Kolorem torebki. Suchym, kapryśnie łamiącym się głosem, którego dotychczas prawie nie słyszał. Nawet trochę za dużą ręką, nawet pieprzykiem obok ust, i wreszcie — samemi ustami, trochę, troszeczkę za wydatnymi.

Lecz nadewszystko zachwycał się tem, co już w pierwszej chwili wejścia do tego przedziału, oszołomiło go aż do przesady. Zachwycony był mianowicie najcudowniejszemi, zdawało mu się, nogami. Prześlicznie toczonemi łydkami, płączącemi się teraz we wzajemnym uścisku poniżej bogatego futerka i skrawka, rąbka, niczego — ciemnej, jedwabnej sukienki...

Błogosławił w Madonnie to wszystko z całej duszy. W niej widząc wreszcie to, co sobie zawsze był

marzył w związku z arystokratyczno-robotniczą pracą społeczną. Ku pewnemu ukojeniu — drzemiącej w sercu, swej arystokratycznej babki — „baronowej ostzejskiej“!

I trzebaż trafu, że oto teraz, gdy wraca z tej zimnej, zawodnej Łodzi. Gdzie pozostawił bez niczego tych sześciu robotników... Sam — w przedziale I-jej klasy! W pociągu, w którym nie napróżno był wietrzył już przedtem — swą bajeczną przygodę!...

Ozuł, że to wszystko musi się jakoś nadzwyczajnie skończyć...

W pewnej chwili, Madonna, nadobre obudzona jego wzrokiem, sięgnęła po papierosa. Niekrajewski rzucił się ku niej z takim zapalem, jakgdyby podanie ognia miało już o wszystkim zadecydować!

Dzięki temu obudził się cały przedział. Wszyscy się rozruszali. Byli w podróży już od godziny, i wszyscy nagle poczuli pragnienie.

Po całodzienniej kielbasie z kapustą i szynce, Niekrajewski również chciał pić. Ale widząc, że Madonna nie idzie za przykładem innych, udał, iż nic go nie obchodzi herbata w wagonie restauracyjnym.

Z maską tej obojętności, pozostawał niemyym świadkiem kolejnego ubywania towarzyszy podróży. A gdy wyszedł wreszcie z przedziału nawet i ten starszy pan z monoklem, pozostał z Madonną sam na sam.

Wtedy najniespodziewaniej usłyszał:

— Wie pan, jakie mi się zdarzyło nieszczęście?  
— obdarzyła go niewysłowionem szczęściem odezwania się. — Kupiłam sobie na dworcu książkę, a tymczasem — to coś dziecinnego...

Nie wierzył sobie! Madonna przemówiła do niego?! Było w tem coś, od czego cierpła skóra. Ale też



radość rozsadzała klatkę piersiową, jak ta łódzka kiełbasa z kapustą — nieszczęsny żołądek.

Z udaną obojętnością, drząc jednocześnie z wzruszenia, zrobił zeza na tytuł książki. Przekonał się, że były to jakieś bajeczki, — to też uraczył ją odrazu:

— Proszę brać przykład ze mnie! Nigdy nie czytam w podróży. Lecz zato układam sobie całe powieści, fantazje, bajki... Ale moje bajki są prawdziwymi bajkami!! — myślał z triumfem o swem subtelnym przecuciu tego spotkania. — Bo to są bajki, które zczasem stają się najprawdziwszą rzeczywistością!! — zaznaczył mocno.

— Ach tak... — niczego nie mogła domyśleć się Madonna.

— Tak jest, proszę pani! — wpatrzył się w nią wzrokiem, nie pozostawiającym najmniejszej wątpliwości, że to do niej tak pije o tych jakichś bajeczkach.

A, by ją do reszty osłabić, dodał z naciskiem:

— My, ludzie polityki, często posiłkujemy się marzeniem! — Tylko z zamków na łodzi — powstają prawdziwe pałace! — zarecytował.

Na tak zaś rozbrojoną z resztek podjętej przez nią inicjatywy, przeszedł do gwałtownego ataku. Lada chwila przecież mogli powrócić — ci, inni.

— Wie pani, patrzę na panią od samego początku tej podróży, — skonstatował ten, aż nazbyt oczywisty fakt, — i... zazdrozczę pani!

— Czegoż mi pan zazdrości?! — przyjęła to wdzięcznym uśmiechem.

Nie mógł wytrzymać, by nie oznajmić:

— Tego, że pani jest piękna!!

— O, co za komplement, proszę się nie fatygować! — zmroziła go podejrzeniem o banalność, rzu-

cając mu jednocześnie pieściwe, podniecające spojrzenie.

Wystąpił więc gorąco:

— Proszę pani, to żaden komplement! Patrzę na panią i zachwycam się!! Zazdroszczę pani wszystkiego, co ją otacza urokiem piękna... Tym szczególnym urokiem, tak, niestety, znacznie właściwszym kobietom, niż nam, mężczyznom! Dlaczego to my nie możemy być tak piękni!? — zatęsknił głośno do zwolenia ze swego jedyne go, podniszczone go garnituru, przykrywającej go starej jesionki, niemycia, nieogolenia...

Wdzięczna Madonna niezwłocznie go sumitowała:

— Mężczyźni za to mają genjusz! My — urodę, a oni genjusz!! — wmawiała mu swe wet za wet, jako rekompensatę za nieokielznany zachwyt, z jakim uczynił był swoje wyznanie.

Wykonał gest, ni to przeczenia, ni to godzenia się na swą, patentowaną przez nią genialność...

Lecz już wchodzili, włączili zpowrotem „ci inni“, jak zwierzęta powracające od wodopoju. Przerwali im rozmowę, przerwali to ich sam na sam... I żebyż, przynajmniej, jak przedtem — milczeli! Ale nie — wzięło ich na gadanie...

Krzyżujący się teraz bezustannie, wzrok Madonny i Niekrajewskiego rozdzielił przedział na dwa trójkąty. Na dwa obozy. Zarysowały się one wyraźnie, zwłaszcza przy głównym temacie rozmowy o... zagranicy (I klasa!).

Po stronie Niekrajewskiego obóz francuski, po stronie Madonny — rosyjski.

Czytający przedtem książkę, beznadziejnie milczący pan, okazał się teraz — zachłystującym się potokiem własnej wymowy — gadułą. A z naprzeciwwka,

z obozu francuskiego, wtórował mu ten okazały właściciel monokla.

Gadula obstawał przy swoim.

— Co tam mówić, Paryż—Paryżem! Byłem tam przed wojną kilka razy, znam dobrze. Ale Rosja, panie, Moskwa, panie, — przed wojną — to było coś! Wtedy panie, jeden taki wieczór u J a r a ! „Piotra“, panie, na stół i już... A nazajutrz, zrobiło się interes na kilkadziesiąt tysięcy rubli...

„Monokl“ zaś uparcie bronił Europy, a zwłaszcza jej „stolicy“. Prześwietnego, najcywilizacyjniejszego, najkulturalniejszego Paryża...

Chytrze korzystając z tego, Niekrajewski napomknął cichaczem, że był również we Francji i w Rosji. Ostatnio, nie tak dawno, — przed kilku laty — jako kurjer dyplomatyczny... Podobało mu się tam, w czerwonej Moskwie...

Wtedy z ust gaduły wyskoczył tylko jeden bezgłośnie skowyczący wyraz — b o l s z e w i c y ! ...

Słowo to zasiało jak makiem w przedziale I klasy! Natychmiast godząc ze sobą te dwa, tak sobie dotychczas przeciwne — obozy...

Wówczas, zukosa, ze swego kąta pod oknem, zachwycony wynikiem tego fajerwerku, Niekrajewski wypuścił w nich trochę bengalskich ogni.

Teraz celował sobie w starszego pana z monoklem. A za jedynego słuchacza brał Madonnę. Wiecznie podróżującą w I-iej klasie, coraz bogatszą w jego wyobraźni, — przepiękną łódzkę Żydówkę.

— Przepraszam pana najmocniej, — rzekł niedbałym tonem, przywołując w pamięci cały genjusz kłamliwości Tomaszewicza, całą układność Giedymina i swadę Sochaczewskiego — ale, o ile się nie mylę, myśmy musieli się gdzieś już spotykać! Czy nie u hrabiego Rybińskiego!? — zmyślał, udając, że usiłuje

sobie coś przypomnieć. — A może u którego z hrabiów Strumińskich!? Zdaje mi się jednak, że najpewniej, kiedyś — w towarzystwie hrabiego Słomińskiego i księcia Samotyhi...

A nie dając mu się opamiętać, wyciągnął rękę przez całą długość przedziału:

— Baron Niekrajewski! — przedstawił się.

— Bardzo mi przyjemnie... — odrzekł ulegle starszy pan z monoklem, niezrozumiale wymieniając swe nazwisko.

W oczach triumfującego Niekrajewskiego rumieniła się w głębi przedziału Madonna. Wykwint jej i urok, jakże teraz zdawały mu się bliższe! Już prawie zdobyte!!

Po chwili, jakimś pokornym ruchem niewolnicy, odsunęła drzwi na korytarz. Odrazu domyślił się o co jej chodzi. Wyszedł z przedziału i stanął przy drzwiach.

Ach, gdybyż mógł nie mieć w tej chwili na sobie tej przekłetej wyrudziałej jesionki! Gdybyż był ogolony, umyty, uczesany!!

Zerkając ku sobie przez otwarte drzwi, zapalili z Madonną papierosy.

Zacząła coś mówić do niego, czego, udał, że na tę odległość nie może dokładnie dosłyszeć, zrozumieć... W ten sposób wyciągnął ją do siebie, na korytarz.

Miał więc teraz Madonnę przy sobie. I teraz dopiero, jakimś spiskującym tonem, wyznał jej, że odczuwa szalone pragnienie.

— Ach, dlaczego mi pan przedtem o tem nie powiedział, panie baronie!? — zrobiła mu lekki wyrzut, podając swą torebkę z owocami.

„Baron“ Niekrajewski był tak miły, że zostawił dla niej pomarańcze, dla siebie przeznaczając jabłka.

Stali tuż przy sobie, opierając się na drążku



wzdłuż okna, zasnutego ciemną warstwą mrozu. Oddech ich łączył się na szybie w matową plamę pary, raz wraz zmniejszającą się i znów rozszerzającą... A oczy biegały po twarzach, szukając milczących dopowiedzeń poza tem, co mówiły głośne usta.

Oczami zcałowywał z jej ust uśmiech dyskretny, a przeznaczony tylko dla niego. Z czarnych, skrzących się źrenic, brał lśniąca błonę zachęty do odwagi. Różowe, ostre palce przeplatał w myśli ze swojemi, wjarzmiając ręce, ramiona i jej prześliczne nogi, nogi Madonny.

Narazie, przyczepił się był jednak najmocniej do tego pieprzyka, wyrastającego obok nosa, a tuż nad ustami. Brodawki, narośli — na różowem jabłuszku jej twarzy.

Tak dojechali do Warszawy.

Tuż jednak przed zatrzymaniem się pociągu, gdy chciał zabrać jej walizkę i paczki, by mogła jak najprędzej wyjść z nim z przedziału, nie uszedł jego napiętej uwagi pewien krok Madonny. Gdy, mianowicie, sądząc, że schylony nad jej rzeczami, Niekrajewski tego nie dojrzy — wymieniła ze starszym panem jakieś migawkowe porozumienie. Zrozumiał je tak: Nie wie, czy mu ma całkowiec zaufać. Powierzyć „baronowi“ — nietylko siebie, ale i swoje rzeczy...

Chociaż starszy pan odpowiedział potakująco, cięty tem Niekrajewski, zapragnął jeszcze raz zamantestować przed nią swą już z nim zażyłość.

— No, więc moje uszanowanie! — uśmiechnął się szczerze, jakgdyby nic nie zauważył. — Więc wesołej zabawy w Warszawie — umyślnie długo trzymał jego dłoń. — Przepraszam pana, nie dosłyszałem wtedy jak godność?... — przeciągnął tę zabawę.

Starszy pan odrzekł dobrodusznie:

— Wie pan, rzeczywwiście, my już oddawna znamy

się ze słyszenia — oznajmił figlarnie. — Samotyha jestem... Słyszałem o panu od hrabiego Rybińskiego, panie kapitanie, — podkreślił. — Jakże tam, panie baronie, daje sobie pan radę z robotnikami konsula Tomaszewicza!? Ach, co ja z nim kiedyś miałem kramu!!

Niekrajewski już nie słuchał. Jakby jakiś szalony przeciąg otwieranych drzwi zatrzymanego pociągu — wymiół go z wagonu, z Madonną i jej paczkami...

Narazie był tak ogłuszony, że nawet nie mógł się zastanowić nad tem, co go spotkało. Tem bardziej, że miał przy sobie tę Madonnę, walizki jej, konieczność ulokowania gdzieś tego...

Już się nie cieszył, że podczas kontroli biletów na dworcu — może pokazać tę swą legitymację, na sam widok której ochoczo salutowali mu kolejarze.

Usadził Madonnę w taksówce, wpakował jej rzeczy i sam się wgramolił — zdenerwowany, wykolejony, przybity.

Z poza obojętności na wszystko, doleciał go głos Madonny, podający szoferowi adres w odległej, żydowskiej dzielnicy.

Pomknęli w tym kierunku po rzęście oświetlonych, śnieżnych, mroźnych, wyslizganych ulicach, jakby jechali sankami.

Im głódziej się jechało, tem ciężiej stawało mu się na duszy. Poco on wyprawiał dziś te wszystkie komedje!?

— Jakże my się z panem skomunikujemy, panie baronie!? — przyłgnęła do niego na skręcie puszystem ramieniem Madonna.

Wtedy się wyładował:

— Ja wcale nie jestem żadnym baronem, proszę pani! — zawołał. — Jestem nieszczęsnym kapitanem

rezerwy i pracuję tu w pewnej, głupiej organizacji społecznej... — dodał niewiedzieć poco.

— To nic nie szkodzi! — odrzekła wspaniałomyślnie. — Ja również pracuję! Jestem komiwojażerką... — nie chciała tego bliżej określić. — Niechże mi pan da swój adres!

— Ja, proszę pani, właściwie, nie mam mieszkania... — brnął dalej w szczerość Niekrajewski. — Najwyżej mogę pani służyć numerem telefonu — podał jej numer sekretarjatu komitetu głównego związku. — Ale tam mnie rzadko można zastać... — wytrącał z jej rąk i tę możliwość porozumienia się z sobą.

Taksówka zatrzymała się przed obdartą, starą kamienicą z ogromnymi wybojami — tuż w bramie. Długo się w nich ślizgali, zanim stróż otworzył.

Madonna odesłała rzeczy na górę i przez chwilę, jakby jeszcze na coś czekała. Gdy zaś Niekrajewski nie zdradzał żadnej inicjatywy, rzekła mu swym łamiącym się, suchym głosem:

— Bardzo panu dziękuję. Zadzwoń kiedyś do pana... Ale nigdy nie zgodzę się na to, by pan płacił za mnie taksówkę! — obejrzała się na już ostygły na jezdni samochód.

Niekrajewski cmoknął ją w wonny rąbek rękawa futra i jednym susem dopadł taksówki. Pojechał do siebie, ostrożnie podpatrując po drodze, co też wskazuje licznik.

Zapłacił szoferowi ostatnie swoje 5 zł., pozostałych mu z tej podróży. Mógłby za to przeżyć kilka dni!

Jednocześnie z tą refleksją obudziły się w nim nadobre dopiero teraz—te wszystkie bóle, w związku z gaffą z księciem Samotyhą.

Obarczony, otumaniony, rozsadzany przez nie, przyszedł niezwłocznie do jednej myśli o wycofaniu się z tej głupiej sytuacji.

Jak najprędzej, natychmiast, — skończyć z oddziałem robotniczym i związkiem mocarstwowym!!

Taki był jedyny rezultat jego oddawna wymarzonej przygody. Madonna bowiem nigdy nie dała mu żadnego znaku życia o sobie...

Dzięki temu jednak, zdobył się wreszcie za jednym zamachem na zdolność całkowitego machnięcia ręką na niczego nie domyślającą się Bławatkównę. Która, zresztą, zapominając chwilowo o stałości wobec Jagielly, — przeniosła swą sympatję na młodszego z hrabiów Strumieńskich... Przystojnego, rasowego, ukazującego się coraz częściej w sekretarjacie związku, z jakimś intrygującym tureckim kutasem w kieszeni. Chustką do nosa, tabakierką, różańcem!?

## KRYZYS ŚWIATOWY

Posel Bohdanowicz zaofiarował Niekrajewskiemu swą pomoc w zakresie prelekcji kulturalno-oświatowych w oddziale robotniczym.

Posiadający w to „wgląd“ Giedymin, przyjął tę wiadomość z pewnym niesmakiem. Miał już bowiem zanotowany rozkład tych odczytów, zgóry na kilka tygodni.

Kilku panów z figi, pewien ekonomista, — filar ugrupowania arystokratów, — zajmujący się obecnie zagadnieniem oszczędnościowym wśród robotników, kierownik oddziału robotniczego z Poznania, jakiś hrabia—dziennikarz, i on sam — sekretarz generalny figi, — zatroskany o jej działalność propagandową... Nie rad był więc umieszczeniu w tym zespole nazwiska niecierpianego przez siebie posła.

Lecz Bohdanowicz, dzięki swym ostatnim, paro-



krotnym wystąpieniom w Sejmie, tak się był wybił na powierzchnię życia politycznego, (coprawda tylko jako rzeczoznawca w załatwianiu spraw honorowych), że odmówić zupełnie — Giedymin bał się.

Niekrajewskiemu więc, kiedy okazało się, że na wyznaczoną datę pierwszego w oddziale odczytu, wszyscy jakoś z jego własnych prelegentów zawiedli, — rzekł z wielkopańska:

— No, panie kapitanie, ma pan więc swego przyjaciela, Bohdanowicza, — z odczytem na temat kryzysu gospodarczego!

Gdy zaś Niekrajewski zauważył, że zbiegnie się to z wystąpieniem, przybyłego na jeden dzień kierownika oddziału z Poznania, — Giedymin mrużąc oczy przypiął mu łątkę:

— A może to też pański przyjaciel!? Będzie pan z nich miał pociechę!!

W rzeczywistości Niekrajewski po raz pierwszy miał oglądać tego kierownika z Poznania. Właściwie— nawet nie kierownika! Jak też zorganizowani pod nim robotnicy nie tworzyli mocarstwowego oddziału, na wzór Warszawy...

Właśnie poto przybywał z Poznania, żeby wtajemniczyć stolicę, jak to oni u siebie są zorganizowani!

Jakby pragnąc w dalszym ciągu dokuczyć Niekrajewskiemu, Giedymin przedstawił mu „stan rzeczy“ w Poznaniu na poziomie niedoścignionego ideału:

— Rozmawiałem już z tym panem Hebdą, panie kapitanie, — tak się wabił „kierownik“ z Poznania. — Rzeczywiście, może nam śmiało zaimponować! Niema tam może tylu członków, co u nas,—zapomniał o tem, że zarejestrowany w oddziale warszawskim 1.000, na dobrą sprawę, sprowadzał się do kilkudziesięciu robotników, — ale za to, jak mają postawioną robotę!!

Chociaż jeszcze nie uruchomili robotniczego przysposobienia wojskowego, ale jaka dyscyplina organizacyjna! Co za wzorowy porządek!! — gromadził swe zachwyty nad głową biednego Niekrajewskiego. — Ale, zresztą, sam pan od niego usłyszysz. Sam pan się o wszystkim dowie!... — uwolnił go wreszcie Giedymina. — Proszę tylko tego Hebde już niepodzielnie zabrać do siebie. On wciąż tu czegoś chce ode mnie, z pewnością pieniędzy! Ale pan widzi — ja nie mam na to czasu!! Pan sam wie najlepiej, jak zawsze jestem zajęty...

Doczekawszy się więc „tego Hebdy“ i umiejętnie podstawivszy mu nogę, wtedy, gdy chciał już wkroczyć do gabinetu sekretarza generalnego, — Niekrajewski zabrał go z sobą do oddziału. Wolał z nim wcześniej skończyć — zanim przyjdzie z odczytem Bohdanowicz.

Już w drodze do lokalu oddziału zbliżyła obu „kierowników“ pewna sprawa.

Po przesadnych zachwytach Giedymina, Niekrajewski chciał pokazać Hebdzie, że tu się też pracuje! A że wiedział — trudno było popisywać się z tem, co za chwilę miał mu przedstawić w oddziale, — wyjechał z tą swoją niedoszłą Łodzią.

Że tam dopiero pokaże, co można zrobić! Jak się zakłada organizację robotniczą, i jak się ją puszcza w ruch!!

Szczyściem, na wszelki wypadek, — nie zapomniał dodać, że jest to jednak sprawa przyszłości... Niedalekiej już, ale w każdym bądź razie — przyszłości!... Istnieją bowiem pewne trudności... Brak, mianowicie, człowieka miejscowego, płatnego sekretarza, któremu to wszystko możnaby było poruczyć...

— A to się pysznie składa, panie kapitanie! —

ucieszył się, niewiedzieć skąd — „redaktor“ Hebda. — Przecież ja, właściwie, jestem łodzianinem!! Nawet i teraz, stąd, jadę wprost do Łodzi. Zabawię tam kilka dni... Ja tam wszystkich świetnie znam — pomogę więc panu jak najchętniej!... A, zresztą, wie pan co, panie majorze, — gwałtownie awansował Niekrajewskiego — mam myśl! Zostanę w Łodzi i obejmę stanowisko płatnego sekretarza tamtejszej waszej organizacji robotniczej!! Chce pan!?

Za szybko to wszystko szło... Niekrajewski zaczął się teraz wykręcać. Znacznie pomniejszać możliwości organizacyjne na terenie Łodzi, a wzmagać przeszkody. Wymieniać nazwiska: łódzkiego posła, dyrektora Kokilki, „Niemca“. Zwalać to wszystko na Giedymina. że tylko on może coś postanowić, zdecydować!

Wystarczyło tego już na całą dalszą drogę do oddziału. Lecz jeszcze, gdy już byli prawie na miejscu, Hebda zdążył go zapewnić:

— Panie poruczniku, — już go zdegradował — ja w każdym bądź razie jadę stąd do Łodzi. Raz panu przyrzekłem — dotrzymam słowa... Stanę w hotelu — wymienił nazwę — i będę tam czekał na pana!... Będzie to was niewiele kosztowało. Jakaś zaliczka — narazie 100 zł. — wystarczy! Proszę nie zapominać — jestem łodzianinem... *L o d z e r - M e n s c h!* — cieszył się z tej kombinacji.

Gdy weszli do oddziału, gdzie już zaczęli się zbierać robotnicy, — „redaktor“ odrazu wpadł w swą rolę. Z teczki, z kilku wypchanych kieszeni, wyciągnął i jął rozdawać wśród robotników — jakieś białoczerwone ulotki, odezwy, afisze. Stanął tyłem do biurka i twarzy siedzącego przy nim Witka, rozkraczył się, chrząknął i zagadał jak głośnik radjowy:

— Niechże będzie pochwalony, druhowie najdrożsi, chrześcijańscy robotnicy polscy! A gdzie tu



macie krzyż święty, albo obrazek!? Nie macie, szkoda! My w Poznaniu takie coś mamy na każdym miejscu... Czołem, czołem, panom! Ode mnie i także od zorganizowanych chrześcijan, robotników polskich z Poznania... Widzę ja, coś u was tu nie tak, jak trzeba. Ani tego zaś krzyża, ani innego obrazka... A biblioteka gdzie!? A sala dla odczytów!!... Patrzcie dobrze, co stoi zaś napisane w tych ino karteczkach, co wam rozdałem. Czytajcie, jaki mamy tam program odczytów! To się u nas nazywa akcja kulturalno-oświatowa, a przedewszystkiem chrześcijańsko-polska!... Pierwsze — módl się. Drugie — nie pał i nie pij. Trzecie — pracuj... A przytem — walka o polskość!! Niech każda jedna twarz polska śmiało ale stoi przeciwko Niemcowi! A jaka twarz — taka ziemia!! — sam wziął do ręki ogromny, kolorowy afisz i z lubością czytał swoje nazwisko, z tym nieokreślonym tytułem „redaktor“. Przy każdym temacie — o szkodliwości nikotyny i alkoholu, o polskości ziemi wielkopolskiej, o religji, o Niemcach i t. d.

Lecz już, steroryzowani narazie przez tego „redaktora“ — w jasnym, kratkowanym płaszczu i rogowych okularach — wysuwali się ku niemu matadorzy warszawscy:

— A ileż, panie redaktorze, ma członków oddział poznański?

— A czy, cokolwiek, nie za dużo tej religji!?

— Cóż to, seminarjum duchowne, czy co!? — wołał Adamczewski.

— A czy tam, w Poznaniu, tak samo trudno o pracę, jak u nas!?

— A czy dużo macie bezrobotnych!? — podszedł się barczystem ramieniem Jaskółka.

— A cóż to z tymi, znaczy się, Niemcami, panie



redaktorze!? Bardzo, znaczy się, nastają na naszego brata-robotnika!? — dopytywał się Jabłoń.

— Czy organizacja poznańska wogóle jest organizacją robotniczą!? — zwałpił w to Dziewańszczak.

Nie to jednak nie stropiło Hebdy. Stał w dalszym ciągu, oparty tyłem o biurko, wciąż dopuszczając się tego afrontu wobec Witka.

— E, jak ja widzę, to wy tu ale nic nie jesteście uświadomieni, co się u nas zaś robi! My trzymamy razem ino 100 robotników... żadnych zaś bezrobotnych między nami niema... Są to sami katolicy-chrześcija-  
nie, a na czele organizacji stoi ksiądz!...

— Co, ksiądz!?! — podniósł się śmiech i wrzawa.

— Z pewnością właściciel jakiejś fabryki!! — wołali. — Mamy już jednego takiego ze Lwowa! Uczony. Prawnik... Też chce tak zorganizować robotników, żeby, znaczy się, w jego fabryce wszystko mu jak najlepiej szło!!

— Proszę mi nie przerywać! Inaczej, wcale nie będę z wami mówił!! — spróbował tego chwytu Hebda, myśląc, że jak w Poznaniu, — ma do czynienia z bojaźliwymi i „dyscyplinowanymi“ robotnikami.

— Ho — ho!! — pochwycili robotnicy czyjś okrzyk. — Panie redaktorze! Nie tak ostro z nami! Ostrożnie na zakrętach!! Ma pan tu swoje kolory!!! — rzucali mu różnobarwne kawałki z „programami odczytów“. — Taki pan mocny, a ksiądz za sukienkę się trzyma!!

Z pośród nich wysunął się ku Hebdzie ogromnego wzrostu robotnik, z tkwiącą na szerokich ramionach, gdzieś aż pod niski sufit — malutką makóweczką głowy.

Przekrzywił na niej na bakier jakąś furmańską maciejówkę i wielki, trochę schylony, żeby móc unieść swą wysoką główkę, posuwał się wolno naprzód. Roz-

łożone ręce, rzucając wysoko cień, tworzyły przy nim jakieś ogromne czarne skrzydła.

Im bliżej wstępował w światło jedynej nad biurkiem żarówki, tem wyraźniej występowała z cienia jego blada, wymizerowana twarz. Na niej — trupie, bezbarwne oczy, a nad niemi kosmyki blond włosów, wysmykujących się z pod maciejówki.

Niekrajewskiemu przypominał nic innego, jak ogromnego motyla „trupią-główkę“...

Hebda nie czekał, aż „trupią-główka“ całkiem do niego się zbliży.

— No, panie kapitanie, nie będę zabierał więcej czasu! Widzę, że tu dzisiaj macie jeszcze jakieś zebranie! — stopniowo przesunął się poza biurko, na stronę Witka.

Gdy znalazł się przy nim, nagle znów się ożywił, mając go po jednej stronie, a po drugiej Niekrajewskiego. Natychmiast przedstawił się Witkowi. Wziął obu pod ręce, i ciągnął do drzwi tak, by wyminąć tego stracha „trupią-główkę“...

Gdy znaleźli się za drzwiami, w poczekalni, odetchnął z ulgą i pokręcił głową:

— No, ależ panowie tu mają robotę!

A po chwili, żeby zatuszować, dodał:

— Więc ja jeszcze teraz polecę do sekretarza generalnego! Umówię się z nim co do Łodzi... E, tam też grunt inny niż tu... Znam dobrze!

Wyszedł z znów zadartą głową, nawet nie zegnając się z Witkiem. Pozostali popatrzyli przez chwilę wśląd za nim:

— A to cholera — mądra! — puścił za nim na drogę Witek. — To drania kawał!!

Niekrajewski zaś wołał z wdzięcznością dla robotników:

— Ale naszych się zląkł. Niech-no takby z nimi spróbował!!

Zastał ich przy tem przybyły na odczyt Bohdanowicz.

Gdy we trójkę weszli znów do sekretarjatu, Niekrajewski odrazu się zorjentował, jak robotnicy są jeszcze rozjuszeni po niefortunnym występie Hebdy. Podzielił się tem spostrzeżeniem z Witkiem i posełem.

Obaj jednomyślnie umyli ręce.

Witek zatarasował się biurkiem:

— Cóż ja, panie kapitanie!? Ja tu jestem płatny urzędnik! Odrabiam swoje co wieczór i nic mnie nie obchodzi!! — rzucał na zebranych niespokojne spojrzzenia.

Poseł przecierał swe szklane łyzy binokli, i nic nie widząc krótkowzrocznemi, bezbronnemi oczami, wszystko oddał w ręce Niekrajewskiego.

— Pan tu od tego jest kierownikiem! Ja nic, ja przyszedłem wygłosić swój odczyt... Jeśli nastrój jest nieodpowiedni — mogę wyjść... A szkoda, mam im dużo do powiedzenia — przekazaliby to potem masom...

Bardziej zły z tego powodu, niż zdenerwowany wskutek wzburzenia robotników, Niekrajewski powstał i nieśmiało wygłosił, — po raz pierwszy od pamiętnego wieczoru pojednania, — „oficjalną“ mowę.

— Proszę panów, — uciszył robotników, — nie mamy znów czem tak się przejmować! — miał na myśli swą solidarność z nimi przeciwko Hebdzie. — Mamy teraz przed sobą zupełnie co innego!! Cieszy mnie bardzo w związku z tem, że się stawili panowie dziś tak licznie... Właśnie pan poseł, któremu zgóry za to jak najserdeczniej dziękujemy, był łaskaw przy-

gotować swój odczyt w sprawie kryzysu gospodarczego...

— W Polsce to my sami wiemy, że jest kryzys!  
— szarpnął się któryś z robotników.

— Nie, nie, — uzupełnił Niekrajewskiego poseł,  
— nietylko w Polsce, lecz na całym świecie, na całym świecie! — powtarzał uspakajająco.

— A, to co innego! — niewiedzieć dlaczego zadowolniło to ten sam głos robotniczy.

Niekrajewski odczuł nagle namiętne pragnienie powiedzenia im jeszcze czegoś. Wypowiedzenia wielu, wielu rzeczy, cisnących się mu teraz do głowy.

Nie wiedział jednak jak zacząć, i tak stał przed nimi, głupio uśmiechając się do swego zamiaru, co można było przyjąć za jakąś drwinę z robotników.

Zbiorowe ich ciało niecierpliwie się poruszyło. — Wskutek tego — usiadł i pośpiesznie oddał głos posłowi.

Teza odczytu Bohdanowicza była już zgóry wiadoma: Kryzys gospodarczy ma zakres wszechświatowy!

Chodziło więc tylko — o nagromadzenie odpowiednich argumentów, przemawiających za tem, iż kryzys ów dotknął cały świat w znacznie większym stopniu niż Polskę. Oazę względnych, mniej jaskrawych jego objawów.

A, zdawałoby się, — kraj dopiero niedawno odżyły, najfatalniej w świecie położony, zdewastowany, poobcinany, — pierwszy mógł być pogrążony w klęsce gospodarczego załamania! Dzieje się zaś odwrotnie — wiadomo dlaczego: Oto, dzięki woli Opatrzności, — Polska wczas stanęła na właściwej, mocarstwowej drodze! Sięgnęła do źródła swej mocy w dawnej, historycznej przeszłości... Dzięki zaś temu — odradzaniu się w przeszłości — możliwem sta-



ło się uodpornienie jej na to, co gnębi cały, cały świat!

Przyznać trzeba, robotnicy słuchali tego z dość pobłażliwym zajęciem. Uspokoili się już, odprężyli pod wpływem wymowy posła.

Udało mu się nawet wykrzesać z nich pewien wielkoduszny stosunek do świata. Do świata, ginącego w powszechnym kryzysie, wówczas gdy Polska — idzie sobie prostą drogą ku swej historycznej mocarstwowości...

Widać było, że robotnikom jest nawet trochę żal tego biednego, staczającego się wdół po pochyłości świata!!

Zepsuł jednak wszystko sam Bohdanowicz.

Pozornie, nastąpiło to z powodu wyczerpania tematu. W głębi jednak musiał obudzić się w pośle niepoohamowany duch jagiellonidów. Pod jego zaś wpływem — przeszedł od kwestji kryzysu do — zagadnienia ustroju i konstytucji.

I tu, już na wstępie, gdy podniósł wysoko hasło jak najsilniejszego wzmocnienia władzy, — wypnęło mu się:

— Władza, proszę panów, powinna być silna, bardzo silna!! Niech będzie jaka chce, byle tylko była silna... Niech będzie nawet królewska!!! — dopiero teraz wylazło z niego autorstwo niewydanego studjum o konieczności wprowadzenia w Polsce ustroju monarchistycznego...

Oto co musiał wysłuchać za to od robotników:

— Władza, panie posle, musi być! To nam wiadomo. I musi być silna! To też wiadomo... Ale dlaczego to pan mówi nam, robotnikom, że może być królewska!? A robotniczo-włóściańska, to nie łaska!?!... Powiedział pan, że na całym świecie jest bardzo źle, tylko w Polsce jest jeszcze trochę lepiej! A czy pan słyszał, że w Rosji, pod dyktaturą prole-

tarjatu, też nie jest tak źle, jak u nas mówią i pi-  
szą!?... A zresztą, skąd pan wie, że władza królewska  
będzie silniejsza od naszej!? Nas przecież jest więcej,  
— my właśnie po całym świecie!! Gdyby świat był ro-  
zumny, toby właśnie wszystko wedle władzy — ina-  
czej zbudował! Wtedy, toby napewno nie było kryzy-  
su!! Bo i któż go robi!? Spekulacja to jest czysta —  
i już! A że w Polsce nas się boją, to i o większą spe-  
kulację jest trudno! Ho-ho, gdyby tak mogli różni pa-  
nowie, toby nam o tu wypisali całą władzę królew-  
ską!!! — poklepywali się po tyłkach, pokrzykiwali je-  
den przez drugiego, złorzeczyli komuś, śmieli się,  
wstawali, siadali, znów się najwidoczniej burzyli...

Otoczyli posła przy biurku jakąś oderwaną od  
reszty grupą, i zasypywali go wyzwiskami pod adre-  
sem władzy królewskiej.

Próbował uciszyć ich zapomocą Niekrajewskiego  
— nic to nie pomogło. Próbował sztucznem swem  
oburzeniem odsunąć ich od siebie — leźli na niego  
jeszcze ostrzej.

Wówczas wziął się na sposób:

— Panowie! — zawołał wstając. — Mam tu dla  
panów, z polecenia hrabiego Rybińskiego jedną bar-  
dzo ciekawą rzecz... Chodzi, mianowicie, o to, że jest  
pod Warszawą taki jeden pan, właściciel jakiegoś nie-  
wielkiego przedsiębiorstwa... Otóż, ten pan wpadł na  
taki pomysł... Zatrudnieni u niego robotnicy pracują  
po swoim czasie jeszcze parę godzin, godzinę, dwie,  
trzy... To już idzie na ich korzyść! Za to, bowiem, da-  
je im plac i możność pobudowania na długoletnie spła-  
ty — małego domku, względnie mieszkanek. Pod  
Warszawą, na świeżem powietrzu, z ogródkiem, z pia-  
seczkiem dla dzieci!... — zasłonił się przed robotnika-  
mi tym mirażem domków z mieszkanekami i ogródka-  
mi. Za przykładem nieporównanego Tomaszewicza —

zbałamucił ich, otumanił, ogłuszył, jak głupie ryby.

— Otóż, proszę panów, — mówił, wychodząc pośpiesznie z nieodstępą teczką pod pachą — pan hrabia Rybiński powiedział mi właśnie, że sam się tem wszystkim bardzo zainteresował i chce coś podobnego wprowadzić u nas... — plótl, rzucając im piaskiem w oczy. Ogłupiałe nagle, zdawało się, — oślepie, zaniewidziały oczy łatwowiernych robotników.

Przewinał się wśród nich i lekko skrzypnął drzwiami:

— Niech teraz to panowie pomiędzy sobą omówią, przedyskutują! — ulotnił się, jak lotny piasek.

Wśród robotników zakotłowało się:

— Pan Tomaszewicz już kiedyś o tem c ó ś k o l w i e k mówił! — przekonywał wszystkich Indor.

Naturalnie, jakże mogło to się obyć chociaż bez wzmianki o starym konsulu!?

Podniecając tak siebie i innych, Indor jął się kręcić pomiędzy robotnikami. Znów nagle podzielonych na grupki. Kupki, coś spiskujące, coś ważące swarliwie pomiędzy sobą.

Krażący wśród nich Indor był jak sznur, umiętany lont, skierowujący wybuch tych kupek prochu w jednym, jedynym kierunku — uznania dla „proctw“ Tomaszewicza...

Lecz był i drugi koniec sznura. To „trupia - główka“, nie mogąc docisnąć się do biurka, jakby raz wraz przez kogoś szarpany, wołał:

— Panie Niekrajewski! Panie Niekrajewski!!

Niekrajewski już był tyle razy wachał ten proch, że nawet potrafił obrazić się na „trupią - główkę“. W ten sposób — do niego, do kierownika, jeszcze się tu nikt, nigdy nie odzywał!

Odwrócił się więc plecami do wołającego, rozmawiał z każdym ze stojących bliżej, i udawał, że nie



zwraca uwagi na jakby ostrzegające, coraz głośniejsze wołanie:

— Panie Niekrajewski! Panie Niekrajewski!!

Zaintrygowany tem jednak, po dobrej chwili postarzał się znaleźć w tym kącie, gdzie stał robotnik „trupia - główka“.

— To pan mnie wołał? — zapytał. — Nazywam się Niekrajewski i jestem tu kierownikiem! Czego pan sobie życzy!? — wciąż udawał obrażonego. — Pierwszy raz tu pana widzę.

Za wysoki robotnik nie mógł rozmawiać stojąc. Pociągnął Niekrajewskiego do kąta i przysiadłszy na jakiejś ławce, prawił mu żywo:

— A to pan jest tu za kierownika!? Właśnie mówili mi, że nazywa się Niekrajewski... Ale nie wiedziałem, który to! — odkaszlnął, zionąc odorem wódki. — Ja jestem bezrobotny... Chcę przez pana dostać jaką pracę... Też jestem legionista, mogę pokazać papiery! W 1920-tym, jak było potrzeba, — to poszedłem na front... Byłem nawet ranny... Obiecywali nam dużo, a potem nie dali nic! Taki to los — musiałem zostać za pomocnika furmana, za młodszego woźnicę. A teraz za całkiem bezrobotnego!... I jeszcze panu chciałem powiedzieć, panie kierowniku, niech pan uważa! Tu oni, — wskazał główką na pokój, — na coś szykują się... Namawiali i mnie, że to ja bezrobotny! Dali kieliszek wódki... Ale ja do pana kapitana, jak do ojca, też przecież jestem legionistą, chocia i z 20-go roku...

Lecz Niekrajewski oddawna przestał go słuchać. Przestał go nawet słyszeć, zaabsorbowany tem, co widział przed sobą z tego kąta w pokoju sekretarjatu.

Zebrani robotnicy przedstawiali teraz dla niego ten jedyny, upragniony widok, na który był czekał już od tak dawna... Widział ich w tej chwili rozdzielo-



nych na dwie, bardzo nierówne części. Jedną, nieliczną, tworzyli prawobrzeżni z Indorem. Drugą, atakującą, prowadzili Jabłoń, Adamczewski, Czajkowski, Rzeźnicki. Przyłączyli się do nich bezrobotni wawerscy z Derą. Dziewańszczak, sprytnie odsuwający się teraz od Indora, szofer-bokser, Jaskółka...

Chodziło im o obalenie zarządu. O wyrwanie go wreszcie z pod wyłącznego wpływu Indora.

Chociaż wielu członków zarządu, zwolenników Tomaszewicza, — rekrutowało się z pośród lewobrzeżnych, dotychczas jednak nie stanowili oni we „władzach“ pożądanej przez nich większości. Grającej we wszystkim pierwsze skrzypce, czerpiącej z obfitych, domniemanych subsydjów związku, dysponującą, słowem, — całym wewnętrznym życiem oddziału: Stosunkami, posadami, pieczętami...

Winowajcom, których — poza Indorem — nawet nie szukano, zarzucali wszystko co mogli. Sprowadzało się to do jednego ogólnego oskarżenia. Dotychczasowy zarząd jest do niczego, — żyje sam, a wszystkich tylko oszukuje!...

— Nie można już dłużej strzymać tego tumanienia! Nie możemy już dłużej znosić tego, co się tu pod zarządem dzieje!! — wołali atakujący. — Poto jesteście my tu, mężowie zaufania, żeby to raz wyjaśnić! Wyjawić te wszystkie tajemnice pana wiceprezesa Indora!!

Indor trzymał się dzielnie. W pewnej chwili sprytnie uchwycił się właśnie tego, że są przed nim, rzekomo, — sami mężowie zaufania oddziału.

— Panie kierowniku! — urósł mu nagle Niekrajewski do symbolu istotnej tu władzy. — Ja też tak nie mogę! Gdyby tu z nami byli sami mężowie zaufania, to co innego... C ó ś k o l w i e k insza sprawa! — już nadrabiał miną. — Może rzeczywiście, mężowie

zaufania chcą z nami poszczególnie pogadać, to czemu nie!? Ale tych ta członków — wskazywał swych przeciwników — musimy przedtem c ó ś k o l w i e k u s u n ą ć!

Lojalny i prawomyślny Niekrajewski oznajmił to głośno zebranim. Do usunięcia z sekretarjatu zwyczajnych członków został użyty „stary społecznik“, Witek, dziś jednak, w oczach Niekrajewskiego, po raz pierwszy ze „straconą twarzą“.

— My tu wszyscy — mężowie zaufania! — zaczęli krzyczyć prawo i lewobrzeźni robotnicy. — Nikt stąd nie wyjdzie!! Niech Indor mówi przy wszystkich.

Lecz w Witku, przy tem konkretnem zadaniu, już się obudziła dawniejsza łatwość urzędowania. Wyjął spis mężów zaufania i odczytał go, przyczem wywołani „mężowie“ występowali ku przodowi. Reszta zebranych musiała opuścić sekretarjat, wynosząc się do poczekalni. Tego żądało prawo.

Ubyło więc robotników z jednej i z drugiej wrogich grup. Znacznie jednak zostały przerzedzone szeregi lewobrzeźnych.

Gdy już wszyscy, komu należało, wyszli z sekretarjatu, Indor jeszcze dojrzał wśród nich swego nowego wroga, Jaskółkę:

— Panie kierowniku! — zawołał urzędowym tonem. — Jaskółka nie był wyczytany przez pana sekretarza, a został!!

Skoczył Jaskółka ku niemu:

— Jakto, to ja nie jestem już dla ciebie mężem zaufania!? Panie sekretarzu!! — wołał na pomoc Witka.

Witek przeglądał jakiś inny wykaz:

— Nie! — odezwał się po chwili. — Pan Jaskółka jest tylko kandydatem na męża zaufania... Oto

jest ich wykaz! — szeleścił podniesionym w górę papierem.

Ni to ze złośliwym, ni to pokrywającym porażkę śmiechem, Jaskółka machnął ręką i jak niepyszny wyniósł się za drzwi. Przez nie, uchylone na jedno mgnienie, Niekrajewski dostrzegł, jak rozpętana w sekretarjacie burza przewalała się teraz po poczekalni.

Tu jednak, w pokoju sekretarjatu, „pole“ było utrzymane przez Indora. Poza tem, musiał wiedzieć, — w tej chwili i Niekrajewski i Witek będą z urzędu trzymali jego stronę...

Wiedzieli o tem również pozostali w sekretarjacie jego przeciwnicy. Już się z obawą oglądali nawzajem na siebie, już tracili ten palący się grunt pod nogami.

— My tu, właściwie, w sprawie balu! — wyjechali z tem, ni przypiął, ni przyłatał, na zapytanie Niekrajewskiego. — Dlaczego ój dotychczas nie ogłoszono jaki jest czysty zysk? I jak go rozdzielono!! My chcemy objaśnienia!...

Uspokojony takim postawieniem sprawy, Indor już tylko wzruszył ramionami i odszedł nabok. Po chwili, poza plecami innych, niby niechący — skrzypnął drzwiami do poczekalni.

Cóż miał odpowiedzieć Niekrajewski, jakie dać „objaśnienie“, na to wręcz obstrukcyjne, „dzikie“ pytanie robotników!?

Bal już się dawno odbył. Wszyscy dobrze wiedzieli, że nic nie przyniósł prócz deficytu!! Coprawda, gdyby nie te nadmierne wydatki „administracyjne“!.. Ale chcieli tego przecież sami robotnicy — członkowie zarządu, komitet balowy, „gospodarze“... Rozdzielili „czysty“ zysk pomiędzy sobą, domagali się potem od komitetu głównego pokrycia deficytu...

Niekrajewski złapał się za głowę. Jakby się pod nim rozwarła ziemia w nagłym jakimś kataklizmie.

Niespodziewanym, wszechpotężnym kryzysie ukrytych sił... Wydobywając na powierzchnię, wyrzucając z siebie nieobliczalnie — jakieś ukryte dotychczas trzewia... A miesząc je na tej powierzchni z rumowiskiem wszystkiego, co było padło, wytwarzała coś znieprawionego, wynaturzonego, wyjętego z zakresu możliwości — określenia, oceny, zrozumienia...

Ocknął go z tego głos Witka, odczytującego na żądanie robotników, niewiadomo poraz który, ogólne zestawienie rachunków pobalowych. Przewinięło się teraz przez niego tylko jedno uczucie — ulgi, że pożyczyl był sobie od Witka, z jego oddziałowej kasy, 40 zł., i zapłacił swój „balowy“ rachunek...

Lecz jeszcze Witek nie skończył wyliczać odczytywanych cyfr, gdy już zaczęli wsuwać się do pokoju zpowrotem ci wszyscy, których właśnie usunięto przed chwilą. Wchodzili jacyś zwycięzcy, już w najlepszej komitywie, lewo i prawobrzeżni.

Jaskółka wespół z Indorem. Już znów zbratani, porozumiewający się ze sobą z jakimś swawolnym uśmiechem...

Ostatnie cyfry Witka spadły pośród nich bez najmniejszego oddźwięku...

— Ot, co jest, panie kierowniku! — sunęli ku Niekrajewskiemu pojednani robotnicy. — Trzeba, żeby odbyło się zaraz zebranie zarządu. Koniecznie! Musowo!! — trzęśli pod nim doreszty wzburzoną powierzchnią gruntu pod nogami, kolebiąc go prawem swej ogromnej większości to w tę, to w inną stronę. Wciąż przywodząc mu na myśl ten kataklizm kryzysu światowego. Trzęsienia ziemi... Przyjdźcie na świat stugłowego Antychrysta...

Pojednanie powracających z poczekalni udzieliło się i mężom zaufania, którzy pozostawali stale w pokoju sekretarjatu.



Teraz, jak zalew szerokiej fali popłynęło to ku Niekrajewskiemu, łącząc się w jednym, jedynym zdaniu: Zebranie zarządu oddziału musi się odbyć natychmiast!!

Przywidzenie Antychrysta łatwo mu się skojarzyło w myśli z powinną rolą Chrysta. Wszystko musi się wypełnić!

Nie pytał już o co im chodzi. W jakiej sprawie, dlaczego ma się odbyć zebranie zarządu!? Który nigdy dotychczas, za jego kierownictwa, nie chciał się zebrać w komplecie...

Zrozumiał — chodzi im tylko o to, żeby wszystko wziął na siebie. Całą odpowiedzialność za to, co się działo w oddziale, pomiędzy nimi a związkami, pomiędzy lewo i prawobrzeźnymi... żeby więc nie zgodził się, nie pozwolił na zebranie... I poniósł sam jeden — wszystkie konsekwencje!...

— Proszę panów, — mówił spokojnie, chłodno, rzeczowo, udając zupełne opanowanie, — dziwi mnie bardzo, jak panowie mogą tak stawiać sprawę! Ja przecież jestem tu kierownikiem i tylko ode mnie może zależeć sprawa zebrania zarządu oddziału. W najgorszym razie, w czasie mej nieobecności, — od pana Witka, sekretarza. A na takie postawienie sprawy jak teraz, ja się nie zgadzam!... Nie pozwalam!... Nie odbędzie się dziś zebranie zarządu!! — rzucił im drżącymi wargami, już znów zdenerwowany, i zabrał się do wyjścia.

— Jakto!? — zawołali. — Panowie przecież nie są członkami zarządu!! Co panowie mają z nami wspólnego!? Nic, — a jeszcze biorą nasze pieniądze!!

Zachichotał, zawył, załopotał językami, rękami, nogami — stugłowy Antychryst. Zaśmierdział straszliwym wyziewem na progu, gdy Niekrajewski, stojąc w otwartych drzwiach, jeszcze się raz obrócił...

Wołał za sobą Witka, który, jakgdyby stanął nagle po stronie robotników, — zwlekał, marudził, nie chciał z nim iść...

Wreszcie zniecierpliwiony, Niekrajewski jeszcze raz tam wszedł. Lecz już tylko do Witka:

— Co u diabła!?! — powiedział mu cicho. — Dlaczego pan ze mną nie idzie, jak pana wołam!! — złościł się, nie patrząc nigdzie — tylko w Witkowe oczy.

Oczy te zabiegały przed nim na wszystkie strony:

— Panie kapitanie, — również szeptał, — niechże pan zrozumie!! Pan stąd odejdzie, a ja muszę zostać! Przecież tak się umówiliśmy... — przypomniał mu ich „umowę społeczną“.

Niekrajewski wyszedł sam. Teraz wiedział — musi niezwłocznie podać się w związku do dymisji!...

## DYMISJA CZYLI BUNT ARABÓW

Tego wieczora, jak tyle razy w ciągu ubiegłych sześciu miesięcy, Niekrajewski udał się w zwykłą swą drogę do sekretarjatu związku. Lecz już niekończącą się tak jak przedtem — w oddziale robotniczym.

W ciągu tego ostatniego, „płatnego zgóry“ miesiąca „pracy społecznej“, po swem podaniu się do dymisji, — miał obowiązek uczęszczać jedynie do komitetu głównego. Już mimowoli awansując tam na rzeczywistego referenta do spraw robotniczych...

Był to już ostatni jego wieczór, ostatni krok odbycia wszystkiego do końca — za te 300 zł. miesięcznie, oddawna pobranych, wydanych... Teraz, na najbliższego pierwszego, już znów nie miał żadnego oparcia, ani źródła zarobkowania...

Cały ten ostatni miesiąc był dla niego szczytem

tego bezhołowia, w jakim obracał się pół roku wśród jagiellonidów.

Pamiętał, jak to było z tem jego podaniem się do dymisji. Nazajutrz po „kryzysie światowym“ w oddziale.

Przyszedł był wtedy wcześniej do sekretarjatu. W przedpokoju wyminął się, z zawsze traktującym go zgóry, ekonomicznym filarem związku, zajmującym się zagadnieniem oszczędności wśród robotników. U Bławatkówny zastał tłum akademików. W gabinecie Giedymina: Hrabiego Rybińskiego, Słomińskiego, Sochaczewskiego...

Giedymin wyprawiał Rybińskiego w jakąś drogę. Hrabia wciąż się dopytywał:

— No i co mam im jeszcze powiedzieć!? — przygotowywał się do wygłoszenia jakiejś mowy na prowincji. Trzymał w ręku świeżo nabyty tom Lawrence'a „Bunt Arabów“.

Czems rozanielony Słomiński gęsto tytułował Giedymina:

— Więc cóż, książę-panie!? Z Bogiem, albo mimoboga!?—cynicznie mu dogadywał, wolny w tem ścisłem kółku od konieczności zachowania pozorów wiecznego dewoty. — Cóż najmiłościwszy książę wybiera!?

Sochaczewski był pochłonięty swym rękopisem, który już mu urósł do potężnych rozmiarów...

Na Niekrajewskiego nikt nawet nie zwrócił uwagi. Nikt nie podejrzewał, że nosi w sobie od wczoraj tę tajemnicę dymisji.

Wycofał się więc z gabinetu i wrócił do pokoju Bławatkówny. Stąd napróżno usiłował połączyć się telefonicznie z posłem Bohdanowiczem.

Bławatkówna, wiecznie teraz zajęta swym flir-

tem, młodszym hrabią Strumieńskim, ze zwisającym z kieszeni niewiadomego przeznaczenia kutasem, — wsadziła Niekrajewskiemu robotę.

— Panie kapitanie, pan Giedymin prosił, żeby to pan koniecznie dziś załatwił... Do biuletynu za ostatnie półrocze. Niech pan będzie łaskaw zaraz to napisać, bo ja jestem strasznie zajęta!... Co działo się w oddziale od listopada ubiegłego roku... Jakie postępy, rezultaty, zamierzenia...

Z jakąś zgryźliwą ironją podał jej za chwilę krótką notatkę:

Biuletyn półroczny oddziału robotniczego  
Z. W. P. M.

„W ciągu ubiegłego półrocza na mocarstwowym odcinku robotniczym zaszły decydujące zmiany. Od połowy listopada ub. r. na stanowisko kierownika oddziału został powołany kpt. rez. Edmund Niekrajewski, członek Z. W. P. M. Dokonano w tym czasie uruchomienia szeregu lokalnych organizacji robotniczych związku, jak np. w m. Łodzi, która rozwija się w szybkim tempie. Nawiązano kontakt z pokrewnymi organizacjami robotniczymi we Lwowie i Poznaniu. W najbliższym czasie jest przewidywane uruchomienie oddziałów robotniczych w Sochaczewie, Sosnowcu i t. d. W Warszawie, pod osobistym przewodnictwem kierownika Niekrajewskiego, zorganizowano sekcję pośrednictwa pracy, oraz sekcję kulturalno-oświatową i propagandy gospodarczej. Tę ostatnią przy wydatnej pomocy ze strony Federacji Gospodarczej (Figi).

Częste imprezy, odczyty i zabawy, urządzone przez zarząd oddziału warszawskiego są najlepszą rękojmnią dalszego rozwoju organizacji.



Należy dodać, że do osiągnięcia tak pomyślnych rezultatów pracy mocarstwowej na odcinku robotniczym, w znacznym stopniu przyczynił się nowy sekretarz oddziału p. Witek, oraz stały wgląd w pracę oddziału ze strony komitetu głównego, a przede wszystkim sekretarza generalnego, księcia Giedymina, posła Bohdanowicza i innych.“

Bławatkówna, jako ekonomistka i mądra sekretarka, uważała za właściwe dodać jeszcze od siebie:

„Naskutek specjalnej inicjatywy prezesa Z. W. P. M., hrabiego Rybińskiego, zostały podjęte usiłowania celem uzyskania dla robotników warszawskich możliwości budowania się w malowniczych miejscowościach w okolicach Warszawy, co, zresztą, jest narazie tylko zaprojektowane, a z inicjatywy sekretarza generalnego, księcia Giedymina, powstaje specjalna robotnicza kasa oszczędnościowa, której plan narazie jest ustalany w porozumieniu z wybitnymi specjalistami.“

Zczasem, do ostatecznej redakcji biuletynu, — przyłączył się również komendant Korwin, podnosząc jak najwyżej sprawę zorganizowania bataljonu przysposobienia wojskowego z robotników — mocarstwowców...

Były to już znane, stare rzeczy, coś nowego jednak dostrzegł Niekrajewski tego dnia wśród zebranych liczniej niż zwykle akademików.

Nigdy dotychczas nie widział wśród nich, tak żywego jak teraz poruszenia. Ani wtedy, gdy dostali na gwiazdkę odezwę „bez Boga“, ani też, gdy na dzień 19-go marca Sochaczewski napisał był im inną, krótszą:

„Koledzy i koleżanki! Oddajemy się pod roz-

kazy Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego!! Bo cóż przyjemniejszego możemy mu dać, jako solenizantowi, w imieniu Mocarstwowej Polski!?”

Tego dnia jednak ożywiało ich coś, widocznie, bardziej bezpośredniego!

Tużającemu się tu ze swą tajemnicą, wydali się po raz pierwszy Niekrajewskiemu — jacyś bliżsi, sympatyczniejsi... Wkręcił się wśród nich i, — byle nie myśleć o swoim, — jął wsłuchiwać się w ich młodociany szczebiot.

W gromadce akademików perorował najrzutszy, najgłośniejszy — wiceprezes. Prezesem ich był sam Giedymin, jeszcze mający coś wspólnego ze studjami uniwersyteckimi.

— A ja wam mówię, koledzy! — namawiał do czegoś akademików wiceprezes. — Załóżmy protest! Należy jeszcze raz przeprowadzić wybory!! Musimy i my mieć swoich ludzi u władzy!... Ostatnie wybory odbyły się nieprawidłowo! A że przytem usunęli z korporacji prezesa Giedymina, to to, oczywiście, nie mogło się przyczynić... Otóż, należy jak najprędzej założyć protest, wydać odpowiednią odezwę, wyrazić v o t u m nieufności obranemu zarządowi!!

Niekrajewski odciągnął nabok najcichszego z tych politykujących akademików:

— O co to panom chodzi? O czym to tak gorąco mówi pan wiceprezes!?

— A to, widzi pan, panie kapitanie, — wzięła w łeb cała nasza półroczna kampanja na terenie akademickim. Oraliliśmy w ciągu pół roku, jak dzikie osły. I teraz, kiedy wszystko już było jak najlepiej przygotowane, — wylazło szydło z worka!... Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić do międzykorporacyj-

nego związku akademickiego ani jednego swego człowieka! Porażka, fatalna porażka!... Biada nam, mocarstwowcom!! — skomlał.

Niekrajewski wiedział, — to ten z akademików mocarstwowych pisywał do ich pisemka klasyczne wiersze...

Wtem rozległ się dzwonek w korytarzu. Nikt jakoś nie śpieszył się otworzyć drzwi. A półwojskowego indywiduum tym razem nie było.

Niekrajewski, widząc że wszyscy udają, iż nie słyszą tego, raz po raz ponaglanego dzwonka, zdecydował się pójść otworzyć. Jakież było jego zdziwienie, gdy za uchylonymi drzwiami ujrzał grupę swych robotników. Na czele nich — Rzeźnicki, Czajkowski... Poza nimi — jacyś mu mało, lub wcale nieznan.

Wstrząsnęło to nim. Ale nic nie pokazując po sobie, uczynił gest zapraszający, a sam czemprowadził się do gabinetu Giedymina. Tu, nie mając już więcej ani chwili czasu do stracenia, podszedł do księcia:

— Panie sekretarzu, — szepnął, — mam do pana bardzo ważną i pilną sprawę... Z dniem dzisiejszym podaję się do dymisji!

Ku jego zdziwieniu, zostało to przyjęte przez Giedymina ze wspaniałą obojętnością:

— Czy to jest, panie kapitanie, ostateczna pańska decyzja!?

— Tak jest, — odrzekł ze skrucą.

Słyszac to zwierzenie, Sochaczewski podniósł głowę z nad rękopisu:

— A dlaczegoż to, panie kapitanie!?! Cóż to pana do tego skłania? Więc co, nie chce pan już dalej pracować z robotnikami!?! — miażdżył Niekrajewskiego obojętnymi pytaniami, niezdradzającymi żadnego przejęcia się sprawą jego dymisji.

Wówczas Niekrajewski odrzekł z tą samą, jak ubiegłego wieczora determinacją:

— Tak, mam tego najzupełniej dość! Widzę, że nie potrafię podołać zadaniu, jakie panowie mi postawili!! — zdobył się na szczyptę sarkazmu. — I również poproszę, — zwrócił się do Giedymina, — o zwrócenie mojej deklaracji!

— Jakto, wycofuje się pan również ze związku!? — dotknęło to ich znacznie więcej.

— Tak jest! Nie spełniłem swego zadania, — trwał w swym uporze, — nie mogę więc pozostać nadal członkiem związku!

Książę i Sochaczewski przerzucili się porozumiewawczem spojrzeniem.

— Dobrze, panie kapitanie, — odrzekł Giedymin, — zwróćę panu pańską deklarację, tylko każę ją odszukać! — wstał i wyszedł do pokoju Bławatkówny.

Korzystając z ich sam na sam, Sochaczewski przywołał Niekrajewskiego do opamiętania:

— Co pana ugryzło, panie kapitanie!?! Pocóż pan to rzuca? Co pan teraz będzie robił? Jak i gdzie zarobi pan te swoje 300 zł.? I poco pan odrazu spala za sobą wszystkie mosty!?

Nie zdążył mu Niekrajewski wyłuszczyć wszystkiego, gdy do pokoju wrócił Giedymin, bez deklaracji, ale zato z jakimś wielkim, zapisanym arkuszem.

— Panie kapitanie! — wsiadł na Niekrajewskiego. — A to co takiego!?! Co pan wyrabia najlepszego! Tu pan podaje się do dymisji, wycofuje się ze związku, a tam robotnicy buntują się!! Przynieśli mi właśnie swoją deklarację!

Teraz zajęli się we trójkę tylko tym papierem. Był to manifest grupy lewobrzeźnych robotników,



ogłaszających swe odseparowanie się od oddziału. Żądających natychmiastowego uznania ich przez związek, subsydjowania, wynalezienia dla nich innego, bardziej odpowiedniego lokalu...

Ani Giedymin, ani tem bardziej Sochaczewski, nie mieli na to czasu. Wsadzili ten dokument w ręce Niekrajewskiego i kazali mu niezwłocznie przyjąć oczekującą delegację, którą sam był wpuścił do lokalu związkowego.

I książę, i porucznik wynieśli się też natychmiast, pozostawiając do dyspozycji Niekrajewskiego gabinet sekretarza generalnego, w którym na biurku hrabia Rybiński zapomniał był swą książkę o buncie arabów.

Tu, jak kiedyś Witka, przyjął Niekrajewski swych „zbuntowanych arabów“.

Robotnicy ci mocno stanęli przy swoim. Nie chcą już więcej znać nikogo ze swych dotychczasowych prowodyrów. Nie chcą znać również konsula Tomaszewicza. Stoją na gruncie jak najściślejszej współpracy ze związkiem. Aprobują całkowicie wszelką militaryzację oddziału przez Sochaczewskiego. Są gotowi do niezwłocznego uformowania bataljonu przysposobienia wojskowego pod wodzą Korwina...

Z jakąż ulgą traktował to teraz Niekrajewski!

— Proszę panów, ale ja już nie jestem kierownikiem oddziału! Właśnie dziś, po wczorajszym, — podałem się do dymisji.

— To nic, panie kapitanie! — wziął go pod opiekę Rzeźnicki. — Ja też jestem byłym wojskowym, starszym szeregowcem. Z panem porucznikiem Sochaczewskim i komendantem Korwinem, wszystkiemu damy radę... I o panu nie zapomnimy, i dla pana coś się znajdzie...

Wtórowali mu inni, jakże beztrósco przyjmując

do wiadomości dymisję swego kierownika. Jakże swobodnie kreśląc przed nim możliwość jego pozostania w jakiejś drugorzędnej, pomocniczej roli!

Przytem wyjaśnili mu wszystko w związku z Indorem:

— Już, panie kapitanie, mieliśmy go wczoraj! Już mogliśmy przycisnąć go do muru, i co!? Taki, jucha, przebiegły, wyrwał się nam... Zanim my wysłuchali tego, co czytał pan sekretarz Witek, to Indor już porozumiał się w poczekalni ze wszystkimi członkami, i znów wszyscy byli po jego stronie! ... A to zebranie zarządu, co oni chcieli wczoraj zrobić, to było przeciwko panu... żeby, znaczy się, uchwalić panu nieufność, żeby, znaczy się, pan musiał do tej dymisji...

Jakże chwalił sobie teraz Niekrajewski to wczorajsze niedopuszczenie do zebrania zarządu! Do wyrzucenia go poprostu przez robotników... A tak, sam sobie ustępował... W porządku!

Ze „zbuntowanymi arabami“ stało na tem, że Niekrajewski ma dołożyć wszelkich starań, by związek zaaprobował ich dezyderaty.

Giedymyn zgodził się na to z jednym zastrzeżeniem: robotnicy winni dostarczyć takiej ilości podpisów, któreby na najbliższem, walnem zebraniu odziały, zgóry przesądzała ich większość.

Był tego tak pewien, że nawet polecił Niekrajewskiemu wynalezienie dla odseparowanych nowego lokalu.

Robotnicy donieśli, że potrzebny lokal jest do odstąpienia przez chrześcijańsko - demokratyczną organizację robotniczą. Udał się więc tam pewnego dnia.

Był to wspaniały lokal w śródmieściu. Z ogrom-

ną salą dla odczytów. Kino — nie kino, hala gimnastyczna, kościół sekciarski!?

Po stromych schodkach wchodziło się do jakiegoś jaskółczego gniazda, w którym mieścił się sekretarjat. Tam i sam kryły się po kątach, jakże mu znane, wysiadujące, wyczekujące postacie robotnicze. Tym razem bezrobotnych chrześcijańskich demokratów...

W sekretarjacie, prócz sekretarza, zabiedzonego demokraty, urzędował wypasiony, postawny poseł chrześcijański.

— Lokal, rzeczywiście, jest do odstąpienia, — informował Niekrajewskiego. — Ale nie wiem, czy nasze warunki będą panu odpowiadały. Pięć tysięcy dolarów — ani grosza mniej!

Odpowiadało to Niekrajewskiemu o tyle, o ile wiedział zgóry — nowy lokal nie będzie potrzebny. I tak nic z tego nie będzie!

Istotnie, „zbuntowani arabowie“ nigdy nie dostarczyli takiej ilości podpisów, któraby zapewniała całkowitą ich większość w oddziale!...

Poza temi sprawami, Niekrajewski w ciągu ostatniego miesiąca „pracy społecznej“ już nic właściwie nie robił.

Był to dla niego, ten, kiedyś zdała upatrywany, czysty zysk w postaci zgóry zapłaconego, bezrobotnego miesiąca.

A jednak musiał codziennie, choć na chwilę pokazać się w sekretarjacie związku. Dla zachowania pozorów, interesować się tem i owem, dopytywać się co słyhać w oddziale.

W tym czasie, mocno przyciskał go Witek kwestją uregulowania swych nowych poborów. Kierownika i sekretarza oddziału w jednej osobie.

Niekrajewski pamiętał: Z pobieraniem gaży w związku było wogóle ciężko. Ileż to musiał zabiegać, kręcić, prosić, by w ciągu tego półrocza wykładać co miesiąc swoje 300 zł.! A cóż dopiero, gdy doszły zczasem do tego 200 zł. dla Witka!!

Teraz Witek go błagał, by przed nowym pierwszym ustalił z Giedyminem należną mu miesięczną kwotę...

Giedymin chmurzył się, zwlekał, obiecywał, odkładał, marudził. Nigdy nie można było dowiedzieć się, jak myśli to ostatecznie załatwić.

Aż oświeciła ich obu, Witka i Niekrajewskiego, wszystkowiedząca Bławatkówna:

— Proszę panów, — odrzekła, gdy dopytywali się, czy już nie wie czegoś w tej sprawie, — to panowie jeszcze nic nie wiedzą!/? Przecież po panu kapitanie, kierownikiem oddziału ma zostać pan Korwin!

Oderwali się od niej natychmiast, by to pomiędzy sobą wyjaśnić, oświecić, zważyć...

Teraz dopiero, stopniowo, zaczęli przychodzić do wniosku, że już dawno należało się tego spodziewać. Nagromadzali odpowiednie dane, przesłanki, jak najoczywistsze dowody...

Rzeczywiście, gdy rozważali całokształt zachowania się Korwina, i tu i tam, — z arystokratami i robotnikami, — zgodnie przychodzili do wniosku, że informacje Bławatkówny są bardzo prawdopodobne.

— A Tomaszewicz, panie kapitanie! A to, że Korwin zawsze mu asystował!! — wołał w późniom jasnowidzeniu Witek. — A to, że robotnicy, pomimo przysposobienia wojskowego, zawsze byli po jego stronie! A to, że był kumem Dziewańszczaka! że bronili go sami wtedy, gdy im wymyślał od ostatnich!!!



— A to, że uchodził w Komitecie głównym za świetnego organizatora przysposobienia wojskowego, i militarystę! że był przyjacielem Jagielly i przypodchlebiał się Rybińskiemu! że był całkowicie oddanym związkowi—dobrze ulokowanym na posadzie bankowcem!! — miał Niekrajewski jeszcze i te, już niewypowiedziane, lecz jakże oczywiste, potwierdzające spostrzeżenia!...

W ciągu całego tego miesiąca, Niekrajewski skrzętnie ukrywał przed wszystkimi, którzy wiedzieli, że ma „posadę“, swój żaloszny koniec... Zwłaszcza w „domu“. Przed leżącym kolegą, kelnerem, dozorcą, windziarzem... Poco siać panikę wśród swych wierzycieli, w dodatku przed czasem!?

Ale pewnej niedzieli został nagle haniebnie zdradzony.

Gdy, już dobrze koło południa, jeszcze wylegiwali się z kolegą, ktoś nagle zapukał do ich drzwi. Był to Piskorz vel Piskorski — wydobrzały, elegancki, wesoły...

— Przeszedłem dowiedzieć się, co u pana słychać, panie kapitanie! Adres dostałem w związku...

— Cóż, nic! Pracuje się po staremu, — zbywał go Niekrajewski, łudząc się, że może jeszcze nic nie wie o jego dymisji.

— A tak, po staremu! — odrzekł na to Piskorz. — Znaczy się tak, jakby nic, skoro już więcej nie jest pan kierownikiem!

— A pan skąd o tem wie!?! — dopytywał się Niekrajewski. — Może się pan już przeprosił z oddziałem!?

— Ja, z oddziałem — z tymi chamami! Mam coś lepszego do roboty! Pracuję sobie teraz w jednym małym zakładzie, gdzie jest nas tylko kilku. O, to rozumiem, to są uświadomieni robotnicy! Nie żadne tam

nasze chamy z oddziału — Indory, Jaskółki, Adamczewscy czy Jabłonie!!

— Wiadomo, — wtórował mu chętnie Niekrajewski, — przecież to cholera wi, co za robotnicy!

— Bandyci! — wyrzekał na nich Piskorz. — Bydło ze wsi... Uczepili się swego konsula Tomaszewicza, a przez niego związku, i zdaje się im, że pana Boga za nogi złapali!... A dobry też ta ten związek! Zawsze mówiłem porucznikowi Sochaczewskiemu: Zabrać się do tego szczerze, przeczyścić, powyrzucać... Raz zrobić jakiś porządek!

— Oj, tak, tak, — brnął w to za nim Niekrajewski. — żebyż pan wiedział, co to są za ludzie! Pojęcia nie mają o robotniku, a też chcą z nim coś zrobić, przeciągnąć go na swoją wiarę!! I czem!? Tym parszywym groszem, którego mu na każdym kroku żalowali!

— No, a już pan Tomaszewicz — to cwaniak! Ten to już umie chodzić i koło jednych i koło drugich. Ale to straszny człowiek! — wzdrygnął się Piskorz na samo wspomnienie. — Każdego jednego opęta! A już tych naszych chamów brał, jak chciał!! I takiemu chciał związek dać rady! Taki pan Giedymin, czy inny hrabia!?

— No, sam pan teraz widzi, — czy ja mogłem z nimi pracować!? — starał się zabezpieczyć przed nim Niekrajewski.

— E, z pana kapitana, też cwany chłop! Niezgorzej umie pan kręcić...

— A jak się panu pracuje, gdzie pan teraz jest? — przerwał mu pośpiesznie.

— Ho, tam, to zupełnie co innego, mówię panu! Komuna jak wszyscy djabli... Namawiają mnie, dają czytać swoje, a ja nie — uszy po sobie, słucham, co

mówią... A mądre chłopcy! Wszystko wiedzą, co i jak powinno być...

— No i co, co?! — unieśli się na swych łózkach Niekrajewski i jego kolega.

— No, cóż, chyba, że przystąpię do nich!... Ale powiedzieć, to nic więcej panom nie powiem... Nie może tego być, żeby robotnik swego brata — robotnika wydawał!!

— Ależ, panie Piskorz! — wyskoczył ku niemu z łózka Niekrajewski. — Co też pan mówi!? Jakie wydawał, komu wydawał!? A niechże wszystko szlag trafi, niech się zawali, spali, a ja komunisty nie wydnam!!

Otworzyły się drzwi bez pukania i wszedł dozorca, przynosząc jak codzień — wodę do mycia i chleb.

Niekrajewskiemu, jakby przybyła pomoc:

— O tu, panie Piskorz, niech się pan spyta pana, czy ja kiedy mówiłem inaczej!? Czy ja nie jestem za komuną!?

— Tak, tak — spojrzał na niego przez ramię dozorca — z pana kapitana to czysty komunista! Jak spać w niedzielę — to cały dzień... Z panów to obaj komuniści!! — zbył ich ironicznem spojrzeniem, wychodząc.

Za nim wyniósł się za chwilę i Piskorz. Jakiś zmieniony, ostygły w szczerości, zgaszony...

Przyszła wreszcie taka chwila, w której informacje Bławatkówny sprawdziły się co do joty.

Niekrajewski dowiedział się o tem szczegółowo od Witka.

— Było tak, panie kapitanie, — prawil niedoszły kierownik oddziału. — Kazali mi porozpisywać wezwania do członków, żeby stawili się na walne zebranie. Zapowiedziane było, że odbędzie się pod przewodni-

ctwem hrabiego Rybińskiego. I chociaż ci, co są za Indorem, robili wszystko co mogli, żeby do tego nie dopuścić, — taki stawilo się trochę robotników... Był tam już i Rybiński, i Korwin, Giedymin i Sochaczewski... Tylko poseł Bohdanowicz nie chciał przyjść. Mówił, że nie chce narażać swej popularności wśród mas. Bo wiedział, że zebranie pójdzie ostro!... Rzeczywiście, mówię panu, co tam Rybiński wyprawiał, że śmiech. Poprostu, własnym oczom nie chciałem wierzyć! Robotnicy swoje, a on swoje. Oni tak, a on inaczej... A tu go z obu stron, to Sochaczewski, to Giedymin, szarpia, żeby się nie zapędział... Ale najgorsze, jak mu Indor zaczął po swojemu, cós kolwiek przerywać! To jak hrabia zczerwieniał, jak trzaśnie w stół! Proszę wyjść — krzyczy. — Proszę wyjść won! A nie, to pana wyrzucę!!... Tak się uniósł, że myśleliśmy — pobije Indora. A ten nic, ogon pod siebie. Wyniósł się cicho, jeszcze go sami robotnicy popychali... Tylko na progu, odwrócił się i powiada: A co to za nowy cós kolwiek porządek, żeby bić członka oddziału!? Ja, powiada, już to cós kolwiek doniosę panu Tomaszewiczowi... Ale już go wyrzucili, zamknęli drzwi, spokój... A potem zaczęły się wybory. To wybierali tylko tych, których podawał Korwin. A on wybierał z pośród zbuntowanych, jak to pan mówił, arabów. Którzy i za drużynami mężów zaufania i za przysposobieniem wojskowem... Mnie się zdaje, że wtedy jak oni chodzili do związku, to ich już wtedy tak Korwin nakręcał!... A gdy wreszcie Rybiński ogłosił, że Korwin będzie za kierownika!! Krzyk, śmiech, radość... Dziewańszczak zaraz podbiegł do niego i rękę podał... Już teraz ten pokój po zarządzie — powiada — na zawsze przy mnie zostanie!... I wszyscy się cieszyli, a porucznik Sochaczewski zaraz kazał porozdawać te książeczki drużynowych,



co to u nas pół roku leżały w oddziale... Giedymin, to mówię panu, do północy siedział w oddziale, a spisywał jeszcze raz wszystkich bezrobotnych i wszystkie prośby, i co komu brakuje!... Rybińskiego zaś po zebraniu robotnicy na rękach wynieśli. Dał im sto złotych z własnej kieszeni. Broń Boże, żeby nie z pieniędzy związkowych! Giedyminby nie pozwolił...

— No, a co z panem? — pytał Niekrajewski.

— A ja już zostanę sekretarzem, tak jak przedtem — odrzekł z rezygnacją. — Obiecali mi nawet podwyżkę — 50 zł. Ale nie z sekretarjatu związku, lecz ze składek. Żeby, znaczy się, więcej uzbierał od robotników... Tylko zakazano mi telefonować i chodzić do Tomaszewicza! Jak tak, to ja już chyba nie awansuję w magistracie na referenta!! Chociaż może hrabia Rybiński coś zrobi!? Obiecał — i on, i Giedymin... A z Tomaszewiczem to teraz wszystko będzie załatwiał sam Korwin...

— Jako z Tomaszewiczem!? Jeszcze!?

— No tak... Ach prawda! Zapomniałem panu powiedzieć, że Tomaszewicz już został wybrany na honorowego, dożywotniego prezesa oddziału!! To dziad stary!... A mówiłem panu, że między nim a Korwinem — oddawna sztama!... Teraz to, zdaje się, nawet z Giedyminem!...

Z Tomaszewiczem, zresztą, Niekrajewski sam jeszcze zapragnął się widzieć. Może teraz da mu jakąś posadę!?

Zastał konsula w jego biurze technicznym. I gdy przedstawił mu motywy swej dymisji, Tomaszewicz odrzekł ostrożnie:

— Tak, tak, zawsze byłem tego zdania... Ze związkiem, z sekretarjatem — trudno pracować... Ale co do księcia Giedymina, to, widzi pan sam, jak się

poprawił!... Był u mnie z Korwinem, przeprosił, a jakże... Darowałem mu na pamiątkę mój miecz dajaków, zawsze to, panie, przecież i książę, i sekretarz generalny związku, i figi, i komendant główny naszego mocarstwowego przysposobienia wojskowego!...

Co do pracy dla Niekrajewskiego, konsul udał zdziwionego:

— Ale skąd, panie kapitanie! Cóż ja tu mogę zrobić — mały, skromny, cichy człowiek... Ba, gdyby pan był blondynem — to co innego. Natychmiast wysłałbym pana do Hondurasu... Tam, proszę pana, karierę zapewnioną!! Ale cóż, nie zmienię panu koloru włosów! Tego jednego jeszcze nie potrafię...

Tak więc tego ostatniego wieczora, jak tyle razy w ciągu ubiegłych sześciu miesięcy, Niekrajewski szedł zwykłą swą drogą do sekretarjatu związku.

Miało się już ku wiośnie. Czerniał i pachniał nią wieczór wielkemiejski. Oddychał wieczorny tłum licznych przechodniów — „uczciwie pracujących“... Kto wie, czy też tak wszystkich, hurtem — uczciwych!?

Tuż pod bramą kamienicy, w której mieścił się sekretarjat komitetu głównego związku, Niekrajewski spotkał Witka. Zawsze czynnego, ożywionego... Śpieszył do oddziału, gdzie miał zebranie swej sekcji kulturalno-oświatowej!

Wziął pod ramię smutnego, osamotnionego Niekrajewskiego. Starał się go ogrzać pod płaszczem tego przypadkowego, przyjaznego spotkania.

— I nie szkoda to panu, panie kapitanie, — tego wszystkiego!?! Byłby pan sobie nadal kierownikiem — **aż** miło! Widzi pan, jak zawsze popłaca ta praca... pozytywna!! A pan ze swoją negacją, co!?! Guzik, nici!...

— No, — odrzekł nachmurzony Niekrajewski —

zobaczymy jeszcze jakto z tem będzie! Czem to się wszystko skończy!... Ale, ale, przepraszam pana, czy nie mógłby mi pan pożyczyć złotówki!? Tych pieniędzy to, psiakrew, nigdy człowiekowi nie wystarczy!...

— Ależ proszę, proszę!... Sam dużo nie mam, ale złotówkę — mogę! Zawsze, panie kapitanie... Aha, ale widzi pan, czy nie mam racji!?

Rozłączył ich deszcz, pierwszy wiosenny deszcz z wieczornego, ciemnego i ciepłego nieba.

Witek nie był już potrzebny Niekrajewskiemu. Z jego złotówką w kieszeni udał się do komitetu...

Panowało tu jakieś wiosenne rozprężenie. Bławat-kówny nie było. W pokoju jej, przy biurku, przy telefonie, — gospodarowali ci chłopcy — akademicy.

Coraz buńczuczniej, coraz mocniej zapuszczając tu swe korzenie. Oplatali się bluszczem przy drzewie związkowem. Przyszczepiali się, wrastali, stawali się czemś z niem nierozzerwalnem... Młode pędy, latorośle, przyszli sekretarze generalni, wiceprezesi, prezesi...

W gabinecie sekretarza generalnego zastał Giedymina i Sochaczewskiego.

— A, pan kapitan! Mamy nadzieję, że będzie pan nas często odwiedzał...

— Cóż pan teraz będzie robił, panie kapitanie!? — zatroskał się Sochaczewski. — Mówię panu, niech pan przerzuci się na literaturę! Za moim przykładem, wydaję teraz swoją książkę...

— A wie pan, tak! — przyznał mu rację Niekrajewski. — Puszczę się teraz na literaturę... Mam właśnie zamiar napisać powieść o robotnikach... Ach, opiszę. że ja to, opiszę! — chciał ich tem podrażnić, przestraszyć.

— Co! — zawołał Giedymin. — O robotnikach!? Wiesz, — zwrócił się do Sochaczewskiego — byłem niedawno w pewnem towarzystwie i przerzuciłem

sobie „Czarne skrzydła“ Kadena... Boże, jakież to pesymistyczne!!... Więc pan chce również o robotnikach!? — zapytał Niekrajewskiego.

— No nie — odrzekł tamten. — Przecież ja nie myślę o robotnikach, o tych prawdziwych robotnikach... Za mało ich jednak poznałem... Ale chcę napisać o innych robotnikach, co to, uważa pan, społecznie, politycznie, organizacyjnie... O tej społecznej pracy wśród robotników chcę napisać...

— Błagam pana! — wołał Giedymina. — Niech pan tylko nie pisze o tem zbyt psychologicznie, analitycznie, pesymistycznie!!

— Książkę pisze się tak, — objaśniał Sochaczewski, poklepując dłonią ogromny maszynopis swej powieści — szerokimi pociągnięciami... W jednym zdaniu powiedzieć jak najwięcej, wszystko! Naprzykład, mój bohater leci dookoła świata, to ja się nad tem nie zastanawiam, piszę poprostu — tego dnia wyleciał stąd, a tamtego przyleciał tam... A reszta to onanja!... A wie pan, — dodał — ja wcale jeszcze nie wykorzystałem tego swego tematu o ekskrementach...

— Właśnie chcę prosić, żeby mi go pan nadobre ofiarował... Przecież w swoim czasie pozwolił mi pan zatrzymać to na pamiątkę, o naszej niedoszłej współpracy literackiej! Teraz mi właśnie te ekskrementy przydadzą się — do kompletu!! — odrzekł Niekrajewski, i uczyniwszy ręką gest bezwolnego poddania się losowi, zwrócił się do Giedymina:

— Panie sekretarzu, pan powiedział żeby nie wyszło pesymistycznie!? Ale cóż robić!... Kogda risujete swinju wy u zaboru, na połotnie nie wyjdiet belle Hélene!!

Z tem wyszedł, by już nigdy więcej nie powrócić do związku



Nawet po swoją deklarację, której odszukania przez Giedymina, nie mógł doczekać się w ciągu całego ostatniego miesiąca!

Zresztą, związek wkrótce przestał istnieć. Przedtem jednak jeszcze został „zlikwidowany“ oddział robotniczy, którego nowy kierownik „przeliczył się“ ze swem przysposobieniem wojskowym i nadobrze utknął na wytoczonym mu przez związek procesie sądowym...

Ale mocarstwowcy jeszcze istnieją, i z tego to powodu zostały spisane te relacje o „robotnikach“ przyszłej mocarstwowej Polski. Odrodzonej Polski „złotego wieku“ Jagiellonów... O, święta magjo słów, nazwisk, postaci!!

1931 r.

## SPIS ROZDZIAŁÓW:

Powieść czy komedja? .....	7
Jak w lesie .....	20
Jagiellonidzi .....	32
Realna praca .....	45
Wywiad robotniczy .....	56
Legenda o Jagielle .....	70
Umowa społeczna .....	81
Robotnik nieznany .....	91
Krew pierwsza i ostatnia .....	106
Miecz dajaków .....	119
Pojednanie .....	131
Herbata i polityka .....	143
Bóg się rodzi! .....	155
Dzień powszedni .....	168
Klub szaradzystów .....	186
Pośrednictwo pracy .....	200
Łódź — miasto fabryczne .....	216
Bal murzynów .....	231
Madonna pierwszej klasy .....	249
Kryzys światowy .....	263
Dymisja czyli bunt arabów .....	281

INSTITUT  
BADAŃ I WYKONSTW PAN  
Instytut  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-240 W. Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42









**SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA,  
Ś-TOJERSKA 12, m. 12 TEL. 303-59 (11.93-59)**

**OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA TERESA ŻARNOWERÓWNA**

**OKŁADKĘ ODBITO W Drukarni „KULTURA” TEL. 762-59**

<http://rsin.org.pl>









F  
1529